AGENOR HR. GOŁUCHOWSKI
W PIERWSZYM OKRESIE RZĄDÓW SWOICH
(1846—1859).

(Ciąg dalszy).

IV.

Hr. Gołuchowski a sprawa ruska.

Treść: Geneza sprawy ruskiej. — Rola hr. Stadiona i hr. Gołuchowskiego w sprawie «wynalezienia» Rusinów. — Głos Szujskiego w tej sprawie. — Niemieckie głosy o zwichnięciu austryackiego kierunku sprawy ruskiej przez hr. Gołuchowskiego. — Dzieło ks. Jakóba Gołowackiego jako akt oskarżenia ze strony ruskiej przeciw hr. Gołuchowskiemu. — Najświeższe wznowienie legendy o »wynalezieniu« Rusinów w dziele K. Widmanna o Smolce. — Krytyczny pogląd na rewelacye K. Widmanna. — Pierwsze zawiązki sprawy ruskiej w Galicyi. — Ruski ruch narodowy przed i po r. 1846. — Głos br. Sali o genezie kwestyi ruskiej. — Wpływy rządu przed r. 1848. — Geneza pomysłu o podziale Galicyi na dwie prowincye. — Koleje tej sprawy przed r. 1848. — Operat br. Kriega i opinia hr. Stadiona w tej sprawie. — Wystąpienie Rady ruskiej za podziałem. — Stanowisko hr. Gołuchowskiego w tej sprawie. — Ruski Dom narodny. — Konferencye wiedeńskie w sprawie statutów krajowych. — Stadionowski projekt o dwóch kuryach sejmowych. — Opinia hr. Gołuchowskiego o tym projekcie i jego pogląd na przyszłość ruchu świętojurskiego. — *Ruthenien* i *Russinenland*. — Hr. Mercandin jako szef krakowskiego okręgu administracyjnego. — Zaostrzenie się konfliktu hr. Gołuchowskiego z Radą ruską. — Ochotnicze bataliony ruskie wśród kampanii węgierskiej. — Generał Hammerstein jako »*Proprietär*« batalionów ruskich. — Skargi Rady ruskiej do ministerstwa na hr. Gołuchowskiego — Rada ruska przeciw zaprowadzeniu sądów przysięgłych w Galicyi. — Prowincyonalne filie Rady ruskiej. — Oficyalna charakterystyka ks. Kuziemskiego. — Sojusz świętojurstwa z germanizacya w sprawach szkolnych. — Euzubiusz Czerkawski i hr. Gołuchowski w walce ze świętojurstwem o język polski w szkołach. — Zaprowadzenie języka niemieckiego jako wykładowego a nauki języka ruskiego jako przedmiotu obowiązkowego w gimnazyach wschodnio-galicyjskich. — Interpelacya Dylewskiego. — Mowa rektora

Tangla o ruskim charakterze kraju. — Inicyatywa hr. Gołuchowskiego w sprawie organizacyi i nadzoru szkół średnich. — Rugowanie polskości ze szkół wschodniej Galicyi. — Radca ministeryalny ks. kanonik Szaszkiewicz. — Ministeryalne rozporządzenie o języku wykładowym. — Zniesienie przymusowej nauki języka ruskiego. — Pierwsza próba utrakwizmu. — Radca szkolny Wilhelm w Krakowie. — Dalsza akcya Czerkawskiego i hr. Gołuchowskiego w sprawach szkolnych wśród opinii kraju zapoznającej ich intencye. — Pierwsze urzędowe stwierdzenie russofilizmu w Galicyi. — Ajenci panslawizmu. — Markiz Paulucci. — Sprawa ks. Gołowackiego. — Sprawa zaprowadzenia alfabetu łacińskiego w pisowni ruskiej i sprawa zrównania kalendarzy. — Ankieta dla tych spraw. — Projekt Jirecka. — Akcya ks. Szaszkiewicza oraz biskupów Litwinowicza i Jachimowicza. — Rossyjscy ajenci literaccy Smirnow i Gromeka. — Zwrot ministra hr. Thuna w sprawie ruskiej. — Pogląd ogólny na ruch świętojurski.

Jakby jakie zdarzenie z odległej zamierzchłej epoki gubi się w legendach, baśniach i prostych plotkach geneza sprawy-galicyjsko-ruskiej *vulgo* świętojurskiej. Poczęta w antagonizmie a nawet w otwartej nienawiści ku polskości, wichrzona i mącona w sposób samobójczy dla sprawy ruskiej w historycznem tego słowa znaczeniu przez domowych agitatorów, wrzekomych restauratorów Rusi, a w sposób podstępny przez obcych wrogów na rzecz germanizmu i russofilizmu, kwestya ta, sprowadzana od czasu do czasu przez obywateli dobrej woli z trudem syzyfowym na tory spokojnego rozwikłania w duchu historycznego swego znaczenia, zawsze za sprawą demonów politycznych wracała w pierwotną fazę bratobójczą. Rok 1848 uchodzi za niewzruszoną datę genezy tej sprawy a ówczesny gubernator Galicyi, hr. Stadion, za jej twórcę, bądź to samodzielnego, bądź inspirowanego przez hr. Gołuchowskiego. Deputacya polska w Wiedniu, która, jak wiadomo, wysłana została do cesarza Ferdynanda ze znanym adresem lwowskim z 18. marca 1848, wyrobiła tam hr. Stadionowi tę opinię, oskarżając go w obszernym memoryale przed ówczesnem ministerstwem o różne bezprawia i zamachy na narodowość polską, a między innemi także i o zamącenie spokoju wewnętrznego przez sztuczne wywołanie waśni polsko-ruskiej. Kiedy potem hr. Stadion stanął we Wiedniu jako członek konstytuanty, wybrany w wschodnio-galicyjskim gminnym okręgu wyborczym (Rawa), i w parlamencie otoczył się siermiężnymi kolegami swoimi z wschodniej Galicyi, uchodził już powszechnie za „wynalazcę“ Rusinów nietylko w gronie posłów polskich, lecz także w opinii liberalnych posłów niemieckich, odgadujących w byłym gubernatorze galicyjskim wy-

bitnego bohatera zbliżającej się reakcyi a w Rusinach galicyjskich zwarty w swojej bezmyślności czy nienawiści ku Polakom korpus przyszłej armii reakcyjnej. Ponieważ w Wiedniu wiedziano wtedy powszechnie, że hr. Stadion już nie myśli powracać na swoje stanowisko do Lwowa i pragnąłby przeprzeć odrazu nominacyę hr. Gołuchowskiego na swojego następcę, więc i opinia ostatniego jako współwynalazcy albo raczej jako intellektualnego sprawcy kwestyi ruskiej ustaliła się na długie czasy. Zachwiała się ona z biegiem czasu, a dziś już nawet pisarze, patrzący na wypadki r. 1848 przez pryzmat ówczesnych najgoretszych żywiołów, nie wierzą tej baśni, uważając ją za niepołączalną z późniejszem postępowaniem hr. Gołuchowskiego za drugim i trzecim powrotem na stanowisko Namiestnika Galicyi. Ponieważ rzecz w ten sposób traktowana mogłaby wzbudzać mniemanie, że hr. Gołuchowski zmienił się i opamiętał dopiero później, ale w pierwszych latach rządów swoich był rzeczywiście takim, jakim go opinia w r. 1848 przedstawiała, ponieważ w takim razie, w ogóle w razie niewyświecenia samej genezyi sprawy ruskiej, poniekąd niezrozumiałem lub co najmniej zagadkowem wydawałoby się późniejsze opowiadanie nasze o nieustannych starciach hr. Gołuchowskiego z ruską Radą narodową w roku i po roku 1849, przeto niezbędną jest niejako rewizya historyczna całej tej kwestyi.

Hr. Stadion na razie nas wcale nie obchodzi, bo może przy innej sposobności, w innej pracy, stosowniejszem będzie omówienie jego roli w Galicyi w ogóle a w sprawie ruskiej w szczególności. O ile jednak chodzi o „wynalezienie“ Rusinów już tutaj niepodobna pominąć milczeniem tego bezmyślnego twierdzenia, bo właściwie uchybia ono nietylko prawdzie historycznej, lecz nawet wprost intelligencyi tych, którzy je bezmyślnie lub lekkomyślnie powtarzają. Rzecz całą możnaby zbyć krótko powtórzeniem zdania, które w chwili bardzo ważnej dla rozwoju sprawy ruskiej wypowiedział Józef Szujski, więc sędzia najkompetentniejszy ze stanowiska historycznego i politycznego. „Opinia ta — tak mówi J. Szujski [1]) — wydaje mi się z gruntu fałszywą i zgubną. Fałszywość jej zaczyna się od pierwszego założenia, jakoby ruch ruski był tylko fabrykatem r. 1848. Z próżnego i mądry Salomon nie naleje, mówi przysłowie. Czego nie mógł Salomon, nie mógł i Sta-

[1]) Józef Szujski: *Z wycieczek do Lwowa. (Kwestya ruska).* Kraków 1866 — str. 7.

dion; nie mógł on stworzyć Rusinów z niczego. Były w Galicyi żywioły, które się obudziły, mniejsza na czyj głos".

Jeżeli to orzeczenie historyka polskiego zasłania hr. Stadiona przed sławą czy niesławą „wynalezienia" Rusinów, chociaż nie przed odpowiedzialnością za nadanie sprawie ruskiej fatalnego zarówno dla Galicyi jak i dla Austryi kierunku, to hr. Gołuchowskiego i pod tym względem powinnyby były raz na zawsze zasłonić przed odpowiedzialnością głosy tych historyków niemieckich, którzy ruch świętojurski pojmowali jako wielkie dzieło patryotyzmu austryackiego a świętojurców uważali za północnych Tyrolczyków. Z głosów niemieckich tego rodzaju przytaczamy tutaj tylko dwa znamienne. Rogge, który miał na myśli głównie Schmerlingowski okres zachwytu austryackich polityków dla rozkwitu świętojurstwa, zarzuca hr. Gołuchowskiemu jako „namiętnemu Polakowi" wprost nieprzyjacielskie postępowanie wobec Rusinów [1]). Drugi głos pochodzi od osławionego dyrektora policyi we Lwowie z r. 1848 Sachera-Masocha, w przedstawianiu spraw polskich bezczelnego fałszerza, ale za to w traktowaniu ruchu ruskiego entuzyasty niemal od zmysłów odchodzącego. Nie jestże to bowiem dowodem aberracyi na tle politycznem, jeżeli Sacher-Masoch, człowiek zkądinąd znany z intelligencyi niepośledniej, stawia Rusinów poniekąd na czele wszystkich narodów w rozwoju kulturalnym! Na dowód jeden ustęp z jego dzieła [2]): „Tylko królodworski rękopis Czechów stanowi tak wspaniałą poezyę, że go wymienić można obok ruskiej „Wyprawy Igora". Utwory niemieckie (jak „Nibelungenlied"), angielskie, francuskie, włoskie (przed pojawieniem się „Boskiej Komedyi") nie mają wobec powyższego poematu ruskiego prawie żadnej wartości. Jeżeli się porówna ruskiego Nestora z współczesnymi kronikarzami niemieckimi, polskimi i francuskimi, to różnica bije w oczy. Nestor jest prawdziwym historykiem, kiedy tymczasem inne narody posiadały wówczas tylko kronikarzy. Nestor jest pierwszym nowożytnym historyografem, który doskonale wytrzyma porównanie z Tacytem i Thucididesem". Owóż ten entuzyasta ruski, ze swojego stanowiska w r. 1848 najbliższy świadek genezy sprawy świętojurskiej i najmilszy powiernik wszystkich planów, jakie wówczas zakreślali ruchowi ruskiemu tak jego biurokratyczni

---

[1]) Walter Rogge: *Oesterreich von Világos bis zur Gegenwart.* — Leipzig & Wien. 1871—1873. T. I. str. 516, t. II. str. 117 i 360.

[2]) *Polnische Revolutionen* (nazwisko autora niewymienione). Prag 1863, str. 15.

mentorowie jak i kryłoszańscy koryfeusze, z wielką goryczą odzywa się w przytoczonem dziele o hr. Gołuchowskim za skrzywienie rozwoju sprawy ruskiej, za zwichnięcie jej kierunku austryackiego. Sacher-Masoch uznaje lojalność hr. Gołuchowskiego wobec tronu i państwa, ale dodaje zaraz, że mimo to zawsze pozostał szlachcicem polskim i wrogiem Rusinów, a wskutek tego zepsuł całe ruskie dzieło swoich poprzedników, w czem mu w roli złego ducha pomocny był Euzebiusz Czerkawski.

Według trafnego aforyzmu Frycza-Modrzewskiego „złym się niepodobać jest coś na kształt chwały“. A właśnie najgorszym pomiędzy złymi niepodobał się hr. Gołuchowski za swoje stanowisko w sprawie ruskiej. Sacher-Marochowi wtórowały później głosy wszystkich tych renegatów rusko-galicyjskich, którzy w latach 1865—1868 zwerbowani przez rossyjskich wysłanników spieszyli za kordon, aby w Chełmszczyźnie nietylko pomagać rządowi rossyjskiemu w tępieniu polskości i unii, lecz nadto osobiście przyświecać własnym przykładem w roli zaprzańców własnej narodowości i religii na rzecz prawosławia i russcycyzmu. Głosy te rozrzucone po rossyjskich czasopismach i książkach ówczesnej doby mało są u nas znane. Niedawno jedno z czasopism polskich [1]) podało ciekawe pod tym względem sprawozdanie na podstawie pamiętników i listów jednego z rossyjskich działaczy w dziele russyfikacyi i sprawosławienia Chełmszczyzny (Lebedyńcewa). Figurują tam w roli wstrętnej wszyscy galicyjscy pomocnicy Rossyi w tem dziele, nie wyjmując metropolitę Litwinowicza, a hr. Gołuchowski traktowany jest jako wróg i gnębiciel Rusinów, paraliżujący swoją czujnością zadzierzgnięcie ściślejszych węzłów pomiędzy prawosławną Rossyą a unicką Rusią. Klasycznem, wszelką wątpliwość usuwającem, świadectwem pod tym względem można nazwać dzieło, wydane w r. 1861 przez instytut Stauropigiański bezimiennie a powszechnie przypisywane znanemu renegatowi ks. Jakóbowi Gołowackiemu [2]). W dziele tem, traktującem o całym szeregu spraw ruskich a w szczególności o sprawie alfabetowej, o której później będzie mowa, przedstawiony jest hr. Gołuchowski z przytoczeniem niektórych jego relacyj jako największy wróg, niejako demon świętojurstwa, a Euzebiusz Czerkawski jako jego powolne narzędzie w tem działaniu.

[1]) Ob. *Przegląd Powszechny* z r. 1889. (Artykuł dr. Cyryla Studzińskiego p. t.: *Z za kulisów schizmatyckiej propagandy*).

[2]) *Die ruthenische Sprach- und Schriftfrage in Galizien.* — Lemberg 1861.

Wszystko to było wiadome za życia hr. Gołuchowskiego, więc zdawałoby się, że po jego śmierci nie odezwie się już żaden głos z podobnem oskarżeniem. A jednak stało się inaczej. W dziewięć lat po śmierci hr. Gołuchowskiego wystąpił z niem Karol Widmann w swojej monografii o Franciszku Smolce w sposób tak pozytywny, jakgdyby chodziło o fakt historyczny, który nie wyjawiać dopiero, lecz tylko raz na zawsze stwierdzić należało. Głosu tego tutaj pominąć niepodobna, jeżeli legenda o „ruskim wynalazku“ hr. Gołuchowskiego ma być raz na zawsze ubita, nietylko faktami, o których później będzie mowa, lecz także świadectwami historycznemi. K. Widmann bowiem występuje w tem dziele najpierw jako mąż zaufania Franciszka Smolki, zaszczycony przezeń oddaniem całej korespondencyi rodzinnej z r. 1848, więc niejako zasłonięty jego powagą, a powtóre jako powiernik tradycyi biurokratycznych swojego ojca, byłego radcy gubernialnego z pierwszego okresu rządów hr. Gołuchowskiego.

„We Lwowie — pisze K. Widmann [1]) — był Gołuchowski pierwszym, który przy naradzie u hr. Stadiona nad środkami zwalczania Rady narodowej i polskiego ruchu narodowego podał projekt utworzenia ruskiej Rady narodowej jako narzędzia kontragitacyi. Wiadomość o tem przeszła do publiczności przez niedyskrecyę niektórych uczestników owej narady, „Gazeta Narodowa“ podała tę wiadomość z dodatkiem, że źródła wymienić nie może. Ja się o tem dowiedziałem od mego ojca, który był przy owej naradzie. Gołuchowskiego pomysł został wykonany a wykonawcami byli znowu nie Rusini, ale Niemcy. We Lwowie był takim założycielem ruskiej Rady dr. Józef Eminger, radca gubernialny, w Żółkwi komisarz Wohlfarth i t. d., w ogóle wszędzie w kraju byli inicyatorami agitacyi ruskiej urzędnicy, po większej części Niemcy, albo zaprzańcy polskiej i ruskiej narodowości. Gołuchowski, który był wtedy jednym z ostatnich radców gubernialnych, poszedł odtąd w górę. Stadion uznał jego pomysł za genialny, wyjednał mu posadę wiceprezydenta gubernialnego i gdyby nie były przeważyły wpływy naszej deputacyi w Wiedniu a w szczególności Smolki, byłby Gołuchowski został gubernatorem po ustąpieniu Stadiona, a nie Zaleski. W ogóle od poruszenia tej kwestyi ruskiej datuje się karyera Gołuchowskiego“.

Żaden z tych szczegółów, wrzekomo stwierdzających autentycznie autorstwo hr. Gołuchowskiego co do kwestyi ruskiej, nie

[1]) Karol Widmann: *Franciszek Smolka* (j. w.) str. 245—6.

wytrzymuje ściślejszej krytyki. Najpierw bowiem w owych naradach, wśród których wyłonić się miała sprawa utworzenia ruskiej Rady narodowej, więc sprawa ruska czyli świętojurska, udział brali jak sam Widmann w powyższem dziele swojem opowiada (str. 161), nietylko urzędnicy (między innymi Maurycy hr. Dieduszycki i Kazimierz hr. Stadnicki), lecz także wybitne osobistości polityczne, jak koryfeusze ruchu ruskiego: biskup Grzegorz Jachimowicz, kanonicy Michał Kuziemski i Michał Malinowski, a z polskiej strony: arcybiskup ks. Łukasz Baraniecki, Karol ks. Jabłonowski, Alexander hr. Krasicki, Piotr Trzeciecki, Gwalbert Pawlikowski, adwokat dr. Klemens Raczyński i t. d. Wszyscy ci uczestnicy konferencyi Stadionowskiej brali w tym czasie i później wybitny udział w życiu publicznem, wchodzili w częste kollizye polityczne z rządem w ogóle a hr. Gołuchowskim jako jego przedstawicielem w szczególności, więc jakżeż przypuścić można, żeby fakt tak doniosły, jak zainicyowanie ruchu ruskiego, pozostał w ukryciu i później dopiero dostał się do wiadomości „przez niedyskrecyę niektórych uczestników?“ Jeżeliby do dyskrecyi czuli się zobowiązanymi spokojniejsi członkowie konferencyi, a chociażby nawet wszyscy polscy uczestnicy, niewyjmując Piotra Trzecieskiego i Gwalberta Pawlikowskiego, protestujących najgłośniej przeciw zwołaniu sejmu postulatowego i rozwiązaniu polskiej Rady narodowej, to stanowczo nie byłby się krępował skrupułami dyskretnemi kanonik Michał Kuziemski w chwili, gdy jako prezes ruskiej Rady narodowej wszedł, jak to później zobaczymy, w r. 1849 nie w jedną kolizyę, lecz w cały szereg konfliktów, wprost w walkę na zabój z hr. Gołuchowskim, jako szefem kraju. Wszakżeż w tej walce z hr. Gołuchowskim dla ks. Kuziemskiego reminiscencya taka byłaby stanowiła broń najdzielniejszą, bo za jej pomocą wrzekomy autor sprawy świętojurskiej i inicyator ruskiej Rady narodowej, a potem szef kraju i antagonista swojej własnej kreacyi politycznej, mógł być każdej chwili albo zmuszony do odwrotu, albo ciężko skompromitowany wobec rządu i kraju autentycznemi rewelacyami. Byłby niezawodnie w ten sposób postąpił ks. Kuziemski przynajmniej w drażliwej sprawie alfabetowej, o której traktuje powyżej przytoczone dzieło ks. J. Gołowackiego o pisowni ruskiej. Wtedy bowiem ze strony ruskiej nie pomijano żadnej, chociażby najdrażliwszej i dyskrecyą prezydyalną osłoniętej rewelacyi.

Pozostaje jeszcze świadectwo ojca K. Widmanna. Z tym świadkiem załatwić się można nawet bez uchybienia jego dobrej

wierze. Radca gubernialny Widmann, ojciec Karola, był w randze znacznie starszym od hr. Gołuchowskiego. Nagłe wywyższenie hr. Gołuchowskiego przez nominacyę na wiceprezydenta gubernialnego sprawić musiało sensacyę w całym gubernialnym świecie urzędniczym, największą a zarazem i najprzykrzejszą pomiędzy radcami dworu i starszymi radcami gubernialnymi, których hr. Gołuchowski — mówiąc językiem biurokratów — „przeskoczył". Kto zna ciekawy światek biurokratyczny z jego odrębną logiką i psychologią, ten wie to dobrze, że taka sensacyjna nominacya wywołuje mnóstwo domysłów na temat, komu i czemu nominat zawdzięcza swoje wywyższenie? Że to się stać mogło w sposób naturalny, że nominat swoją wyższością pod względem talentu i gorliwości wywalczył sobie takie wywyższenie, to oczywiście nawet na myśl nie przyjdzie nikomu z tych „przeskoczonych", nieuznających takiej wyższości. W niniejszym wypadku o zwyczajnej protekcyi, która w ogóle podsuwana bywa za motyw, tutaj mowy nie było z tej przyczyny, że chodziło o wyniesienie na jedną z najwyższych posad, wysuniętych ze sfery takiej protekcyi a zależnych natomiast od względów politycznych. Owe domysły zatem skierowały się oczywiście w tę stronę, a że w czasie wysunięcia hr. Gołuchowskiego na przedni plan hierarhii biurowej hr. Stadion już podrażniony z polskiej strony rzeczywiście jawnie naginał się ku kokietującej go w natrętny sposób frakcyi ruskiej, przeto powstało przypuszczenie, iż kierunek ten podsunął mu hr. Gołuchowski. Był on wtedy bardzo ceniony przez hr. Stadiona i zażywał jego zupełnego zaufania, więc przypuszczenie to wydać się musiało bardzo prawdopodobnem, a ponieważ w dodatku hr. Gołuchowski nie goniący za zwyczajną popularnością nie był lubiany, owszem już jako austryacki urzędnik uchodził w opinii gorętszych żywiołów polskich za podejrzanego, jeżeli nie wprost za renegata, przeto wersya o jego intellektualnem autorstwie w sprawie ruskiej znalazła grunt bardzo podatny we Lwowie i w całym kraju. Można sobie wystawić, jak dogodną była ta wersya dla każdego, kto chciał zdyskredytować hr. Gołuchowskiego w opinii polskiego obywatelstwa. A takich było wówczas wielu, bardzo wielu!

Przytoczyliśmy powyżej w dosłownym przekładzie całą relacyę, w której hr. Stadion przedstawił ministerstwu hr. Gołuchowskiego jako jedynego kandydata, godnego wywyższenia na posadę wiceprezydenta gubernialnego po powołanym na ministra skarbu Filipie Kraussie. W takich relacyach zawsze przytacza się poufnie

wybitne, zresztą nawet w największej dyskrecyi trzymane, zasługi przedstawionego do nominacyi kandydata. W tym wypadku hr. Stadion tem więcej musiałby był przestrzegać tej reguły, ile że chodziłoby o zasługę wybitną i czysto polityczną, której przed Wiedniem nie mógłby był ukrywać, ile że dalej bardzo zależało mu na nominacyi hr. Gołuchowskiego a przytoczenie takiej właśnie zasługi mogło z góry i niewątpliwie zabezpieczyć przyjęcie wniosku nominacyjnego w ministerstwie i przez cesarza, nawet w razie, gdyby on był w Wiedniu natrafił na wpływy przeciwne ze stanowiska osobistych sympatyi i predylekcyi. Pozostawałoby chyba przypuszczenie, że hr. Stadion chciał całą zasługę sobie przywłaszczyć i dlatego nie wspominał o tem, że hr. Gołuchowskiemu zawdzięcza nasunięcie tak wybornego środka dla zastosowania w Galicyi staroaustryackiej maxymy politycznej *divide et impera* nawet w czasach konstytucyjnych, na pozór maxyme taką wykluczających? Trzebaby chyba niemieć wyobrażenia o wyższości hr. Stadiona nad całym współczesnym światem austryacko-biurokratycznym, żeby mu przypisać można tak poziome motywa, godne chyba karyerowiczów pospolitego pokroju. Podobne przypuszczenie byłoby możliwem chyba w wichrowatym r. 1848, kiedy opinia rozgorączkowana aż do zaślepienia widziała w hr. Stadionie tylko biurokratę *à la* Krieg, zdolnego do wszelkiej przewrotności. Dziś po upływie z górą 50 lat od tych czasów wyszły już na jaw najdyskretniejsze machinacye polityczne tego rodzaju a niema dotąd najmniejszej uchwytnej podstawy do takiego przypuszczenia.

Zkądże jednak wzięła się kwestya ruska w r. 1848, jeżeli Stadion nie „wynalazł“ Rusinów a także i hr. Gołuchowski niemoże sobie rościć pretensyi do autorstwa w tej mierze? Kto zna historyę ruchu narodowego w Austryi i w Węgrzech w r. 1848 chociażby tylko z drugiego tomu powołanego już przez nas kilkakrotnie dzieła br. Helferta, ten dla wytłumaczenia genezy sprawy ruskiej nie potrzebuje pewnie oglądać się za tajemniczemi źródłami i sprężynami. Wszędzie, gdziekolwiek tylko były jakiebądź chociażby najsłabsze, chociażby jedynie do sfery literackiej ograniczone zawiązki separatystycznego poczucia i ruchu narodowego w austryackiej i węgierskiej Słowiańszczyźnie, wybuch rewolucyjny z r. 1848 przyspieszył w jednej chwili jego rozwój o całe dziesiątki lat, o całe pokolenia. Że taki zawiązek ruchu ruskiego istniał w Galicyi przed r. 1848, to przecież rzecz notoryczna, która przed kilku laty szeroko i szczegółowo omawiana była w prasie polskiej i ruskiej z okazyi uroczystego przeniesienia na cmentarz łyczakowski

zwłok ruskiego poety z doby przedrewolucyjnej, Markjana Szaszkiewicza. W przytoczonej powyżej książce ks. J. Goławackiego znajduje się wyraźne przyznanie ks. Kuziemskiego, że już w latach 1844—45 w galicyjskiem gubernium ścierały się zdania w sprawie zaprowadzenia pierwszej ruskiej książki szkolnej dla nauki elementarnej a decyzya pomyślna dla Rusinów zapadła wbrew silnej opozycyi późniejszego gubernatora Wacława Zaleskiego, dzięki szczególnej protekcyi prezydenta br. Kriega i radców gubernialnych dr. Emingera i Ettmayera dla postulatów ruskich [1]).

Jeżeli tedy ruch ruski nie został dopiero w r. 1848 „wynaleziony" przez hr. Stadiona lub hr. Gołuchowskiego, to zachodzi pytanie, kto wtedy ruchowi temu nadał taki nienawistny dla polskości a zarazem złowrogi dla narodowego rozwoju Rusinów kierunek polityczny, jaki zaznaczyliśmy na początku tego rozdziału? O ile w tej mierze zawinił hr. Stadion, o tem tutaj mówić nie będziemy, bo lepsza do tego sposobność znajdzie się może w innej pracy, o ile zaś hr. Gołuchowski może być posądzony o jakiekolwiek przyczynienie się do takiego zwrotu, na to najlepszą a dla jego pamięci w kraju najkorzystniejszą odpowiedź dadzą aktami stwierdzone fakta i zdarzenia, o których mowa będzie w późniejszem opowiadaniu. Ale już tutaj trzeba to podnieść, że jak zawiązku całego ruchu ruskiego w ogóle tak i śladów jego zgubnego kierunku za wpływami biurokracyi austryackiej szukać należy w odleglejszej przeszłości.

Rzecz to ciekawa, że Karol Widmann zaraz po powyżej przytoczonym ustępie dzieła swojego, w którym tak kategorycznie obwinia hr. Gołuchowskiego o stworzenie kwestyi ruskiej, daje pod ostatnim względem, w widocznej niekonsekwencyi wobec powyższego twierdzenia, następujące trafne wyjaśnienia. „Z liberalnych Niemców w Wiedniu — pisze K. Widmann — poznali się niektórzy na tem, że agitacya ruska była środkiem reakcyjnym i nazywali Stadiona „wynalazcą ruskiej narodowości". Rzecz ta jednak nie była tak nową, jak wielu sądzi. Zaraz po zajęciu Galicyi poruszyli tę sprawę nowo nasłani do kraju gubernialraci, a w szczególności referent spraw szkolnych w gubernium lwowskim z r. 1775, J. C. von Koranda. Czyni on w swojej relacyi względem zaprowadzenia w Galicyi szkół normalnych między innemi uwagę, że w Galicyi niema się bynajmniej tylko z polskim żywiołem do czynienia, ale że „w większej części rewindykowanych

[1]) *Die ruthenische Sprach- und Schriftfrage* (j. w. str. 20).

królestw t. j. w dawniejszem województwie czerwono-ruskiem nie jest polski język mową potoczną pospolitego ludu, lecz pewien dyalekt ruski czyli illyrski". Dalej twierdził Koranda, iż z tego powodu o nauce w polskim języku niemoże być mowa, przyczem podał jeszcze inne powody a wszystkie tak niedorzeczne, że je referent nadworny Felbiger bardzo dosadnie zbił. Ruteńska narodowość była już wtedy uznana jako narzędzie przeciw polskim aspiracyom „dla uszlachetnienia charakteru narodowego i zharmonizowania go z nową formą rządu", jak się Konrada w swojej relacyi wyraził. W r. 1831 utworzył się znowu komitet ruski przeciwko narodowemu polskiemu ruchowi i w czasie spisków odegrała agitacya rusko-moskiewska swoją rolę. Nigdy nie przybrała jednakże ta agitacya takich rozmiarów i nie została tak przez rząd wyzyskana jak w r. 1848".

Biurokracya austryacka nie umiała przed r. 1848 wyzyskać dobywających się po długiem uspieniu ruchów pomniejszych narodowości słowiańskich. Były to jeszcze słabe, zaledwie dla bystrego polityka dostrzegalne, symptomy tego ogólnego poza świat słowiański sięgającego poczucia narodowego, które w najbliższej przyszłości wybuchnąć miało z siłą żywiołową i z rozstrzygającym wpływem na politykę europejską w ogóle a cały ustrój i racyę bytu Austryi w ogóle. Jak słabem było to poczucie najlepiej objaśnia fakt, że nawet w społeczeństwie węgierskiem, tak dziś z fanatyczną wyłącznością hołdującem temu poczuciu, patryoci torujący drogę madiaryzmowi natrafiali na nieprzezwyciężony początkowo opór w rugowaniu urzędowej łaciny na rzecz języka ojczystego. Wszystko prędzej przyznaćby można staro-austryackiej biurokracyi aniżeli taką bystrość w odgadywaniu doniosłości wydobywającego się na wierzch nowego czynnika politycznego. Widziała w tem coś nowego, ale nie wiedziała, co z tym fantem począć. To tylko świtało jej w głowie, że z czasem możnaby z tego ruchu w świecie słowiańskim zrobić użytek dla zaszachowania żywiołów niespokojnych. Co do sprawy rusko-galicyjskiej można to wnosić z głosu Sali, radcy i zaufanego prezydyalisty gubernium galicyjskiego z historycznego okresu spisków i rzezi z r. 1846, wtajemniczonego we wszystkie intencye br. Kriega i patrzącego pod niejednym względem przez pryzmat tych intencyi nawet w chwili pisania dzieła o r. 1846, w początkach bieżącej ery konstytucyjnej. „Pierwsze ślady odrodzenia narodowości ruskiej — pisze ten klasyczny świadek poglądów i planów współczesnej mu biurokracyi

galicyjskiej [1]) — spotykamy w r. 1836. Gdy krakowsko-galicyjski związek karbonaryuszy zlał się ze Stowarzyszeniem ludu polskiego, weszło na porządek dzienny jednego z posiedzeń najwyższej władzy we Lwowie zażalenie przyjętych do związku gr.-kat. seminarzystów lwowskich z tego powodu, że przy nadaniu związkowi nazwy narodowość ruska została pominięta... Odrzucenie tej skargi oziębiło seminarzystów dla celów związku... Zaraz tedy powstało w gr.-kat. seminaryum stronnictwo ruskie, lub — jak je Polacy złośliwie nazywali — rossyjskie. Już w r. 1836/7 zaczęli seminarzyści używać ruskiego języka jako konwersacyjnego i pod kierunkiem dawnego profesora religii w lwowskim uniwersytecie a późniejszego rektora seminaryum Grzegorza Jachimowicza pracować nad słownikiem rossyjsko-ruskim, którego celem było przedstawienie podobieństwa i różnic pomiędzy obu językami". Przypomina dalej Sala, że już wtedy uczono się historyi Rusi, że Markian Szaszkiewicz polemizował z ks. Józefem Łozińskim, który proponował używania alfabetu łacińskiego w ruskiem języku, że ks. Jachimowicz w osobnej broszurze bronił odrębności kalendarzowej Rusinów, że wreszcie kanonik Kuziemski przeparł zaprowadzenie ruskiej czytanki w szkołach ludowych. „Dla galicyjskiego rządu prowincyonalnego — kończy Sala — te objawy życia dawno zapomnianej narodowości były taką niespodzianką, że z początku patrzał na nie z pewnem niedowierzaniem i starał się znaleść ukryty aparat galwaniczny, jako ich przyczynę. Rząd ten bowiem także uważał narodowość ruską za dawno umarłą".

W społeczeństwie polskiem nieuważano bynajmniej ruskiej narodowości za umarłą, lecz za złączoną z niem najściślejszemi węzłami tradycyi historycznych i wspólnego pożycia. Dowodem na to fakt, że odróżniało nawet ono w chwili wybuchu antagonizmu w r. 1848 kwestyę świętojurską jako świeży produkt polityczny od sprawy ruskiej. W adresie bowiem, który wtedy wręczyła cesarzowi w Wiedniu wielka deputacya polska a który różnił się od równocześnie we Lwowie ułożonego adresu do tronu nie tyle w głównej treści, ile w szczegółach i formie, mieści sie zdanie, aby „w szkołach ludowych językiem wykładowym było narzecze w danej miejscowości panujące". Odnosiło sie to oczywiście głównie do szkół we wschodniej Galicyi a stanowiło niezawodnie

[1]) Moriz Freiherr von Sala: *Geschichte des polnischen Aufstandes vom Jahre 1846.* Nach authentischen Quellen dargestellt. — Wien 1867 — str. 98.

najdobitniejszy na owe czasy objaw życzliwego usposobienia dla normalnego rozwoju i pielęgnowania ruskiej narodowości.

Ale i rząd ówczesny snać niezupełnie podzielał opinię przez br. Salę wyrażoną, skoro dla wrzekomo umarłej narodowości czynił ustępstwa przed r. 1848. Wyszło to na jaw w parlamencie kromieryskiem, gdy Edmund Kraiński wniósł energiczną interpelacyę do ministra spraw wewnętrznych hr. Stadiona z zarzutem, że władze sieją waśń domową w Galicyi pomiędzy dworem a włościanami z jednej a Polakami i Rusinami z drugiej strony. W interpelacyi tej zarzucono także rządowi, że w galicyjskich publikacyach gubernialnych zaczęto używać języka ruskiego bez dodawania textu polskiego. Hr. Stadion nie mógł dać natychmiastowej odpowiedzi na tę interpelacyę, a gdy się zwrócił do hr. Gołuchowskiego po informacyę, otrzymał od niego w relacyi z 30. stycznia 1849 odpowiedź tej treści, że już wskutek reskryptu ministeryalnego, wydanego 9. marca 1847, a więc jeszcze przed przybyciem hr. Stadiona do Galicyi, gubernialne ogłoszenia przeznaczone dla cyrkułów wschodnio-galicyjskich mają być drukowane w języku ruskim cyrylicą. Dodał przytem hr. Gołuchowski, że do wschodniej Galicyi wyseła się mimo to odpowiednią liczbę egzemplarzy z polskim textem, który obok ruskiego nie może być dodawany z tego powodu, iż miejsce to należy się textowi niemieckiemu jako urzędowemu.

Ale jest jeszcze inny daleko ważniejszy dowód na to, że rząd już przed r. 1848 powziął zamiar wyzyskania zaznaczonej przez br. Salę różnicy w narodowym kierunku dla swoich głównych celów politycznych, streszczających się w haśle *divide et impera.* Mamy na myśli pomysł podziału Galicyi na dwa okręgi administracyjne, niejako na dwie prowincye. Pomył ten, rodem z piekła r. 1846, stanowi jedną z najważniejszych spraw w całej działalności hr. Gołuchowskiego. Uznając zgubną doniosłość tego pomysłu walczył z nim hr. Gołuchowski konsekwentnie we Lwowie i we Wiedniu. Była to niejako hydra polityczna, której łeb, ścięty przez hr. Gołuchowskiego jako ministra stanu w r. 1860, odrósł zaraz po przyjściu Schmerlinga do steru a potem ponownie ścięty w uchwałach sejmowych o administracyjnym ustroju kraju, już wprawdzie nie odrósł w dawnej sile, ale wnet jeszcze raz się przypomniał w demonstracyjny sposób [1]) i odtąd słabszem już, co prawda, echem rozbrzmiewa jeszcze wciąż na wiecach ruskich

[1]) *Denkschrift in Betreff der Theilung Galiziens.* Lemberg 1865.

i w prasie ruskiej nietylko świętojurskiego autoramentu, lecz i w jej na pozór ugodowym odcieniu tak, iż sprawy tej nie można uważać za ostatecznie pogrzebaną. Już ze względu na historyczne antecedencye i zakonserwowaną w skrajniejszych programach ruskich aktualność sprawy, należałaby się podziałowi Galicyi obszerniejsza wzmianka, chociażby to nawet uchodzić miało wobec naszego tematu za pewną dygressyę. Nie będzie tem jednak tutaj taka wzmianka z tego powodu, że właśnie w tej sprawie wypadło hr. Gołuchowskiemu stoczyć w pierwszych latach rządów swoich ostrą polemikę urzędową z ruską Radą narodową z r. 1848, że zatem właśnie w tej sprawie uwydatniło się, tak samo jak później w sprawie walki o język wykładowy w szkołach, prawdziwe a niedość w kraju znane lub co najmniej niedość jeszcze uznane stanowisko hr. Gołuchowskiego wobec świętojurskiego separatyzmu politycznego.

Decyzya cesarska w sprawie podziału Galicyi zapadła już 27. lutego 1847. „Galicya ma być podzielona — tak opiewa ta decyzya — na dwa okręgi gubernialne. Siedzibą jednego gubernium ma pozostać Lwów, a siedzibą drugiego ma być Kraków". Dalszem postanowieniem najwyższem z 29. marca 1847 orzeczono, że do gubernium krakowskiego należyć mają obwody: Wadowice, Bochnia, Nowy Sącz, Jasło, Tarnów, Rzeszów i Sanok, a gubernium lwowskie miało obejmować resztę obwodów galicyjskich i Bukowinę. „Termin wykonania tego podziału prowincyi — pisze najwyższy kanclerz hr. Inzaghy do gubernium lwowskiego dnia 3. kwietnia 1847 — na dwa okręgi, które jednak na razie nie będą nazywane Galicyą wschodnią i zachodnią, ma być zaproponowany dopiero po zupełnem ukończeniu wszystkich potrzebnych do tego przygotowań. Należy przytem uwzględnić wszystkie okoliczności wpływ w tej mierze wywierające a przedewszystkiem tę, że przez ten podział niema być narażona jednolitość w przeprowadzaniu zarządzeń, wydanych przez komisarza nadwornego Rudolfa hr. Stadiona". Ów Rudolf hr. Stadion, brat późniejszego gubernatora Franciszka, skończył właśnie wtedy swój objazd Galicyi i zaproponował cały szereg nie bardzo szczęśliwie pomyślanych reform w ustroju administracyjnym, a przedewszystkiem ustanowienie exponowanych komisarzy cyrkularnych jako pośrednie ogniwo między dominium a władzą obwodową.

Równocześnie zażądał hr. Jnzaghy od br. Kriega, ówczesnego prezydenta gubernialnego i właściwej głowy rządu prowincyonalnego, całego szeregu relacyi o kwestyach nierozdzielnie związanych

ze sprawą podziału Galicyi. Br. Krieg ochoczo wziął się do spełnienia tego zadania i oświadczył rządowi centralnemu, że żadnej trudności nie ulegnie podział operatów katastralnych i gruntowo-podatkowych, ale za to niektóre fundusze publiczne z powodu zachodzących trudności pozostawić wypadnie w stanie niepodzielnym w zarządzie lwowskim. Co do podziału Towarzystwa kredytowego sam br. Krieg zawahał się, czy można postąpić imperatywnie i ostatecznie uznał potrzebę odniesienia się w tej mierze tak do walnego zebrania członków jak i do stanów. Podział stanów przedstawiał największą trudność, bo chodziło o fundusze i metrykę szlachecką. Ale właśnie tutaj podział był dla ówczesnego gubernium i jego intencyi politycznych bardzo ponętny. Z wielką otwartością, której, gdyby chodziło nie o sprawę polityczną lecz moralną, należałaby się nazwa cynizmu, mówi br. Krieg w relacyi swojej o korzyściach rozbicia stanów na dwie korporacye. Rozbiłby się, jego zdaniem, w ten sposób zwarty obóz szlachty polskiej i zapobiegłoby się jej niebezpiecznym zjazdom we Lwowie, a chociaż w razie podziału w obu zebraniach stanowych pozostaną te same żywioły, z których składa się ta instytucya w dotychczasowym ustroju, to jednak zawsze łatwiej przyjdzie rządowi wodzić na pasku dwa małe zebrania, aniżeli jedno większe. Dla tej korzyści politycznej oświadczyło się gubernium lwowskie za podziałem instytucyi stanowej *coute qua coute*, chociaż wiedziało dobrze, jakie trudności administracyjne ztąd się wyłonić muszą i chociaż co do rozbicia jednolitej metryki szlacheckiej na dwie części nie zapoznawało anormalności tego kroku wobec faktu, że pomimo administracyjnego podziału kraju i mechanicznego rozbicia jego jednolitych instytucyi, szlachta na całym obszarze obu nowych okręgów gubernialnych pozostanie ściśle połączona węzłami pokrewieństwa i powinowactwa, więc węzłami, w trwałości swojej niezależnemi od polityczno-administracyjnych experymentów podziałowych.

Sprawa podziału dyecezyi w sposób zastosowany do projektowanego podziału Galicyi musiała być pozostawiona w zawieszeniu z powodu skomplikowanych stosunków dyecezyi krakowskiej, których rozwikłania wobec Rossyi nie myślano zainicyować. Po słuszności należy to zaznaczyć, że między motywami gubernium lwowskiego, przytoczonemi za utrzymaniem *status quo* w dyecezyi krakowskiej, przytoczoną była także obawa, aby rząd rossyjski w danym razie nie wyzyskał rozdziału na niekorzyść interesów kościoła katolickiego w zakordonowej części dawnej dyecezyi krakowskiej. Co do dyecezyi przemyskiej obu obrządków utrzymanie

status quo, a więc pozostawienie w ich obrębie probostw z zachodniej Galicyi, okazało się już ze samych względów kościelno-administracyjnych niezbędnem, gdyż przeniesienie biskupstwa rz.-kat. do Rzeszowa nietylko wymagałoby nowych kosztownych urządzeń w tem mieście, lecz nadto przydzielenie wschodnio-galicyjskiej części dyecezyi do rozległej już i bez tego dyecezyi lwowskiej, a utworzenie nowego gr.-kat. biskupstwa dla nielicznych probostw gr.-kat. w zachodniej Galicyi nie dałoby się wcale uzasadnić.

Mimowoli a pewnie i wbrew swojej intencyi natknął tutaj referent gubernialny na szkopuł, który, gdyby mu się był bliżej przypatrzył, musiałby go był przywieść do przekonania, że nietylko węzły pokrewieństwa i powinowactwa pomiędzy szlachtą całego kraju, więc w jednej klasie ludności, o czem powyżej była mowa, lecz w daleko wyższym stopniu stosunki kościelno-obrządkowe, więc stan rzeczy wytworzony wspólnem pożyciem całej ludności w ciągu wieków, nadają Galicyi mimo różnic językowych i obrządkowych charakter takiej jednolitości społecznej, jakiej brutalny mechanizm administracyjny bez najdotkliwszej ujmy dla interesów materyalnych i moralnych nigdy zachwiać nie zdoła. Ale w owych czasach skrupuły podobne nie zwracały na siebie uwagi, gdyż w grę wchodziła najwyższa maxyma polityczna: *divide et impera!*

Zanim w Wiedniu zapadła decyzya o szczegółach projektowanego podziału kraju, zaszła ważna zmiana w gubernium galicyjskiem z powodu objęcia rządów przez Franciszka hr. Stadiona. Odroczono tę decyzyę aż do wysłuchania opinii nowego gubernatora, któremu też w tym celu przesłano wszystkie operaty podziałowe br. Kriega. Hr. Franciszek Stadion jak we wszystkiem tak i w tej sprawie samodzielnie myślący i głębiej w rzecz wnikający, w relacyi swojej z 27. sierpnia 1847 uchylił się od wypowiedzenia stanowczego zdania, dopóki dobrze nie pozna kraju i jego stosunków. Zbyt był sumienny, aby tytuł do takiej znajomości rościł sobie z dawniejszego krótkiego pobytu w Galicyi w charakterze młodziutkiego urzędnika gubernialnego i cyrkularnego. Już w tej relacyi jednak podniósł wątpliwości, jakie nasuwają się wobec potrzeby jednolitego przeprowadzenia reformy administracyjnej w całym kraju (organizacyi pierwszych instancyi administracyjnych w miejsce mandataryatów) oraz wobec jednolitości stojącej na porządku dziennym wielkiej reformy stosunków społecznych (regulacya sprawy pańszczyźnianej). W końcu dodał hr. Stadion, że gdyby koniecznie musiał już na wstępie do Galicyi wystąpić z wnioskiem w sprawie projektu podziałowego, to musiałby zawsze

zastrzedz jednolitość rozbitej administracyi w ten sposób, aby oba gubernia zostawały pod kierunkiem jednego szefa całego kraju. Relacya hr. Stadiona wywołała ponowne najwyższe postanowienie z 13. października 1847. Uderzyć to musi każdego szybkość załatwiania tej sprawy w czasach, gdy biurokratyczna metoda przewlekania spraw nawet niezawiłych, doprowadzona została do szczytu niedoścignionego ani przedtem ani później. „Nie leży w moich zamiarach — tak opiewa powyższe najwyższe postanowienie cesarza Ferdynanda — aby pertraktacye co do postanowionego podziału Galicyi na dwie gubernie zostały zaniechane aż do zupełnego przeprowadzenia wszystkich w tej prowincyi zainicyowanych urządzeń organizacyjnych. Należy owszem w myśl mojego postanowienia z 29. marca b. r. wszystko należycie przygotować, aby podział ten, skoro porę do tego uznam za stosowną, można bezzwłocznie przeprowadzić. Hr. Stadionowi zaś należy wyznaczyć odpowiedni, ile możności ograniczony, termin do przedłożenia zażądanej od niego opinii o przyszłej politycznej administracyi kraju, co jednak niema przeszkadzać bezwłocznemu wydaniu niezależnych od tej opinii zarządzeń przygotowawczych, jak n. p. co do wyszukania lokalu w Krakowie. Należy wreszcie wziąć pod rozwagę także i kwestyę, w jakim związku ze sobą pozostawać mają w przyszłości oba gubernia bez ujmy dla ich samodzielności, aby zgodne postępowanie w ogólnych i ważniejszych sprawach krajowych było zabezpieczone, zawsze jednak bez poddawania ich pod wspólnego szefa kraju“. Więc podział miał być pod względem politycznym zupełny i stanowczy!

Hr. Stadion w relacyi z 12. listopada 1847 daje na ponowne wezwanie odpowiedź niemal złośliwą. Mówi bowiem, że nie może podnieść żadnych zarzutów przeciw szczegółowym elaboratom podziałowym br. Kriega, ale podstawę ich uważa za „zupełnie fałszywą“, o ile ona się nie liczy z przyszłemi zmianami w ustroju administracyjnym, że dalej możnaby zabezpieczyć zgodne postępowanie obu „senatów gubernialnych“ we Lwowie i w Krakowie, jeżeli ich naczelne kierownictwo poruczone zostanie jednemu gubernatorowi. Jednakże osiągnięcie takiej zgodności dwóch samodzielnych guberniów bez wspólnego kierownictwa nie będzie łatwem. „Nie widzę na to rady — kończy hr. Stadion — a zawsze wydaje mi się to bezwarunkowo koniecznem, aby powyżej wspomniane organiczne zmiany zostały jednolicie ułożone, przeprowadzone i wykończone“.

Tymczasem niezależnie od sprawy podziału Galicyi zorganizowaną została władza obwodowa w Krakowie z Wilhelmem br. Kriegem jako starostą na czele. Kanclerz Jnzaghy w reskrypcie z 17. listopada 1847 wyjawił hr. Stadionowi otwarcie jeden z powodów przyspieszonej organizacyi władzy obwodowej w Krakowie i naglącego nacisku w sprawie podziału Galicyi. Chodziło wtedy mianowicie o dobitne odparcie obiegającej wówczas w Krakowie pogłoski, jakoby przyłączenie tego miasta do Austryi nie było krokiem na seryo dokonanym, lecz owszem wkrótce oczekiwać należało wskrzeszenia republiki krakowskiej.

Rok 1848 zastał sprawę podziału Galicyi na dwa okręgi gubernialne niezałatwioną. Gdy hr. Stadion opuścił stanowisko gubernatora a rządy chwilowo przed mianowaniem jego następcy (Wacława Zaleskiego) przeszły w ręce hr. Gołuchowskiego, jako ówczesnego wiceprezydenta gubernialnego, sprawa przybrała charakter daleko niebezpieczniejszy z powodu wysunięcia motywów narodowo-politycznych, które dotąd można było tylko odgadywać, których jednak w aktach gubernialnych jeszcze otwarcie nie podniesiono. Rada ruska bowiem złożyła w ręce hr. Gołuchowskiego petycyę do Cesarza z prośbą o rychłe podzielenie Galicyi na wschodnią (ruską) i zachodnią (polską) połowę, uzasadniając prośbę tę prawami i potrzebami rozwojowemi ruskiej narodowości, która dotąd upośledzona w razie uzyskania odrębności administracyjnej podniosłaby się zaraz z dotychczasowej prostracyi politycznej.

Hr. Gołuchowski miał tedy przed sobą kwestyę najpierw zasadniczo już stanowczo przesądzoną powyżej przytoczonemi decyzyami cesarskiemi, a powtóre odświeżoną i spopularyzowaną na tle narodowo-ruskiem, które w ówczesnych sferach rządowych w Wiedniu miało zapewnioną sympatyę i liczyć mogło na wszelkie poparcie. Kiedy ta petycya ruska nadeszła do Wiednia z relacyą hr. Gołuchowskiego z 15. czerwca 1848, powołującą się na relacyę hr. Stadiona, zastała tam grunt już zkądinąd utorowany. Stosunki konstytucyjne bowiem weszły już były na pochyłą drogę i staczały się powoli ale stanowczo ku przepaści reakcyjnej, której ukryci na razie koryfeusze konsygnowali swoje siły w każdej prowincyi. W Galicyi kwestya ruska upatrzoną była w tych kołach za punkt oparcia do walki z burzącą się polskością. Wtedy już liczono na to w Wiedniu, że skoro raz Galicya podzieloną zostanie na dwa okręgi gubernialne, to walka z żywiołami niespokojnymi będzie już tem samem w wysokiem stopniu ułatwioną. Polskość bowiem straciłaby w takim razie w wschodniej Galicyi grunt pod nogami

wobec przewagi rozbudzonego i administracyjnie oddzielonego żywiołu ruskiego a zizolowana na zachodnią Galicyę da się utrzymać w karbach za pomocą energiczniejszej administracyi.

Na kilka miesięcy jednak sprawa poszła w odwłokę, gdyż stronnictwo reakcyjne u dworu nie było jeszcze dostatecznie przygotowane do rozpoczęcia stanowczej akcyi. Jak dwuznaczną rolę odgrywano wtedy w Wiedniu świadczy fakt, iż nowego gubernatora Wacława Zaleskiego wysłano do Galicyi na pozór z missyą pacyfikacyjną i z upoważnieniem do wcale daleko idących ustępstw dla żywiołu polskiego w przeprowadzeniu projektów organizacyjnych, a mimo to umieszczono w jego dekrecie nominacyjnym to złowrogie dla polskości zastrzeżenie, że mianowany zostaje „gubernatorem Galicyi z włączeniem krakowskiego obwodu i Bukowiny, a na wypadek podziału prowincyi na dwa okręgi gubernialne, także gubernatorem Krakowa“. To też złudzenie trwało krótko. Lawina reakcyjna staczała się coraz szybciej w dół a fakt zbombardowania Lwowa był pierwszem jej uderzeniem o chwiejny gmach konstytucyjny, albo raczej o wątłe rusztowanie wzniesione dopiero około budowy tego gmachu. Zaleski otrzymał przytoczony już przedtem w całości reskrypt br. Wessenberga z komendą do rozpoczęcia kroków reakcyjnych, między któremi bezzwłoczne utworzenie osobnej komisyi gubernialnej w Krakowie dla zachodniej Galicyi wymieniono w pierwszym rzędzie. Wiadomo, że Zaleski spełnił to polecenie nie bez remonstracyi wobec ministerstwa, któremu nietylko przedstawił brak ścisłego określenia kompetencyi krakowskiej komisyi gubernialnej, lecz nadto poniekąd wytknął otwarcie, że „chwila obecna wobec stanu kraju, wzburzonego zewsząd do najwyższego stopnia agitacyami wszelkiego rodzaju, jest wcale nieodpowiednią do tak ważnego kroku, jak faktyczny podział kraju na dwa okręgi gubernialne“.

Hr. Gołuchowski, jako zastępca Zaleskiego, znalazł się już tedy wobec faktu dokonanego co do samego mechaniczno-administracyjnego podziału kraju, ale strona polityczna zaogniła się dopiero teraz za sprawą coraz śmielszej, zachłanniejszej i natarczywszej w swoich aspiracyach ruskiej Rady narodowej.

W skazanej, jak wiadomo, już z góry na niewykonanie konstytucyi oktrojowanej z 4. marca 1849 zapowiadał §. 83., że „wszystkie konstytucye poszczególnych krajów koronnych, w skład państwa wchodzących mają wejść w życie w ciągu r. 1849 i muszą być przedłożone pierwszemu ogólnemu parlamentowi austryackiemu, który zaraz po zaprowadzeniu tych konstytucyi zwołany

zostanie". Z tej zapowiedzi konstytucyjnej skorzystała zaraz Rada ruska, której generał Hammerstein nietylko nie zamknął wśród stanu oblężenia jak inne stowarzyszenia, a przedewszystkiem polską Radę narodową, lecz owszem otoczył pewną opieką, jakby to była instytucya bardzo pożyteczna i potrzebna dla interesów państwa i kraju. Otóż powołując się na powyższą zapowiedź konstytucyjną wniosła Rada ruska 29. marca 1849 podanie do ministerstwa w sprawie podziału Galicyi. Na podaniu tem figurują podpisy kanonika ks. Michała Kuziemskiego, jako przewodniczącego, i kanonika ks. Michała Malinowskiego, jako sekretarza. W podaniu swojem Rada ruska powołuje się na mnogie petycye Rusinów („*der Russinen*" — tak opiewała jeszcze wówczas nazwa Rusinów w piśmie ich urzędowego niejako organu!) oraz na liczne deputacye, wysłane do rozwiązanego sejmu konstytucyjnego w Wiedniu, a stwierdzające wrzekomo fakt, że „podział Galicyi według ruskiej *(„russinischen")* i „mazurskiej" *(sic!)* narodowości, leży w życzeniach całej ludności zamieszkałej przez Rusinów części Galicyi". Same administracyjne oddzielenie sześciu zachodnich obwodów pod kierunkiem krakowskiej komisyi gubernialnej nie jest według podania Rady ruskiej dostatecznym środkiem zaspokojenia tych życzeń, gdyż „chodzi o prowincyonalną samodzielność kraju „rusińskiego" *(„des Russinenlandes")*, aby on tworzył osobny kraj koronny i otrzymywał równe prawa z innemi krajami koronnemi". Po oskarżeniu Polaków nietylko o uciskanie Rusinów, lecz nadto o machinacye rewolucyjne, zmierzające ku rozbiciu państwa austryackiego i odbudowaniu Polski, mówi dalej petycya ruska, czy — jak się sama nazywa — *rusińska:* „Okoliczność, że konstytucya państwowa z 4. marca 1849 niedość jasno orzeka, czy kraj rusiński tworzyć ma pod nazwą „Królestwa Galicyi i Lodomeryi" odrębny kraj koronny wobec „Wielkiego Księstwa Krakowskiego z Księstwem Oświęcimskiem i Zatorskiem", czy kraj ten otrzymać ma odrębną konstytucyę krajową z osobnym sejmem krajowym, lub pozostanie we wspólnym związku prowincyonalnym, wywołał niezadowolenie wśród całej rusińskiej ludności, co zapewne nie uszło uwadze władz krajowych". Petycya kończy się prośbą, aby kwestya ta została rozwiązaną w sposób przychylny dla „rusińskiego kraju" i zapewnia, że „naród rusiński" pogodzi się posłusznie nawet z ewentualną nieprzychylną decyzyą najwyższą, ale nie przestanie nigdy dążyć w drodze legalnej do „podziału Galicyi, niezbędnie potrzebnego dla spokoju i porządku prowincyi".

Dla ówczesnego ministra spraw wewnętrznych hr. Stadiona, który w tej chwili zasadniczo już nie opierał się experymentom podziałowym w Galicyi jak za czasów swojego gubernatorstwa, petycya ruska była mimo to, jak wnosić można z jego reskryptu z 26. kwietnia 1849, fantem wcale niewygodnym. Jako gubernator Galicyi mógł w ostatniej fazie swoich rządów traktować kwestyę ruską tylko ze stanowiska krajowego i widzieć w niej wygodny dla rządu środek szachowania aspiracyi politycznych polskiej ludności Galicyi, ale jako minister spraw wewnętrznych uczuć musiał skrupuł, nawet obawę, czy forytowanie żywiołów odśrodkowych w państwie nie przyniesie z czasem szkody bez porównania większej od chwilowych korzyści. Rzecz to zresztą wiadoma z rewelacyi br. Helferta, że hr. Stadion miał na myśli zaprowadzenie w Austryi i w Węgrzech terytoryalnego podziału na wzrór francuskiego systemu departamentalnego. Jeżeli w gabinecie ówczesnym przychylał się do wszystkich projektów, które miały na celu rozbicie jedności królestwa węgierskiego przez forytowanie rozbudzonych w r. 1848 ruchów w Słowiańszczyźnie węgierskiej, to pewnie czynił to z milczącem zastrzeżeniem, że projekty takie nie doprowadzą do odrębnej prowincyonalnej organizacyi każdego szczepu słowiańskiego, lecz w danej chwili posłużą mu tylko do tem łatwiejszego urzeczywistnienia powyższej idei przewodniej. Jak wiadomo choroba ciężka już na wiosnę r. 1849 zniewoliła hr. Stadiona do ustąpienia z gabinetu, więc plany te poszły z nim do grobu.

Petycya ruska, sięgająca po za mechaniczno-administracyjny podział Galicyi, upominająca się o zasadnicze konstytucyjne uznanie nowego „rusińskiego kraju“ koronnego, musiała na razie wchodzić w kolizyę z organizacyjnemi planami hr. Stadiona, więc jak powiedzieliśmy, była ona dlań niewygodną. W powołanym powyżej reskrypcie zwrócił się zatem hr. Stadion do hr. Gołuchowskiego nie z poleceniem, lecz wprost z usilną prośbą, aby kanonikowi Kuziemskiemu poufnie oznajmił, że „postanowienia prawne o konstytucyi Królestwa Galicyi i Lodomeryi oraz o politycznym podziale kraju, wydane zostaną po dokładnem rozpatrzeniu odrębnych stosunków“, że jednak „jestto rzecz niekorzystna dla spokoju kraju i dla interesów ludności, jeżeli takie kwestye jak powyższa nie w porę, przedwcześnie staną się przedmiotem publicznej dyskusyi i przez to odezwą się skargi pozbawione pozytywnej podstawy a podniecające namiętności i sprawiające rządowi kollizye“. Zaapelował wreszcie hr. Stadion do lojalności ks. Kuziemskiego,

aby zapobiegł niewygodnej dlań dyskusyi, wpłynął na uspokojenie ludności ruskiej i wzmocnił jej zaufanie do rządu. Chodziło więc tylko o uśmierzenie agitacyi a nie o zupełne odstąpienie od żądań podniesionych.

Jak opiewały poufne konferencye hr. Goluchowskiego z ks. Kuziemskiem i z innymi matadorami Rady ruskiej dla uśmierzenia agitacyi wszczętej w sprawie dla hr. Stadiona niewygodnej a dla kraju wprost zgubnej, o tem oczywiście niema śladu w aktach. Domyśleć się jednak można, że hr. Gołuchowski wytężył przytem cały wpływ swój w tych sferach i że, jakto sytuacya uczynić nakazywała, postępował przy tem ostrożnie, unikał tonu groźnego, nawet stanowczego a natomiast nie zaniedbał żadnego środka dyplomatycznego, który wiódł do celu. Jeżeli ten domysł jest trafny, to trafnem będzie także przypuszczenie, że właśnie w tych czasach ściągnął na siebie w niewtajemniczonej i z pozorów sądzącej opinii najwięcej podejrzeń co do wrzekomego forytowania ruchu świętojurskiego.

Stała także wtedy na porządku dziennym sprawa aktualna, w której hr. Gołuchowski mógł za jednym zachodem utrzymać chwilowo na wodzy rozpęd agitacyjny Rady ruskiej a zarazem wzmocnić swoje stanowisko wobec centralnego rządu dobitnym dowodem na to, że walkę prowadzi tylko z separatystami świętojurskimi, a o ile chodzi o ochronę interesów gr.-kat. kościoła i o rozwój kulturalny Rusinów w szczerze narodowym kierunku, gotów jest użyczyć w tej mierze swojego poparcia nawet planom zawistnej Rady ruskiej. Mamy tutaj na myśli sprawę ruskiego Domu narodnego, którego geneza właśnie na tę porę przypada. Inicyatywa wyszła z Rady ruskiej. Wniosła ona do ministerstwa petycyę, aby z gruzów zbombardowanego uniwersytetu odstąpiono Rusinom ruinę gmachu bibliotecznego na wzniesienie nowej cerkwi parafialnej i budynku parafialnego. Petycya ta, oparta głównie na tym motywie, że licznym we Lwowie wyznawcom obrządku gr.-kat. nie wystarcza wśródmieściu jedna cerkiew wołoska, została na zapytanie ministerstwa poparta przez hr. Gołuchowskiego z taką gotowością, że 25. sierpnia 1849 przyszło do Lwowa jej pomyślne załatwienie. Ale Rada ruska była inicyatorką nietylko separatystycznego ruchu świętojurskiego, lecz także i tej już odtąd stale przez ruskie stronnictwa przestrzeganej taktyki politycznej: że należy ciągle czegoś nowego żądać a nigdy nie zadowolić się zupełnie tem, co się w danej chwili uzyskało. Jeszcze bowiem nie zostało dokonane faktyczne oddanie ruiny bibliotecznej delegatom

Rady ruskiej a już nadeszła z Wiednia do zaopiniowania druga jej petycya, domagająca się darowania Rusinom całej realności pouniwersyteckiej na założenie zakładu narodowego, w którym według pierwotnego założenia miały się znajdować czytelnia, biblioteka i przytułek dla sierot po ruskich księżach, szkoła dyaków, jednem słowem cały szereg instytucyi z humanitarnemi i kulturnemi celami. I tę petycyę poparł hr. Gołuchowski a ministerstwo uczyniło jej z pośpiechem zadość. Kiedy potem utworzył się osobny komitet ruski dla zbierania składek w całym kraju na budowę cerkwi i zakładu narodowego, hr. Gołuchowski nietylko udzielił na to zezwolenia, lecz nawet czynem okazał przychylność swoją dla humanitarnych i kulturalnych aspiracyi ruskich. Rzecz naturalna, że opinia nie mogąc wglądnąć za kulisy, gdzie rozgrywała się zacięta walka ze świętojurstwem, a mając przed oczyma takie faktyczne objawy przychylności dla Rusinów i słysząc o poufnych konferencyach ks. Kuziemskiego z Namiestnikiem, utwierdziła się w mniemaniu, że hr. Gołuchowski pracuje nad rozwinięciem swojego produktu czy wynalazku politycznego t. j. kwestyi ruskiej.

Tymczasem hr. Stadion, pojmujący konstytucyę marcową na seryo, poczynił wszelkie przygotowania, aby jej §. 4. o konstytucyach (statutach) krajowych rychło został wykonany. Zwołane przezeń do Wiednia zabranie mężów zaufania zajęło się ułożeniem statutów krajowych, a z obrad tych wyszły najpierw projekty dla dolnej Austryi i Morawy, które przesłane zostały hr. Gołuchowskiemu jako wzory, celem ułożenia takiegoż projektu dla Galicyi. W reskrypcie przy tej sposobności wystosowanym hr. Stadion podniósł pomysł podzielenia reprezentacyi krajowej na dwie kurye sejmowe, wschodnio- i zachodnio-galicyjską z siedzibami we Lwowie i w Krakowie. Miał to być niejako konstytucyjny *pendant* do dokonanego już za rządów Wacława Zaleskiego administracyjnego podziału Galicyi. Plan ministeryalny nie odpowiadał całkowicie aspiracyom Rady ruskiej. Jak bowiem zamiast dwóch okręgów gubernialnych chciała ona mieć dwa kraje koronne, tak samo teraz zamiast dwóch kuryi sejmowych, wschodnio- i zachodnio-galicyjskiej, chciała mieć dwa sejmy krajowe. Sądząc z poprzednio przytoczonej petycyi o podziale kraju, miałyby to być sejmy „mazurski“ czy „krakowsko-oświęcimsko-zatorski“ i „rusiński!“

Według pomysłu hr. Stadiona każda z obu galicyjskich kuryi sejmowych miała liczyć po 140 posłów, mianowicie 20 z miast, 30 z klasy najwyżej opodatkowanych (wielkiej własności ziemskiej) i 90 z gmin wiejskich. Hr. Gołuchowski wydając opinię o tym

projekcie nieograniczył się do samych szczegółów, mianowicie do wykazania, że stosunek cyfrowy mandatów drugiej i trzeciej klasy wyborców (1 : 3) jest niesłuszny i wymaga sprostowania na korzyść drugiej kuryi (1 : 2), lecz nadto wystąpił przeciw samej myśli podziałowej, nie oglądając się na to, że tymczasem szef krakowskiej komisyi gubernialnej, radca dworu Ettmayer, zapytany także przez hr. Stadiona o opinię, na własną rękę i z wyskokiem przyklasnął tej myśli.

Podniosłszy trudności ustawodawczej i administracyjnej natury, jakie wywołaćby musiał podział sejmu na dwie kurye, mianowicie niemożność utrzymania jednolitości ustawodawczej i administracyjnej co do spraw wspólnych obu częściom kraju (fundusze krajowe, Towarzystwo kredytowe i t. p.), Namiestnik nie zawahał się wejść śmiało w drażliwe polityczne motywa, które w projekcie Stadionowskim wprawdzie nie znalazły jeszcze zupełnego wyrazu, ale w poprzednich adresach i petycyach ruskich na temat podziału Galicyi dobitnie zostały wypowiedziane i z tego powodu, ze względu na przyszłość, niepokoić musiały tak rozważnego i przenikliwego męża stanu, jakim w każdej kwestyi publicznego znaczenia okazywał się zawsze hr. Gołuchowski. Zwłaszcza w tej chwili musiał on liczyć się z dalszemi konsekwencyami zamierzonego aktu i być pod tym względem pessymistą, gdyż dla kół wtajemniczonych już wtedy niewątpliwą było rzeczą, że dnie rządów chorego hr. Stadiona są policzone a na widnokręgu polityki wewnętrznej zejdzie w całej okazałości reakcyjna gwiazda dr. Bacha.

„Oświadczam się — pisze hr. Gołuchowski w swojej relacyi z 9. maja 1849 do ministerstwa — przeciw podziałowi sejmu krajowego, gdyż mniemam, że w tem tkwi faktyczny podział kraju na dwie odrębne prowincye. Pod względem rzeczowym zdanie moje uzasadniłem już poprzednio i jak mniemam dostatecznie, ale sprawę uważam za tak ważną, że muszę jeszcze jeden powód podnieść. Ponieważ konstytucya krajowa stanowi najważniejszą część ustawodawstwa i kwestyę najżywotniejszą dla kraju a wobec wzajemności w oddziaływaniu także i dla całego państwa, przeto uważam za swój obowiązek, przy jej rozbiorze nietylko zważać na obecne stosunki, lecz także dokładnie zastanowić się nad tem, jak według wszelkiego prawdopodobieństwa polityczna sytuacya w przyszłości się ułoży. Wychodząc z tego punktu widzenia, muszę bez ogródek wypowiedzieć zdanie, że podział sejmu na dwie kurye, zaczem faktycznie poszedłby podział kraju na dwie prowincye,

t. j. na polską i na ruską, byłby, pominąwszy już inne okoliczności, niestosowny ze względu na przyszłe ukształtowanie się stosunków politycznych w ruskiej części kraju. Zachowanie się ruskiej narodowości podczas ostatnich zamieszek i kłopotów państwa wykazało jej przywiązanie i poświęcenie dla domu cesarskiego i państwa. Najbliższą przyczyną tego objawu było uczucie wdzięczności za opiekę doznawaną zawsze ze strony rządu i za dokonaną emancypacyę polityczną wobec szlachty. W tem uczuciu utwierdzało narodowość ruską duchowieństwo, któremu powiodło się ten cel osiągnąć pomimo przeciwnych dążności stronnictwa nieprzychylnego rządowi dlatego, że owo uczucie wypływało naturalnie z przyczyn powyżej wskazanych i że masy ludności ruskiej, pozbawione wszelkiej oświaty, obok rządu tylko duchowieństwu swojemu okazują zaufanie, poddając się ślepo jego kierownictwu. Ruskie duchowieństwo faktycznie stanowi prawie wyłącznie intelligencyę ruskiego ludu. Musi być jednak powód tej dotąd przez duchowieństwo okazywanej lojalności, gdyż bez takiego powodu nic się nie dzieje wśród zawikłań politycznych. Widocznie ruskie duchowieństwo spodziewa się, że przez podział kraju wybije się z dotychczasowej niższości wobec duchowieństwa łacińskiego, zyskując na powadze, wpływie, znaczeniu i materyalnych korzyściach. W tych dążnościach swoich duchowieństwo ruskie oczekuje poparcia ze strony ruskiego ludu, który jest żywiołem nieoświeconym, ale silnym, w zaufaniu swojem łatwo kierować się dającym i powolnym. Jednakże przy wzrastającym rozwoju narodowym i postępie w oświecie, siła hierarchii nie może być trwałą, lecz ustępować musi wobec prądów politycznych, skierowanych albo ku połączeniu się z polską narodowością, albo — co jest więcej prawdopodobnem — ku zbliżeniu się do pokrewnych ludów pod berłem rossyjskiem. W jednym i drugim razie ruska część kraju stałaby się ogniskiem knowań i zabiegów politycznych, które z ewentualną dążnością do połączenia wszystkich szczepów w jedno państwo ruskie mogłyby być niebezpieczne dla utrzymania pokoju z sąsiedniem mocarstwem, a nawet dla utrzymania tej części kraju przy monarchii. Że to moje zapatrywanie nie jest pozbawione podstawy, może rząd przekonać się z podania do tronu Rady ruskiej, w którem ona dołączając podania duchowieństwa i mieszkańców ruskich komitatów północnych Węgier prosi o połączenie tych komitatów z ruską częścią Galicyi w jedną całość, z jedną organizacyą konstytucyjną, z jednem ustawodawstwem i z jedną władzą rządową. Niemam powodu do powątpiewania o lojalności

i wiernem przywiązaniu dynastycznem dzisiejszego pokolenia Rusinów. Jednakże z powyższego aktu przebija już pragnienie połączenia z pokrewnemi ludami, a jeżeliby ta prośba została uwzględniona i Rusini wzmocnili się przez rozwój swojej narodowości wśród obecnych stosunków hierarchii, w takim razie jeżeli nie dzisiejsze to niezawodnie przyszłe pokolenie zwróciłoby się ku żyjącym pod berłem rossyjskim pokrewnym ludom, celem wytworzenia jednolitego potężnego organizmu państwowego. Wtedy ruska część Galicyi przy postępie oświaty i kultury materyalnej stałaby się ogniskiem knowań i zabiegów, mających na celu tak złamanie hierarchicznej siły duchowieństwa jak i wspomniane powyżej połączenie ludów. Krótko mówiąc, mogłoby się wywiązać o Ruś (według aktu właściwie o *Ruterię-Ruthenien)* taka sama walka, jaka od wielu lat z przerwami ale z żelazną wytrwałością toczy się o odbudowanie wolnej i niezależnej Polski".

Do genezy sprawy galicyjsko-ruskiej *alias* świętojurskiej przybywa z pism powyżej przytoczonych ciekawe pod niejednym względem objaśnienie. Przedewszystkiem uderza — ogólna konfuzya. Nawet sam hr. Stadion nie wiedział, co począć z tą sprawą przy projektowanym podziale Galicyi i jej sejmu, bo z jednej strony popierał ten podział, o ile chodziło o mechaniczno-administracyjne rozbicie Galicyi, jako wstęp do departamentalnej organizacyi państwa, a z drugiej strony widocznie zakłopotał się żądaniem Rady ruskiej, aby rozbicie to posunięte zostało do najdalszej konsekwencyi, do utworzenia z Galicyi dwóch odrębnych prowincyi. Po ustąpieniu Stadiona następca jego Bach, chociaż tak był bezwzględnym i stanowczym w kawałkowaniu królestwa węgierskiego na oddzielne prowincye z osobnemi namiestnictwami i chociaż przytem nie wahał się rozdmuchiwać tam dalej rozbudzonych w r. 1848/9 antagonizmów narodowych, był oględniejszym co do Galicyi. Widocznie liczył się z remonstracyą hr. Gołuchowskiego przeciw żądaniu Rady ruskiej, ale żeby nie pójść znowu w kierunku przeciwnym i przez zatrzymanie jednolitości konstytucyjnej kraju nie zrazić sobie Rusinów, wpadł, jak się zdaje za inspiracyą otrzymaną z pozostałych po hr. Stadionie przygotowań, na pomysł departamentalnego systemu w podziale. W tym statucie krajowym bowiem, który według §. 4. konstytucyi marcowej z r. 1849 przygotowany został dla Galicyi, ale nie wszedł — na szczęście — w życie, przyjęty został teraz jako wyjście z kłopotliwej sytuacyi istny dziwoląg, podział sejmu na trzy kurye: krakowską, lwowską i stanisławowską, a więc

podział oparty na wskazówkach, czerpanych z konfiguracyi terytoryalnej kraju.

Szczytem konfuzyi jest petycya Rady ruskiej. Nazywa ona siebie po niemiecku *Hauptversammlung der Ruthenen* a zapomina o *Rutenach* żądając wyodrębnienia terytoryalnego *Russinenland*'u z *Russinenvolk*'iem wobec krakowsko-oświęcimsko-zatorskiego kraju! Co wyniknąć ma w przyszłości z takiego podziału, o tem wynalazca *Russinenland*'u, ks. kanonik Kuziemski, wcale nie wspomina, a hr. Gołuchowski w swojej relacyi dochodzi aż do wniosku o grożącem Austryi powstaniu *Rutenii* z takiemi aspiracyami jak Polska, wniosku, któryby raził w głowie tak jasnej i trzeźwej, gdyby nie fakt, że wtedy jeszcze nie wychyłało się widmo russofilizmu jako *tertii gaudentis* w sporze polsko-ruskim, że owszem Rossyę uważano w tej chwili za zbawcę, mającego zgnieść groźny dla państwa wybuch rewolucyjny w Węgrzech. Za to pod jednym względem hr. Gołuchowski patrzał na kwestyę świętojurską bardzo jasno, bo zwrócił w swojej relacyi uwagę na szczegół wówczas najważniejszy a zapoznawany t. j. na moment socyalny. „Emancypacya polityczna wobec szlachty“ i „wybicie się duchowieństwa ruskiego z dotychczasowej niższości wobec duchowieństwa łacińskiego“ — oto dwa ważne motywa, które rzucają światło na genezę sprawy świętojurskiej i doskonale tłumaczą jej rozstrojony charakter w samym zawiązku. Szlachta uchodziła w tej dobie za inkarnacyę wszystkiego złego i wobec rządu za ognisko spisków, wobec duchowieństwa ruskiego za sprawczynię jego niższości wobec duchowieństwa łacińskiego, wobec ludu wiejskiego za reprezentantkę przebytej niedoli pańszczyźnianej, gotową każdej chwili do wskrzeszenia tej niedoli, wobec całego świata wreszcie za rdzeń polskości, za polskość w ogóle. Więc hejże na szlachtę! Pod tym hasłem w owej dobie liczyć mogła na powodzenie każda akcya polityczna, zwłaszcza taka, w której jak w sprawie świętojurskiej, nie brakło jeszcze domieszki tak skwapliwie przez rząd na Węgrzech forytowanego narodowego antagonizmu jako najlepszego środka rozbijania upornej całości na małe i powolne ułamki! A nie zapominajmy przytem, że za tem wszystkiem wtedy jeszcze stał generał Hammerstein osłaniający Radę ruską możną swoją opieką!

Mimochodem wypada zaznaczyć, że nawet biurokracya niemiecko-galicyjska, która jak wiadomo czule opiekowała się Radą ruską i całym ruchem ruskim, niewiedziała, jak właściwie nazywać należy tę nową kwestyę narodowo-polityczną. W rok później n. p. starosta z Wadowic Losert, przedstawiając kandydatów na posady

przy nowej organizacyi władz politycznych i pragnąc przy tem jednego z nich szczególnie — jak się w takich razach w żargonie biurowym mówi — wystrychnąć, dodał w jego tabeli kwalifikacyjnej: „także dla *Ruthenii* i Bukowiny uzdolniony". Miało to zapewne oznaczać, że kandydat włada narzeczem ludowo-ruskiem.

Dalsze koleje sprawy podziału Galicyi na dwie prowincye, jej ubicie, w chwili gdy hr. Gołuchowski został ministrem stanu, jej chwilowe wskrzeszenie za czasów Schmerlinga, potem ponowne ubicie za drugiego namiestnikowstwa hr. Gołuchowskiego, wreszcie jej ścisła i nieprzerwana łączność ze sprawą ruską jako bliźniaczą kreacyą r. 1848/9, nie wchodzą już w ramy tej pracy tak samo jak i prognoza o dalszych jej losach. Tutaj to tylko zaznaczyć wypada, że w pierwszych latach rządów swoich hr. Gołuchowski nawet w zarządzeniach administracyjnych, zwłaszcza w zakresie ekonomicznym, walczyć musiał zawsze z trudnościami, jakie wytwarzał fakt istnienia osobnej komisyi gubernialnej w Krakowie. Trudności te z biegiem czasu wzrastały w miarę, jak na prezydentów krajowych w Krakowie po pierwszym szefie, skromnym radcy dworu Ettmayerze, powoływano osobistości z pretensyami do odgrywania wybitniejszej roli pod względem społecznym i politycznym. Taką osobistością był n. p. Franciszek hr. Mercandin. W zakresie ściśle biurokratycznym hr. Mercandin starał się i mógł nawet przybierać pozę samodzielnego szefa, wskutek czego hr. Gołuchowski tem więcej pamiętał o tem, żeby tam, gdzie to tylko było możliwem, zaznaczona została jednolitość kraju. Doskonała sposobność nadarzyła się do tego w chwili, gdy kraje koronne z powodu zaślubin cesarza Franciszka Józefa wysełały deputacye gratulacyjne i hołdownicze do Wiednia. Hr. Mercandin przygotowywał się już do świetnej wyprawy na czele deputacyi zachodnio-galicyjskiej, gdy wśród tych przygotowań zabiegi hr. Gołuchowskiego około wyjednania równoczesnego przyjęcia deputacyi obu okręgów administracyjnych jako całości, uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. W myśl bowiem wydanej przez samego cesarza decyzyi, deputacya zachodniej Galicyi miała stanąć przed nim razem z deputacyą wschodnio-galicyjską i to pod przewodnictwem hr. Gołuchowskiego. Wobec tak przykrej decyzyi hr. Mercandin w tem przynajmniej szukał ulgi, że deputacyę zachodnio-galicyjską odprowadził do Wiednia, ale nie do zamku cesarskiego!

Wracamy do dalszych zatargów hr. Gołuchowskiego z Radą ruską. Mówimy już wprost o zatargach, bo stosunek tak się zaostrzył, iż można go uważać za *pendant* do równoczesnej walki hr.

Gołuchowskiego z generałem Hammersteinem, wszechwładnym protektorem Rady ruskiej, posiadającym może największy tytuł do nazwy jeżeli nie wynalazcy, to fundatora sprawy świętojurskiej.

Ślepa niechęć ku polskości stanowiła główną dyrektywę w akcyi Rady ruskiej do tego stopnia, że cała jej mądrość polityczna polegała na stawaniu w poprzek wszystkim aspiracyom i dążnościom polskim. Skoro zatem Polacy uformowali legion dla Węgrów, to Rada ruska uważała utworzenie batalionu strzelców ruskich dla celów przeciwnych za swój obowiązek polityczny. Nie animusz wojenny, nie żądza skąpania się we krwi powstańców węgierskich, lecz chęć demonstrowania odgrywała w tem główną rolę. Gdyby przynajmniej demonstracyi tej starano się nadać tło ogólno-słowiańskie, charakter uroczystego akcesu do walczącej z Węgrami południowej Słowiańszczyzny. Że tak nie było, że chodziło tylko o wystąpienie przeciw Polakom, na to dowodem przebieg sprawy przy zamiarze utworzenia drugiego batalionu.

Rada ruska wystosowała 6. kwietnia 1849 podanie do tronu z prośbą, aby Cesarz pozwolił utworzyć drugi taki batalion z ruską komendą i ruskim sztandarem. Szefem (w podaniu do tronu powiedziano: *Proprietär!*") tego batalionu miał być komenderujący generał br. Hammerstein. W podaniu znajduje się taki ustęp jako główne uzasadnienie: „W zawikłaniach r. 1848, kiedy polskie stronnictwo przewrotu uzyskało przewagę i zagrażało obaleniem prawnych urządzeń a władze krajowe przy zaszłej zmianie szefa krajowego nie tamowały nadużyć tego stronnictwa, Rusini w swoich dążnościach narodowych wystawieni byli na samowolę polskich demagogów. Przy każdej sposobności jednak doznawali ze strony c. k. wojska opieki szczególnej, a użyczał jej zawsze komenderujący w Galicyi br. Hammerstein".

Wzmianka o szefie krajowym wrzekomo wspierającym w r. 1848 polskie stronnictwo przewrotu, odnosiła się zarówno do Wacława Zaleskiego jak i do hr. Gołuchowskiego, który prowizorycznie stał na czele gubernium, jako wiceprezydent, od wyjazdu hr. Stadiona ze Lwowa (czerwiec 1848) aż do przyjazdu nowego gubernatora Zaleskiego (październik 1848), a potem już stale objął rządy kraju. W chwili kiedy Rada ruska wnosiła swoje powyższe podanie, między hr. Gołuchowskim a br. Hammersteinem już się zarysował był ów antagonizm, o którym pisaliśmy, więc owo wynoszanie ostatniego jako protektora Rusi, stanowiło pośrednio oskarżenie hr. Gołuchowskiego o niechęć ku Rusinom, oskarżenie tem niebezpieczniejsze, że wyrażone zostało w podaniu do tronu

i łącznie z arcylojalną petycyą a utworzenie batalionu ruskiego z *Proprietär*'em Hammersteinem na czele!

Prośba ruska o aprobatę cesarską dla formacyi drugiego batalionu ruskich strzelców ochotniczych nie została uwzględniona, a odmowna rezolucya ministeryalna powołuje się na powody, które przedstawił hr. Gołuchowski przedkładając ministrowi spraw wewnętrznych podanie Rady ruskiej relacyą z 28. kwietnia 1849. W relacyi tej hr. Gołuchowski nieodmawia uznania swojego lojalności, przebijającej z brzmienia petycyi ruskiej, ale mówi przytem: „Nie mogę pominąć uwagi, że formacyę dalszych batalionów ruskich uznać należy z góry za niedopuszczalną, gdyż dowiedziałem się, że Rusini noszą się z niewypowiedzianym jeszcze dotąd otwarcie zamiarem pomnożenia korpusu do 10.000 ludzi, za zezwoleniem cesarskiem stopniowo wyjednać się mającem. Nie uchybiając lojalności Rusinów, uważam to za krok zbyt śmiały a nawet niebezpieczny dla państwa, żeby pozwalano bez potrzeby pomnażać korpus ożywiony dążnościami narodowemi, w ostatecznej konsekwencyi separatystycznemi, korpus, któryby uważał się niejako za zbrojną reprezentacyę ludu“. Radzie ruskiej oczywiście ocukrzono odmowę podziękowaniem bez wyjawienia rozstrzygającego powodu.

Najjaskrawiej wystąpiła na jaw niechęć Rady ruskiej wobec hr. Gołuchowskiego w wspomnianej już poprzednio sprawie okólnika, w którym hr. Gołuchowski w chwili przygotowywania magazynów prowiantowych dla wojska rossyjskiego do Węgier zdążającego, wezwał starostów, aby perswazyą a w ostatecznym razie nawet zagrożeniem środków przymusowych przełamywali niedorzeczny i z własną szkodą połączony opór włościaństwa, które nawet za dobrem wynagrodzeniem nie chciało w czasie żniwa pracować na polach dworskich. Rada ruska sama uznawała, że opór ten jest niedorzeczny i szkodliwy dla ludu, więc pierwotnie z własnej inicyatywy ułożyła odezwę do włościan z przedstawieniem, że ich interes wymaga, aby zaniechali uporu. Odezwę tę Rada ruska postanowiła rozpowszechnić przez wydrukowanie w swoim organie „*Zorja hałycka*“. Zanim jednak numer z odezwą wyszedł z druku, Rada ruska dowiedziała się, że hr. Gołuchowski wyprzedził ją w tej mierze wiadomym okólnikiem. Zniszczono zaraz cały nakład *Zorji* ale nie dlatego, żeby może zmienić treść odezwy i zamiast zachęcać od siebie poprzeć tylko zachętę już przez Namiestnika ogłoszoną, lecz w tym celu, aby z pominięciem widocznego interesu ludności wiejskiej usunąć się zupełnie od udziału w sprawie i wskutek tego mieć wolne ręce w oskarżaniu hr. Go-

łuchowskiego o zamiar zaprowadzania pańszczyźnianego przymusu! Hr. Gołuchowski wykrył tę całą machinacyę w swojej relacyi do ministerstwa z 29. lipca 1849, a korzystając z dobrej sposobności zwrócił przytem uwagę centralnego rządu na dwuznaczną a nawet szkodliwą akcyę Rady ruskiej. „Zaczęła ona — pisze hr. Gołuchowski w tej relacyi — zajmować się polityką i różnorodnemi sprawami, o ile one dostarczają materyału. Przemyski biskup ks. Jachimowicz, który w tych dniach był u mnie i u Metropolity Lewickiego w Uniowie, uważał za swój obowiązek zwrócić uwagę moją na obecny stan Rady ruskiej dodając, że na jednem z ostatnich posiedzeń wystąpiła ona w sposób uchybiający przeciw Metropolicie i że traktuje nieprzyzwoicie sprawy, tyczące się karności kościelnej i w ogóle urządzeń kościelnych. Nie wywierano wpływu nadzorczego na Radę ruską, gdyż po zawieszeniu stanu oblężenia nad Lwowem generał komenderujący (br. Hammerstein) pozwolił jej odbywać posiedzenia z tem zastrzeżeniem, że zawsze na nich oficer będzie obecny. Niewiem, czy doniesiono generałowi komenderującemu o tych zajściach w Radzie ruskiej, ale w każdym razie powinno to było dojść do jego wiadomości. Rada ruska dąży do takiej powagi wobec rządu, aby on nic nie mógł uczynić bez poprzedniego z nią porozumienia. O wydaniu powyższej odezwy mojej umyślnie nikomu z Rady ruskiej nie wspomniałem dlatego, że chciałem zastrzedz rządowi niezależność i że żadną miarą nie mogę uznać tej Rady jako instytucyę. Popada ona w ten sam błąd, w który przedtem polska Rada narodowa popadła t. j. chce uczynić rząd zależnym od siebie a może nawet zbędnym. W tem dążeniu postępuje naprzód powoli i konsekwentnie wysuwając jako główny motyw zapewnienia największej lojalności i wierności. Może tak jest rzeczywiście, gdyż dotąd nie zrobiono odmiennych spostrzeżeń. Ale dążność do zdobycia wpływowej powagi jest niewątpliwa a ztąd mogą powstać trudności dla rządu, szczególnie w takim razie, jeżeliby odmówiony został podział kraju i utworzenie samodzielnego ruskiego okręgu, do czego usiłowania wszelkiego rodzaju zmierzają. Pomiędzy Rusinami są w znacznej liczbie tacy, którzy nie podzielają zapatrywań Rady ruskiej i przychylają się więcej ku polskiemu stronnictwu. Dawna polska Rada narodowa, która nigdy tego nie zapomnie rządowi, że rozwiązana została z powodu narodowych dążności swoich, używa pośrednictwa tej ostatniej kategoryi Rusinów, aby w Radzie ruskiej podsycać niezadowolenie zwłaszcza wtedy, gdy ona popada w nieporozumienie z rządem. Stosunki te mogą wywołać niepomyślne skutki

i z tego powodu zamierzone przez Radę ruską zawieszenie posiedzeń (jako objaw niezadowolenia z wydania powyższej odezwy do ludności wiejskiej bez jej wiedzy) jest nietylko faktem pożądanym, lecz nadto powinnoby posłużyć za powód do jej rozwiązania lub przynajmniej do zarządzenia reformy według przepisów prawnych o stowarzyszeniach. W razie zezwolenia na takie postępowanie, musiałby generał hr. Hammerstein otrzymać od ministerstwa wojny odpowiednie polecenie".

Ale Hammerstein wtedy jeszcze był wszechwładnym w Galicyi i polegając na swojej powadze, jaką mu zapewnił ówczesny dyktator ks. Windischgraetz, byłby może w danym razie nie usłuchał niemiłego sobie nawet upokarzającego nakazu ministeryalnego w sprawie rozwiązania protegowanej Rady ruskiej tak samo, jak jego protektor ks. Windischgraetz, uważając się za nieograniczonego pełnomocnika Cesarza, ignorował wtedy wszelkie niewygodne dlań polecenia wiedeńskie, chociażby one miały więcej cechę prośby niż rozkazu i powoływały się, jak to nieraz było, na życzenia zjawione w sferach dworskich.

Przytoczymy jeszcze jeden znamienny dowód na twierdzenie, że Rada ruska działanie na szkodę lub chociażby tylko na przekór polskości nietylko uważała za swoją główną missyę, lecz dla niej w danym razie poświęcała nawet najważniejsze interesa ogólnego znaczenia. W listopadzie 1849 otrzymał hr. Gołuchowski z ministerstwa sprawiedliwości do zaopiniowania petycyę Rady ruskiej przeciw zaprowadzeniu instytucyi sądów przysięgłych! Petycya ta uzasadniona jest w ten sposób, że wobec niskiego stopnia oświaty ludności ruskiej, Polacy zyskaliby przewagę w nowej instytucyi, a w takim razie nie możnaby oczekiwać dobrego sądownictwa. Hr. Gołuchowski który już przedtem sam był ministerstwu zalecił zaprowadzenie sądów przysięgłych bodaj na próbę, nie potrzebował już zwracać petycyi ruskiej ze swoją opinią do Wiednia, gdyż tam tymczasem zwyciężyła na całej linii reakcya przeciwna wszelkim ustępstwom wolnościowym, zwyciężył więc kierunek, któremu we Lwowie Rada ruska wiernie i wytrwale służyła.

Na własnych memoryałach i petycyach nie ograniczyła lwowska Rada ruska akcyi drażniącej, lecz podniecała także swoje filie prowincyonalne. Występowały one z przeróżnemi żalami, skargami i konceptami, które hr. Gołuchowskiemu przesyłano z Wiednia do sprawozdania. Czynił on zadość tym wezwaniom, traktował, bo traktować musiał, na seryo najdziwaczniejsze zachcenia, ale przytem zawsze zwracał uwagę centralnego rządu, że działalność Rad

ruskich, tolerowanych nawet protegowanych przez generała Hammersteina, jest po rozwiązaniu innych stowarzyszeń a przedewszystkiem polskich Rad narodowych, jest szkodliwą dla rządu. Tak n. p. w relacyi z 27. marca 1849 wykazując niestosowność żądania żółkiewskiej filii Rady ruskiej, aby w urzędach ustanowiono gr.-kat. księży referentami dla spraw gr.-kat. obrządku, dodaje: „Żółkiewska Rada ruska powstała w wichrowatym r. 1848, gdy wskutek dozwolenia organizacyi stowarzyszeń, niejako cała ich sieć kraj pokryła. Przeznaczeniem Rady ruskiej było wzmocnienie przywiązania ruskiego ludu do najdostojniejszej dynastyi i do rządu a zarazem ochrona ruskich interesów narodowych. Gdy wskutek ogłoszenia stanu oblężenia wszystkie stowarzyszenia polityczne zostały rozwiązane i zabronione, władza wojskowa utrzymała ruskie stowarzyszenia z powodu ich przychylności dla tendencyi rządowych. Odbywają więc one dalej zgromadzenia prawie wyłącznie przy udziale księży ruskich. Ponieważ nie mają dotąd ściśle określonego programu swojej działalności i stosunki w kraju ułożyły się spokojnie a Rady ruskie mimo to zawsze nad czemś obradować pragną, przeto niektóre z nich pod pozorem ochrony interesów narodowych wciągają w grę najróżnorodniejsze przedmioty (zniesienie patronatu, regulacyę płac robotników dworskich, skargi gmin na mandataryuszy itp.)“. Kończy hr. Gołuchowski wnioskiem rozwiązania Rad ruskich. Co miesiąc niemal przy nowej sposobności ponawia ten wniosek, ale zawsze bez skutku wobec protekcyi wszechwładnego protektora generała Hammersteina. Dopiero gdy farsa konstytucyi marcowej skończyła się proklamacyą absolutyzmu a całe państwo zaległa cmentarna cisza, znikły i owe Rady ruskie, roszczące sobie prawo do formalnego udziału w rządach. Ich twórcą a potem inspiratorem i reżyserem był ks. Michał Kuziemski, późniejszy biskup chełmski, powołany przez rząd rosyjski do missyi „oczyszczenia“ cerkwi unickiej z „naleciałości łacińskich“, a właściwie do ugruntowania schizmy w Chełmszczyźnie. Missyi tej nie spełnił całkowicie, bo w rozstrzygającej chwili odezwał się w nim silnie głos sumienia, który go ustrzegł od osobistej apostazyi, ale złego już naprawić nie zdołał. Hr. Gołuchowski, którego dar trafnego oceniania ludzi stanowił jeden z głównych czynników powodzeń w całej działalności publicznej, scharakteryzował tego zaciętego przeciwnika swojego jeszcze w r. 1853 przy takiej sposobności i w taki sposób, że charakterystyka ta musiała w Wiedniu wejść w rachubę. W tym czasie władze krajowe z urzędu przedkładały centralnemu rządowi tabele z cha-

rakterystyką osobistości wybitniejszych, odznaczających się lojalnością. Tabele te służyły w Wiedniu za dyrektywę przy rozdzielaniu orderów, godności i t. p. w ogóle przy wyzyskiwaniu ludzi dla celów panującego systemu. W tabeli lwowskiej ks. Michał Kuziemski zajmował oczywiście jedno z pierwszych miejsc a ówczesny dyrektor policyi Chomiński wytężył całą swoją dzielność stylistyczną, aby go zalecić rządowi jako niedoścignionego patryotę austryackiego i reprezentanta ruskiej lojalności. Hr. Gołuchowski w sposób niedelikatny skreślił cały ten produkt stylistyczny Chomińskiego i własnoręcznie napisał taką charakterystykę ks. Michała Kuziemskiego: „Ambitny w najwyższym stopniu; jako kapłan katolicki nie zasługuje na szczególne polecenie; namiętny w najwyższym stopniu; dla nizkich intryg bardzo przystępny“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

KORESPONDENCYA
JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Do Pana Seweryna Goszczyńskiego w Strasburgu.

Batignolles, rue des Batignollaises 8,
12. stycznia 1848 r.

Kochany mój Sewerynie, onegdaj dopiero mogłem się rozmówić z Pailletem, bo do biura nie wpuszczają bez długich i nudnych korowodów, a w domu z powodu świątek, darmo go było szukać. Interes twój w Ministeryum od dawna i całkiem jest załatwiony, subsydia przyznane, to chyba w Prefekturze mydlą, zapewnie dla dopełnienia jakichś tam formalności. Bądź więc spokojny, nie przestanę kołatać do Pailleta, aż otrzymasz, co ci się należy. I teraz obiecał mi napisać jeszcze raz do Prefektury.

Jutroć, Sewerynie mój, Nowy Rok wedle ruskiej rachuby, r. 1848, a 28 hegiry naszej Ukraińskiej. Nowy Rok, toć chwila w bezmiarach czasów, chwilka jakoby do przezucia się dla wojaków bożych w pochodzie. Im dalej w lata, Sewerynie, tem rzewniej mi w sercu przy Nowym Roku. Lataż bo moje? Lata, mogiły niby drogich strat, z nich po mym stepie kurzyć się w świat. Ale niema rady, dalej, o dalej! Nie wolno już oglądać się wstecz, jeno raźnie a ochoczo trzeba biedz naprzód. Dumką a pieśnią, kto rzeźwiejszy i mniej zmordowany, niech umili towarzyszom znojną wędrówkę! Piję oto do ciebie, Sewerynie! Życzę natchnień promiennych! Oj, czego bo nie życzę?

Rok, chwilka w bezmiarach czasu, a jednak w bycie naziemskim człowieka i narodu znaczy wiele, bardzo wiele; niesie jakoby ziarnko swoje na kwiat i owoc. Czem rozkwitnie i zapachnie, ten bieżący rok dla nas, dla nas wierzących, miłujących i spodziewających się w Panu? Podaż jaką wieść z nieba, cudowne hasło ku porozumieniu się i pojednoczeniu wałęsających się samopas kupek

w Polsce naszej? Daj Boże! Są wróżby, ba nawet przepowiednie znaki c z e g o ś n o w e g o i przez Polskę. Nie ma co mówić, że cywilizacya nasza przeżyła się. Porządek dzisiejszy społeczny z ideami, z instytucyami, jako stary gmach podkopany, porysowany, osuwa się co dzień i sypie w gruz na głowy restauratorów swoich... Ależ ideał ludzkości świeci wciąż na wysokościach! Chrystus ukrzyżowany, Chrystus zmartwychwstały, toć ideał! cel nasz! i po wszystkie czasy ideał i cel! Nieraz, mój Sewerynie, biedzę się z myślami, czemu żyjem tak w rozstrojeniu i w rozdziale? Co nas różni, wiem, ale dlaczego? Różnim się w pojęciu i stosowaniu p r a w d y r e l i g i j n e j, a właśnie tej tylko prawdzie dane jest jednoczyć w duchu. Prawda ta, to wiara! to najwyższe dobro nasze! I różnić się będziem dopóty, dopóki nas nie pogodzi k t o ś, mający po temu moc i władzę z góry. Ja myślę że rozejm i zgoda między nami nastąpi niebawem. Nie darmoć taki wielki Mąż Namiestnikiem Chrystusowym! Wiarę, a przez wiarę jedność, a przez jedność życie i siły i przyszłość na ziemi i w niebie, d a j e t y l k o B ó g p r z e z k o ś c i ó ł. Ci, co na cuda go wyzywają, niech się przypatrzą temu wiecznie trwającemu cudowi! Słowo Boże, to nie igraszka ludzkiej woli, to nie narzędzie ziemskiej chwały, ani ziemskiego szczęścia! Pokory tak głębokiej, iżby c a ł y r o z u m s w ó j i n a z a w s z e poddać ślepej ufności w słowa bliźniego, nie otrzyma nigdy człowiek od człowieka, choćby się i natchnionym i prorokiem mienił: bo ta pokora, to dań nasza Bogu, jedynie Bogu, zawarowana w kościele od wszelkich podstępów ludzkich i wszelkiego omylenia. Mój Sewerynie, mógłbym tak aforyzmami, logicznie a wedle sznura mej wiary, ciągnąć rzecz aż do bezwzględnych i ostatecznych wyników: ale nie o to mi dzisiaj idzie! Są punkta drażliwe, z których jeno waśń... A w sercu mojem przeraźliwy, w niebo głośny krzyk o porozumienie się i pojednoczenie z tobą i z twoimi na żywot doczesny i wieczny! Co ja już posłałem modłów za sercem od tylu lat na męce! Modlą się i godniejsi odemnie, to kiedyś Pan wysłucha! *Fiat lux!*

Adam w tych dniach puszcza się do Rzymu: nie powierzył mi się z czem, ale nie wątpię o jego dobrem usposobieniu i dlatego cieszę się i rokuję wiele, wiele z tego poselstwa. Boże daj! byśmy wszyscy poszli w raj! — Zresztą nic nowego w Paryżu. U nas, na Ukrainie, cholera i podobno groźniejsza niż w r. 1830, drżę o moich kochanych, od których ani wieści od dawna. Święć się jednak, wola Boża, wszędzie i zawsze!

Pozdrawiam w miłości chrześciańskiej i ściskam z całą czułością starego druha

Twój

Bohdan.

Żona moja i Józef łączą życzenia Nowego Roku. A kiedyż rozpoczniesz druk nowych poezyi? Karola Różyckiego, Karola naszego, jeżeli obaczysz, to uściskaj od nas trojga najczulej, powiedz że sypiem zbożem n a s z c z a s t i e, n a z d o r o w i e, n a n o w y j r i k! Och! och! na tej szerokiej atamańskiej piersi, błogo mi ongi było śnić o starych bojach i starej sławie ojców! Doprawdy, czułem się przy nim jakoby potomek piewców, przy potomku hetmanów naszych, czułem się pełen czci, miłości i natchnienia. A dziś co? Dziś, osamotnionemu kwili w łonie żałośna dumka jak po ojcu, co niby mi przepadł gdzieś za Dunajem. Oj! obadwa, Sewerynie, i ty i Karol, jesteście mi zarówno mili; zarówno niezbędni na ziemi, ku spełnieniu wieszczego mego powołania. Ja g ł o s ż y w y o d m o g i ł i s t e p ó w, ale bez was, głos wtęchły w tumany, bez wyrazu i rytmu.

Do Pana Cypryana Norwida.

D. 27. stycznia 1848 r.
aux Batignolles, rue des Batignollaises 8.

Nie lada przyjacielskim upominkiem uraczyłeś mnie, kochany Cypryanie, przy tym Nowym Roku. Doprawdy, najmilsza niespodzianka! Na razie, nie wiem jakiem słowem ci dziękować? Najpełniejsze podobno treści owe staropolskie: Bóg zapłać. Bóg zapłać tedy, młody mój przyjacielu, i za uprzejmą dedykacyę i za wszystko, co w niej chlubnego a lubego dla mnie. Dziecko swoje z ducha, podałeś oto mi na ręce, toż po k u m o w s k u poważnie i rzewnie błogosławię mu w świat, na żywot długi, długi!

Radbym się rozpisać o „W a n d z i e“, ale z pisaniem dziś żmuda jeno a nuda. Od kilku dni, takie tu dokuczliwe zimno, że kostnieją palce na piórze, i co chwila wstawać trzeba od stolika do pieca. Wstrętneć to bardzo licho, wszakże mniejsza z nim! Nie ma co mówić, kochany Cypryanie, wydumałeś piękną rzecz. Wrażenie po Wandzie chowam błogie, nieco melancholijne, jak po śnie o latach młodszych, minionych. Istotnie sen to, sen wieszczy, widzenie w duchu poety, przez astralny rąbek podania, milszej, przekwitłej niepowrotnie wiosny naszej dziejowej. Treść też Wandy twojej cał-

kiem senliwa. Postać księżny, słaniająca się, prawdziwie namogilna. Inne osoby nie stąpają po ziemi, ale przesuwają się sennym chorowodem. I tak być powinno. W tem tkwi osobne misterstwo twego pomysłu. Stare podanie ludu, pobożnie otarte z pleśni lat, rozwidniło się, zwierciedlące zarazem i prawdą, co wiecznie w sercu ludzkiem taż sama, nieskazitelna i prawdopodobną jawą zamierzchłego dawno wypadku, a który był wieszczeniem czegoś kiedyś. Poemacik twój godziłoby się nazwać Mysteryum Polskiem: utajonym głosem dobrej nowiny od przeszłości gdzieś ku przyszłości. Wybornieś sobie postąpił, żeś obraz swój zamknął w szczupłych ramach, ściśle w obwodzie tradycyjnego wątku: bez fantazyowania w szerszych rozmiarach, bez wprowadzenia intrygi miłośnej lub gry namiętności, któreby wnet skoślawiły rzecz, a co gorsza, sponiewierały uroczą pamiątkę, bijącą w oczy pokoleń ludową mogiłą. Słowacki stworzyłby coś na pozór błyskotniejszego, ale niewątpliwie byłby to płód poroniony, do niczego niepodobny dziwoląg. Twoja Wanda jest wedle ludu, Wandą, co nie chciała Niemca, pogańską patronką narodowości polskiej, a więc białą, dziewiczą, niepokalaną i takąć zostać ma dla wyobraźni naszej na wieki. Głównemu temu warunkowi uczyniłeś zadość w przekonaniu mojem. Nie chcę się sadzić na pochwałę, ale Wanda twoja niewoląca, narysowana *con amore*.

Możeby należało było wydatniej naznaczyć owe wiekowe patroństwo i apostolstwo Wandy w narodowości Polskiej? Myśl ci świeci na dnie poematu, ale nie dość występuje na powierzchnię. Niechby jaki guślarz domowy zaśpiewał był u stosu? Widzenie takiej Wandy, już odkupionej i w promiennym wieńcu za tę miłość świętości narodowej, że nie chciała Niemca. Uwija mi się po głowie jakiś ładny motyw, ale rozwiewny, że ani sposób ująć go w słowo, to spróbuj chyba sam podumać, czy potrzeba coś dodać. Zresztą brzask chrześciańskiej doby po mistrzowsku i przedziwnie uchwyciłeś, to i bez mojej wstawki brzask ten opromienia dostatecznie przedmiot. Pod względem także wykonania, nie wiem, kochany Cypryanie, coby można zarzucić twojej „Wandzie“. Światło i ciepło zdaje mi się stosowne. Pogańskie Elizea, te *regna inania*, nie cierpią jaskrawszego dnia. Osnowanie scen trafne i semetryczne, osoby poruszają się swobodnie a wyraziście. Wysłowienie jasne, jędrne, zwięzłe, rdzennie poetyckie i rdzennie polskie. Tak i miara wiersza łatwa, własna, osobna, a podrzeźnianie w rytm krakowiaków, przednie. Język przeźroczysty, wszakże nie wszędzie dość prosty, a tu i ówdzie razi nawet książkowym archaizmem. Na co ta książkowość? Skoro język Wandy żyje po dziś dzień mię-

dzy ludem, ten sam co ongi, wytrąciwszy jeno wyrazy i wyrażenia pochrześciańskie. Wczytanie się w Eddę skandynawską wielce pomogło do kolorytu, który widzi mi się wszędzie naturalny i właściwy. Nie zgadzam się na niektóre twoje hipotezy i domysły etymologiczne, jakoto kupale, wszakże mniejsza, to rzecz dowolna i całkiem podrzędna. Usterków językowych, o jakich dopiero co napomknąłem, nie wiele, może kilka lub najwięcej dziesiątek. Są to raczej właściwości indywidualne, które ma każdy poeta, niż wady stylu. Nie śmiałem ich tknąć, owszem rękopis czysty od deski do deski oddałem Chojeckiemu. Coś jest zawsze dzikiego i śmiesznego w cudzych poprawkach! Mówię to z doświadczenia. Poprawisz się, Cypryanie, sam gdzie indziej, poprawisz się w Patkulu.

Niezmiernie ciekawie wyglądam Patkula. Znam już poniekąd Cypryanie, donośność twego talentu, to wróżę sobie coś dobrego, ale nie mam wyobrażenia, jak się wywiniesz z pospolitych wymagalności dramatu, z owych zawikłań i gry namiętności na scenie. Tuszę, że dasz sobie radę. Kończ tedy, kochany Cypryanie, kończ Patkula, i najlepiej sam go przywieź do Paryża. Potakuję oto mimochodem w dawną twoją chętkę, a która może jest wieszczeniem dobrem i z głębi ducha. Istotnie w Paryżu łacniej ci będzie namalować i ową ogromną nakolizejską wizyę. O tej wizyi twojej śnię bardzo często i z biciem serca. Żal się Boże uronić taką szczęśliwą i natchnioną myśl! Przedmiot wspaniały, oryginalny, i przystający w sam raz do rogatej epoki, co tuż, tuż przed nami. Spotkałbyś tu na ulicach huk modelów. Nie wypowiedziałem ci w Rzymie współczucia dla twego obrazu, bo zapóźnośmy się poznali i byłem przytem wciąż pod antypoetycką konstellacyą, jakiś nie swój, cierpki, niemy, niby w pancerzu i z nasunioną przyłbicą. Musiałem ci się wydać dziwny, chłodny dla natchnień malarskich. Owóż tak nie jest. Nie chełpię się wielkiem znawstwem sztuki, a nawet w rzeczach jej technicznych jestem wierutny nieuk, wszakże doskonale czuję i rozumię wszelkie natchnienie jako wieszcz. *Io sono pittore.* Co ja w życiu wydumał obrazów i obrazków, które rozwiały się w nic, bo nie mam jako ty, Cypryanie, ołówka, pęzla ni dłuta na usługi. Owóż całą duszą sympatyzuję z twoją wizyą nakolizejską; radbym, ażebyś ją co rychlej namalował i zarazem trwożę się, czy ci się to uda w Rzymie. W Rzymie wszelka praca malarska idzie pospolicie nieśmiało i niesporo. Rzym, to panteistyczne muzeum, przygniatające imaginacyę swoim ogromem i swojem *grandioso.* W kościołach, po galeryach, na ulicach, tyle tam pomników sztuki, że umysł wiecznie roztargniony, nieprzytomny, wy-

cieńcza się ciągłem zachwyceniem i tem samem już skazuje się na niepłodność. Porównywując arcydzieła, metafizykując o tajemnicach ich piękności, kształcim w sobie smak i zmysł estetyczny, a umorzamy twórczość, tę iskrę ognia niebieskiego w uczuciu, z której wszystko jest, co jest w sztuce. Malować w Rzymie, to tak samo jakby układać poemat w której tu bibliotece, wśród nalatujących wciąż cudzych kształtów i myśli. Geniusz malarski jak poetycki, prorok to pański, — na pustyni jeno i śród modlitwy poczuwa się w swojem powołaniu. Przedperudżynowscy i przedrafaelowscy malarze tym sposobem wcielali swoje widzenia. Później mistrze wydoskonalili sztukę, a sponiewierali prawdę, zatracili świętość świętości wszystkich, wszechświętość, wszechpiękność, treść boską w sztuce. Słuchem śród ludu, a wzrokiem pod niebem, usiłujem dziś odszukać zatracony skarb. Każdy z nas ma w łonie swojem zakuty raj... Ot gawędzę! Czy ty, Cypryanie, bezemnie nie wiesz o źródlisku żywej wody bijącem z Góry, a z którego ja ledwie kropelkę liznąłem ku odmłodzeniu? Rozgawędziłem się dlatego, że radbym cię usadowić gdzieś zacisznie, w cieplicy, jak kosztowną roślinkę, na kwiat i owoc, na chlubę i pożytek naszej Polsce. W gruncie ja miłuję Rzym, miłuję nad wszystkie miasta. Im dalej w lata, tem tęskniej mi do Rzymu. Rzym, święty, mistyczny Gród, pobłogosławiony na dewocyę, na przytułek zbolałym i wypoczynek spracowanym. W Rzymie to rozpamiętywać przeszłość i pisać dzieje, pamiętniki żywota narodów, przy górującej wiecznie myśli, co świeci ztamtąd ludzkości. Ale tworzyć, to działać, a dla czynów cały świat na rozścież.

Zmęczyłem się pisaniem w zimnie. Myśl także kurczy się na mrozie (jak to zauważył Krasicki, a zauważył przez intuicyę chyba, bo w Polsce, a zwłaszcza u biskupów, cieplejsze mieszkania, niż tu u emigrantów). Myśl kurczy się, nie mamy żadnych nowości, o których byś nie wiedział z gazet. Świat polityczny boli, pracuje porodem. Emigracya w oczekiwaniu, co zacz będzie zeń? I ma gotowe dlań imię po matce swej. My, do chrztu musim trzymać dziecko europejskie, chyba że się obeszło bez chrztu, to wtenczas bierz go licho! X.... za dziesiątek dni wybiera się do Rzymu, to jeśli będą jakie nowiny, nie omieszkam donieść.

Proszę o wzajemność w rzeczach włoskich. U was tam jakieś nizdrowe *sirocco* i zdaje się na długo. Coś o Neapolu piszą gazety, ale nie chce mi się wierzyć. To tajemnicza osobna *gens* między Włochami. Donieś nam co mówią w Rzymie. Wszakże nie rozpisuj się szeroko. Szkoda, abyś odrywał się od milszej i ważniejszej pracy.

Listy mogą być krótkie, a natomiast szkicuj piórem, jak bywało na Via Felice u nas, portrety i t. p. do listu. Co mamy tych etude, chowamy jako najmilsze pamiątki. A to cię nic nie kosztuje, nawet nieprzerywa konwersacyi wieczornej. Owóż rysuneczki przysyłaj, bo zarazem będzie w nich dowód pamięci twojej o mnie. Na razie nie mam o czem pisać.

Ogarniam cię, Cypryanie, miłością moją, miłością w Panu, który jest pokojem, na uciszenie wszystkiego, co boli w sercu twojem, ku swobodnej a pogodnej pracy. Polecam cię Bogu i straży błogosławionych duchów, co unoszą się nad Rzymem. Ściskam przy tem i pozdrawiam.

J. B. Zaleski.

Adam [1]) zaonegdaj wyruszył do Rzymu. Ciekawym także jak ci się wyda. Adam to jakby antypod Zygmunta. Znów jesteśmy z sobą lepiej, a daj Boże, pojednoczym się po staremu niebawem. Wyjechał z dobremi intencyami, chociaż niedość skruszony i pokorny. Czy ma dość rdzeni, iżby ze świata fantasmagoryi zstąpił do prawdy serca swego i nienudno mu w niej było? Otóż w tem tkwi sęk. Rozumie najdoskonalej katolicyzm i kocha go, jestem pewien. Płyniemy na jednych wodach, tylko na żegludze kierujem się inaczej. My wedle bussoli wiary, on wedle mistycznego jakiegoś znaku, którego nie widzim i którego nam nie pokazuje. Pełne mam serce najlepszej otuchy, że pobyt w Rzymie i widzenie się z Ojcem Świętym opamięta go w czem błądzi. Przed kilkunastu laty wrócił ztamtąd dobrym, prawowiernym katolikiem. Co to będzie dla nas za szczęście powitać Adama wytrzeźwionego z kilkuletnich szałów. Donoś mi, kochany Cypryanie, jak mu się powodzić będzie w rzeczach świeckich i duchowych? — co jeno zasłyszysz. Nie potrzebuję dodawać, że doniesienie twoje zachowam tylko dla siebie, w najdyskretniejszej tajemnicy.

J. B. Z.

Do Pani N. N.

Paryż, 11. lutego 1848 r.

Nie taję, że mi smutno rozstawać się z Przenajświętszą Rodziną. Przepisywałem bo ją za dni milszych, opromieniony

[1]) Mickiewicz.

jeszcze natchnieniem świętem i przepisywałem dla druha młodości, tulącego się wtedy do mnie z bijącem sercem. Drobnostka to jako rękopis; ale nieoceniona dla mnie relikwia po bracie, relikwia wonna tylu och! pamiątkami. Drożyłbym się z nią bardzo przed kim inszym. Ależ siostra i w Bogu i po Matce Ukrainie i bracie Stefanie ma wszelkie prawo do tej ofiary. Daję więc, daruję nabożny rękopis, na wkupne do serc i na braterski upominek, niech świętą treścią swoją napełnia dom na pokolenia. Łączę doń całkowite i zupełne błogosławieństwo Stefanowe i moje. Słodko i rzewnie pomyśleć, że ile razy spojrzycie nań, ile razy zadumacie się przed Bogiem o ś. p. spólnym przyjacielu, westchniecie zapewnie i za mną. Tam na Ukrainie, którą pożegnałem nie wczoraj i nie jutro obaczę, ostało się serce moje na pokucie. Dawno niewidziany i niewidzialny może na zawsze, duchem jednak krążę wśród was, po chleb swój duchowy, po m y ł o s t y n ę. Miłujcież mnie — módlcie się — aż rąbek tumanów, co przesłania mię od oczu waszych, pierzchnie, hej szczeźnie w Imię Pańskie. Opiekujcie się także ubogą tam rodziną moją. Noście mi wieści od niej, wy stepowe, namogilne moje zozule!

Jeszcze raz polecam się modlitwom ukraińskiej rodziny,

Wasz

J. B. Zaleski.

Do Jenerała Józefa Szymanowskiego.

Paryż, Batignolles, rue Batignollaises 8.
14. lutego 1848.

Kochany i Szanowny Jenerale!

. . . .

Pókiśmy byli w Rzymie, to Zosia, jak każda młoda mężatka, kaprysowała i Bóg wie co nie wydziwiała, a to gorąco, a to pchły, a to brudno, a to Włoszyska niezgrabne, a to nic tutaj dostać nie można, a to z głodu przyjdzie tu umrzeć, i kto tam wszystko wyliczy — a Paryż był pieścidełko, ziemia miodem i mlekiem płynąca! Aż tu teraz, zamiast mleka, błoto — zamiast słońca, mgły — zamiast ciepła, deszcz a zimno, że w palce oto niebożątko dmucha i ani rusz leniuszka rozruchać i do listu napędzić. Dzisiaj chciałoby się do Rzymu... Pisze tam Zosia sama do kochanego jenerała; nie godzi się jej teraz tak zdrobniale nazywać, to poważna dziś matrona, tuż, tuż matka, niech tam jenerał pomodli się na intencyę ażeby

ją Bóg szczęśliwie rozwiązał. Już się wcale nie zapiera, ale jeszcze gniewa się po swojemu. Z domu już dawno nic nie mieliśmy i nie wiemy, co się tam dzieje. . . . .

. . . .

Głoszą u nas, że jakiś wielce poważny Civis Romanus został pułkownikiem legii rzymskiej, jeżeli to się ściąga do jenerała, to winszuję i proszę nie zapomnieć o starym żołnierzu, który się zda choć kociołki za obozem jeszcze wozić; a daj Boże do obozu co prędzej, radbym, ażeby pierwsze bajoki, które jenerał w woreczek od Zosi włożysz, były na marsz do Polski, i lat Ci, mój kochany i szanowny nasz jenerale, ubędzie, bo radość serca odmładza, a wiem jakbyś się wielce ucieszył na hasło — do Polski! Niechże no jenerał tak bardzo sobie lat nie liczy, daj Ci tylko Boże zdrowie, o które się zawsze do Boga modlimy, a żyj nam dłużej nad wiek, bo przecież i zacni ludzie, choćby nie wiem jak długo żyli, zawsze żyją krótko dla tych, którzy ich szacują i kochają...

U nas tu wielu starych żołnierzy zrywa się do Włoch. Wiem, że kochany jenerał o mnie byś nie zapomniał i dałbyś mi znać, gdyby co było pewnego... Radbym doprawdy zostać żołnierzem w szeregach Ojca Świętego i dać moją krew i życie za sprawę kościoła i ojczyzny. Zdaje mi się, że my Polacy, nigdybyśmy tych dwóch spraw rozdzielać nie powinni, bo mnie uczą narodu mojego dzieje, żeśmy zawsze byli przedmurzem chrześciaństwa, a za tem kościoła, i żeśmy póty tylko byli sławni i mocni, pókiśmy tę misyę z ochotą pełnili. Jeżeli nie my — wrócą kiedyś następcy nasi do tej misyi i podźwigną znowu sławę i wziętość religijną ludu katolickiego i postawią na nogach Polskę, ojczyznę naszą.

. . . .

Jeszcze raz szanownego jenerała serdecznie pozdrawiam i ściskam

Józef.

Paryż, 28. lutego 1848.

W dniu wczorajszym, kilkuset Polaków zebranych przy ulicy Duphot nr. 10, widząc gwałtowną potrzebę wybrania pośredników do znoszenia się z Rządem Rzeczypospolitej Francuskiej w sprawie narodu naszego, zaszczycili nas swym wyborem do tymczasowego działania.

Zważając, iż zebranie to było bez dostatecznego zawiadomienia, dla uniknienia wszelkich nieporozumień, sądzimy, iż odpowiemy chęciom współrodaków, składających ogół emigracyi Polskiej w Pa-

ryżu, naznaczając dzień 1. marca b. r. na jego zebranie, na którem by jego wola co do wyboru tymczasowych pośredników ostatecznie objawioną być mogła.

Jł. Dwernicki, Władysław Dzwonkowski, S. Gawroński, K. A. Hoffmann, Eustachy Januszkiewicz, Ludwik Wierciński, J. B. Zaleski.

Do księdza Józefa Hube, w Rzymie.

Paryż, 17. marca 1848 r.

Kochany Ojcze Józefie, życzenia najszczersze i najtkliwsze zasyłamy przy święcie wspólnego Patrona. Bóg z tobą i z twoimi, Ojcze! Bóg z nami wszystkimi! Oby Prześwięty Oblubieniec wymodlił nam opiekę i błogosławieństwo Jezusa i Maryi, w tych arcytrudnych dniach! Obchodzim oto imieniny nasze na zaraniu jakiejś osobnej ery świata. Co się w niej wyświęci dla chwały bożej, tudzież dla świętej sprawy kościoła i naszej polskiej? Są niejakie znamiona, niewyraźne jeszcze i rozwiewne, ale wierzymy, miłujemy, spodziewamy się, Bóg i Pan niemal tu po widomu rozpoczął swe cuda, to ujrzymy niebawem i gdzieindziej piękne dziwy i wielkie rzeczy. Ufajmyż po chrześciańsku i doczekujmy się skinienia Pańskiego.

Kochany Ojcze, wiesz z gazet, co się tu działo i dzieje, to nie warto pisać osobnej kroniki. Paryż spokojny jak za dobrych czasów, ale waśń rodzi się już i grozi straszną zamieszką. W rządzie i na ulicy rok 1792 i 1848 stoją naprzeciw siebie w szyku bojowym, to burzliwe będą elekcye i bodaj czy nie zmartwychwstanie konwencya? Duchowieństwo ma wziąść udział czynny na elekcyach, ale o tem szerzej zapewnie napisze O. Hieronim. Dla Polaków rząd zawyrokował legiony. Dotychczas cała rzecz jeno na papierze; nie wiemy gdzie i jak zacznie się formacya, ani pod czyjem dowództwem? Bracia szamocze się od kilkunastu dni, sejmikuje na komitety, to na komisye, szyje i porze dawnym obyczajem. Duch Boży jeszcze nie powiał po niej. Chrześciańskiego braterstwa po staremu mało, a pokory ani źdźbła. Zgoła że niczegośmy się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli. Módlcie się, Ojcowie, o miłosierdzie Boże dla grzesznej dziatwy swej. Och męża! męża!

Niewypowiedzianie rozradowała nas dobra nowina o Adamie. Cudowny i miłosierny Bóg nasz! Cześć mu i chwała teraz i na wieki wieków, cała Polska jak długa i szeroka zanuci w podziękę. Ja co tak dawno i tak szczerze kocham Adama, nie posiadam się

z radości i szczęścia. Jakby kamień spadł z serca, tak mi raźno, błogo i ufnie. Wysłuchał Pan modlitw naszych tyloletnich, chwałaż mu, chwała! Nie śmiemy jeszcze głosić po mieście o nawróceniu, bo oczekujem na szczegóły. Nie wiemy, dlaczego wczorajsza poczta nic nam nie przywiozła. Rozbiegła się tu wieść, że wszyscy Polacy z Rzymu jadą do Paryża. Istotnie, potrzebni tu są bardzo, a osobliwie Adam. Adam zdołałby dziś pojednoczyć całą emigracyę, pojednoczyć i natchnąć wielką myślą. A potrzeba wielkiej myśli, aby rozbudzić ducha wielkich poświęceń się! Wyprawiajcie go co tchu do nas. Nie piszę dziś do nikogo więcej w Rzymie, bo może i prawda, że wyjechali moi, a osobliwie Adam i Norwid. I nie chce się teraz brać pióra do ręki. Wszyscy żyjem na ulicy, jak starożytni Ateńczycy, pytamy jeno o nowiny. A nowin huk. Niemcy całe jak ogarnione pożarem wielkim reformy aż do Saksonii już. Nie ma co mówić, królowie się przeżyli. Porachunek oto z nimi Pański za szalbierstwa z kościołem Bożym. Polecamy się modlitwom kochanego Ojca i całego zgromadzenia, tudzież Matki Makryny i wszystkich świątobliwych dusz w grodzie tam Piotrowym.

Całujem kapłańskie ręce twoje

Bohdan Zaleski.

Żona moja bardzo, bardzo ociężała. Za kilka dni a może na św. Józef spodziewamy się już nowego przybysza bożego. Polecamy ją nabożeństwu kochanego Ojca i westchnieniom przy ołtarzu.

Jenerała Szymanowskiego i wszystkich rodaków, którzy nie wyjechali jeszcze z Rzymu, pozdrawiamy w Panu. K... ruszyli dziś do Brukseli. Wszystka Polonia z kraju odebrała polecenia do wyjazdu. Mało też kto tu popasa.

Do Pana Wincentego Tyszkiewicza.

Wrocław, 28. kwietnia 1848.

Kochany i szanowny Panie Wincenty, nie będąc pewnym, gdzie są Bohdanostwo, proszę cię bądź łaskaw napisz do nich zaraz i powiedz im niech o mnie będą spokojni. Wiesz zapewnie, co się stało w Krakowie, była bójka; Kryg zakazał wpuszczać emigrantów na terytoryum krakowskie; znajdujący się bracia nasi w Krakowie poszli do niego z żądaniem, aby odwołał nakaz. Manifestacya tłumna przeraziła starostę, z musu też rozkaz cofnął a po broń, o którą się upominano, odesłał do komendanta siły zbrojnej, jenerała Kastilione.

Komendant i broni nie dał i rozkaz odwołany znowu wykonać polecił, a nazajutrz na bezbronnych braci naszych uderzył. Zginęło naszych kilkunastu, między innymi Mądzelewski i Hulewicz; rannych liczą do 50; straty nieprzyjacielskiej nie obliczam, jenerał Kastilione ma być ranny. Miasto bombardowano z zamku i mają znowu bombardować, gdyby emigracya ustąpić we trzy dni nie chciała. Wczoraj wieczór przybyła tu pierwsza kolumna, ze 170 ludzi złożona. wracająca z Krakowa. Gdzie my się teraz podziejem, co się z nami stanie, Bóg tylko jeden wie. Mnie te wypadki zastały tutaj w Wrocławiu, gdyby były dwa dni później zaszły, byłbym się na nie własnemi oczyma patrzył, a może zginął. I lepiej niezawodnie byłoby zginąć, niż patrzyć na ironię, którą nas ludzie napawają. Wszystkie piękne obietnice dla nas w nic się rozwiały; w bramach Berlina rozczarowaliśmy się wszyscy; czy kto chciał, czy nie chciał, podpisywano mu pasport do Krakowa, i jaknajprędzej zbywano się. Tam pierwszych przepuszczono i pozwolono bawić się w mustrę z kijami, a późniejszych odepchnięto, słowem grano z nami w odbijanego i chciano, żeby taki stan umysłów pokrzywdzonych nie rozdrażnił, serc zbolałych nie zakrwawił. Co dalej nastąpi, nie wiem. Znasz mnie, Panie Wincenty, wiesz że siebie i moją ojczyznę, rzecz po Bogu najdroższą, zawsze Bogu i Jego woli poddawałem, nierozpaczam więc i dzisiaj, dźwignie Bóg kogo zechce, poniży kogo zechce; jeśli przy nich jest sprawiedliwość, choćbyśmy sławy i zwycięstw jak Napoleon nabyli, nic to nie pomoże, upadniem. Jeżeli przy nas, choćby nas w łyżce wody utopić chciano, nie utoniemy.

Kto tam jest z pobożnych pomiędzy wami, niechaj się modli i krzywdy nasze z pokorą Bogu poleca. A szczególniej niechaj się modlą kobiety, bo one lepiej umieją modlić się i mają więcej miłości rzewnej w sercach. Jeżeli tam jest Bohdan i Zosia, błogosław im odemnie i powiedz im, że są wszędzie i wciąż ze mną, że są na sercu i w sercu mojem; niech się Bohdan ani rusza z miejsca, ruch dziś wszelki w te strony na nic się nie zda, niech siedzi i czeka. Powiedz jeszcze kochanym Bohdanostwu, że list ich odebrałem i pod sercem chowam, ja więcej nic nie umiem tylko kochać, to też kocham ich całą duszą, niech tego będą pewni. Daruj mi, że się tak otwarcie do ciebie wynurzam, kogo szacuję, temu ufam i konwenansów z tym nie zachowuję, bo myślę, że się ludzie najlepiej rozumieją szczerością.

Bądźcie mi wszyscy zdrowi, sercu twemu oddaję się. Bóg z wami. *Józef Zaleski.*

Do Pani Hrabiny Matyldy Szymanowskiej.

Paryż, 17. maja 1848 r.

Czas nagli, kochana Pani, to piszę jeno kilka słów. Dzień dzisiejszy arcyuroczysty, arcyważny dla nas, bo demonstracya ludu francuskiego za Polską i na ulicy i w Izbie Reprezentantów. Warto widzieć i słyszeć, na co się tu zanosi. Oprócz tego książę Adam zwołuje do siebie posłów ostatniego Sejmu Polskiego na osobną naradę. Muszę tedy zaraz biedz na miasto. Zosia obiecała wyręczyć mnie w korespondencyi, jeśli to jej dostojny infant pozwoli.

Nadaremnie trwożyliśmy się o Józefa i Oswalda, kochana Pani. Dzięki Bogu, cali, zdrowi i siedzą po staremu w Wrocławiu. Slichcina odebrała wczoraj list od Józefa z 6. maja, ale zkądinąd mąmy późniejsze wiadomości, że doczekują na miejscu dalszego rozjaśnienia wypadków. W ogólności nowiny z Poznańskiego nie dobre, bo myślą że nasi lada dzień z musu nawet zbliżą się ku Renowi. Radzi, nie radzi pociągniem zdaje się wszyscy do Włoch. Józef myślał żeśmy wyjechali z Paryża i dlatego nie pisał. Zdaję pióro Zosi, aby doniosła co ciekawszego w liście Józefa, a sam całuję rączki kochanej Pani.

Życzliwy przyjaciel

J. B. Zaleski.

Członkowie Sejmu Polskiego obecni w Paryżu, mając na uwadze ważność okoliczności przyjaznych odrodzeniu Polski, zgromadziwszy się dnia dzisiejszego, postanowili zawiązać się w grono członków Sejmu, trudniące się interesami Polski, i zaprosić wszystkich kolegów sejmowych, gdziekolwiek będących, do wspólnego działania.

Paryż, 16. maja 1848.

Podpisano: Czartoryski, Wojewoda,
Tyszkiewicz, Kasztelan,
Olizar, Kasztelan,
Barzykowski,
A. Biernacki,
Morozewicz,
Kaszyc,
Kołysko, w myśli pisma, które odczytałem i złożyłem w dniu dzisiejszym [1]).

[1]) Przypisek Kołyski, który złożył pismo w duchu nauki Towiańskiego.

W. Plater,
Antoni Przeciszewski,
Józef Potocki,
Józef Swirski,
Zarczyński,
Józef Bohdan Zaleski [1]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Bohdan Zaleski był obecnym na kilku sesyach Grona Członków Sejmu i podpisał odezwę drukowaną z 26. maja 1848 r.

SZKOŁA OO. BERNARDYNÓW W TELSZACH

1797—1868.

SZKIC HISTORYCZNY

PRZEZ

MICHAŁA EUSTACHEGO BRENSTEINA.

Treść: Przywileje Zygmunta I. i Zygmunta III. — Przeniesienie szkoły „podwydziałowej" z Kretyngi do Telsz w r. 1793. — Rozpoczęcie wykładów i pierwsi nauczyciele. — Szkoła sześcioklasowa. — Pierwsza „wizyta" i podziękowanie, otrzymane przez konwent w r. 1798. — Długość roku szkolnego. — Stan szkoły w r. 1803. — „Historya narodowa" i zakaz urządzania widowisk przez szkołę. — Stan szkoły w r. 1807 i 1808. — Uniwersytet zezwala na założenie szkółki ewangelickiej w r. 1809. — Rok 1812. — Odezwa Józefa Kossakowskiego do zwierzchności szkolnej. — Rozpoczęcie wykładów. — Język hebrajski i zakaz jego nauczania. — Wprowadzenie mundurów. — Stan szkoły w r. 1819. — Zamknięcie roku szkolnego. — Rozkaz czytania Pisma Św. — Smutny stan szkoły w r. 1822, według wizyty Jana Chodźki. — Zmiana programu nauk. — Zwolnienie barona Roenne z urzędu kuratora i mianowanie na miejsce jego Gadona. — Szkoła czteroklasowa w r. 1825. — Stan szkoły w r. 1826 według wizyty prof. Podczaszyńskiego. — Stan szkoły w r. 1828. — Życie uczniów przed r. 1830: Nauka, zabawy, majówki. — Zakaz stosowania kar cielesnych. — Spowiedź. — Dzień św. Katarzyny. — Dzień Niepokalanego Poczęcia N. M. P. „Sodalitas Mariana". — Popis i zamknięcie roku szkolnego. — Znowu szkoła sześcioklasowa w r. 1830. — Rok 1830. — Zamknięcie szkoły przez cały r. 1831. — Otwarcie szkoły. — Mianowanie „dozorcy cywilnego". — Nowe reformy. — Skasowanie „Towarzystwa Sodalisów". — Zmiana mundurów. — Upadek szkoły. — Kłótnie i skargi. — Projekt hr. Protasowa. — Jeszcze nowe reformy. — Spisy nau-

czycieli-zakonników z r. 1838 i 1840. — Zreformowanie szkoły na trzyklasową „szlachecką szkołę". — Stan tej szkoły w r. 1851. — Znowu szkoła pięcioklasowa w r. 1860. — Reformy. — Zupełne zamknięcie szkoły w r. 1868 i powód jego. — Ksiądz Jan Skideło.

Król Zygmunt I. przywilejem erekcyjnym, danym w d. 17. listopada 1536 r. kościołowi parafialnemu w Telszach, darowuje temuż kościołowi plac w mieście „na szkołę" [1]; zaś Zygmunt III. w przywileju z d. 26. sierpnia 1612 r., potwierdzającym przywilej poprzedni wymienia również „plac w pobliżu plebanii znajdujący się, na którym był przedtem dwór królewski, a na którym mają być zbudowane szkoła i szpital [2]).

Czy woli tych dwóch monarchów stało się zadość i czy szkoła ta istniała kiedy w rzeczywistości — powiedzieć trudno, to tylko jest pewnem, że jeszcze w r. 1653 jej nie było. Bowiem w „ustawie" wydanej w d. 18. lutego t. r. w Telszach przez specyalną komisyę, która zjechała tu w celu uregulowania wzajemnego stosunku między plebanem, parafianami i „dworem" telszewskim, nakazanem zostało Katarzynie de Dohna Denhoffowej, wojewodzinie parnawskiej i dzierżawczyni telszewskiej, najdalej do miesiąca maja tegoż roku oddać plebanowi telszewskiemu powyższy plac, „któren Xiądz pleban dotąd nie iest dzierżącym" oraz, że w budowie szkoły i szpitala cała „włość" mu pomagać powinna [3]).

Dopiero w końcu XVIII. stulecia mocą uchwały „Komisyi edukacyjnej" wileńskiej z d. 4. października 1793 r. Telsze otrzymały trzyklasową „podwydziałową" szkołę, przeniesioną tu z Kretyngi, gdzie założoną została w r. 1774 przez smutnej pamięci księcia Ignacego Massalskiego, biskupa wileńskiego, członka komisyi i dziedzica Kretyngi [4]).

Szkoła oddaną została pod dozór konwentu OO. Bernardynów, którzy, wymurowawszy na swojej ziemi i swoim kosztem na prze-

---

[1]) Druk rossyjski b. m. i r. pod tyt.: „Записка изъ дѣла вступившаго въ общее собраніе первыхъ трехъ департаментовъ Правительств. Сената по Высоч. повелѣнію о претензіи Р. Католич. Духовенства къ имѣнію графини Бутаковской. (Folio str. 110).

[2]) Ibidem.

[3]) Archiwum centralne wileńskie. Księga 15.170, folio 1490—1491, akt 1228.

[4]) Gadon M. Opisanie powiatu telszewskiago. Wilno 1846 r., str. 64—65.

ciwko kościoła dom piątrowy i zakupiwszy dla niej obfity zbiór przyrządów fizycznych [1]), rozpoczęli w niej dopiero w jesieni r. 1797 wykłady. Pierwszymi jej nauczycielami zostali: O. Franciszek Pikiell jako przełożony i zarazem nauczyciel fizyki, O. Franciszek Ramnicz. nauczyciel wymowy, O. Chryzogon Ihnatowicz, matematyki, O. Wacław Żmudziłł — klasy III., O. Wincenty Willimowicz — klasy II., O. Maurycy Karbowski — klasy I. i O. Stefan Preybowicz jako kapelan szkoły i katecheta [2]).

W roku następnym szkołę podniesiono do sześcioklasowej z następującym programem nauk: w klasie I. — gramatyka polsko-łacińska, razem z wokabulami łacińskiemi, nauka moralna, początki arytmetyki i geografii i nauka chrześciańska (ta ostatnia tylko w niedzielę i święta); w klasie II. — dalszy ciąg gramatyki polsko-łacińskiej, geografia, arytmetyka, nauka moralna, wypisy, ogrodnictwo *(sic!)* i nauka chrześciańska; w klasie III. — dokończenie gramatyki polsko-łacińskiej, geografia, nauka moralna, arytmetyka wyższa, rolnictwo *(sic!)*, początki „prawa przyrodzonego i politycznego“, tłumaczenia wypisów i nauka chrześciańska; w klasie IV. — wymowa, historya polityczna, prawo przyrodzone, polityczne i narodowe, geografia, geometrya teoretyczna, początki miernictwa, algebra i trygonometrya, nauka chrześciańska i rysunki; w klasach V. i VI. — fizyka ogólna i szczegółowa, logika, geometrya praktyczna, bryłomierstwo, algebra, historya, wymowa i wypisy łacińskie. Oprócz tego uczono jeszcze w klasach wyższych języków francuskiego i niemieckiego. Uczniów w 1798 r. było 280 [3]).

Program nauk uchwalonym został przez „komisyę edukacyjną“ wileńską, która też pilnie przestrzegała ścisłego trzymania się jego, wysyłając corocznie na egzaminy i „popis“ t. z. „wizytatora“, którym był zwykle jeden z jej członków. W końcu czerwca st. st. r. 1798, czyli na zakończenie roku pierwszego nauki w szkole telszewskiej, zjechał taki wizytator, którego jednak nazwiska nie znamy. Rezultatem jego bytności było podziękowanie komisyi wystosowane pod datą $^{16}|_{27}$ sierpnia t. r., pod adresem prefekta i nauczycieli szkoły, lecz w tak pochlebnych dla konwentu wyrazach, świadczą-

[1]) Wołonczewski M. biskup. Biskupstwo żmujdzkie. Kraków 1898 r., str. 152.

[2]) Wiadomość z wizyty kościelnej z r. 1798, którą podał Wołyniak w „Luźnych kartkach z przeszłości Telsz“. „Przegląd Powszechny“ Kraków, t. XXXVII. (1893 r.) str. 84.

[3]) Ibidem.

cych o całem zamiłowaniu i poświęceniu, z jakiemi zacni zakonnicy rozpoczęli pierwsze kroki w szkole, że treść tego dokumentu przytoczymy w całości: [1])

„Komissya Edukacyi Publiczney, powierzaiąc Zgromadzeniom zakonnym tak ważną dla Publiczności posługę, iaką iest wychowanie młodzieży, przekonaną zupełnie była, ze Zgromadzenia te ochoczo poświęcaiąc się na trudną pracę, dołożą wszelkiey usilności, ażeby zaufaniu Jey przyzwoicie odpowiedzieli. Teraz po odbytey wizycie, gdy z rapportu W. J. Xiędza Wizytatora uwiadomioną została, że w szkołach powiatowych Telszewskich, dozorowi WWmć Panów powierzonych, oczekiwanie to z chwalebną gorliwością, pilnością i pracą spełnionem zostało, czego postępek uczniów na examinach okazany iest dowodem, za rzecz przyzwoitą uznała oświadczyć Im prawdziwe Ukontentowanie Swoie y tym sposobem okazać wdzięczności dowód. Ukontentowanie to Komissyi, które teraz WW. Panom oświadcza, tym iest większe, że po przełamanych zwyczaynych roku pierwszego trudnościach, większych ieszcze na następne lata z pracy Ich spodziewa się korzyści. — O czym Ich cnota, przywiązanie do powołania y miłość publicznego dobra zapewnia. (Podpisał) J(ózef) Kossakowski B(iskup) W(ileński) K(omisyi) E(dukacyjnej) P(rezes)“.

W dniu $^1/_{12}$ maja 1799 r. komisya edukacyjna określiła długość roku szkolnego, który miał odtąd trwać od d. $^1/_{12}$ września do d. 29. czerwca (10. lipca), wakacye więc trwały przez dwa miesiące. Wyjeżdżanie na święta zostało wzbronionem, a lekcyj nie było tylko w dni „galowe“, święta roczne i „czas wielko-tygodniowy [2])“.

Ze zreformowaniem w r. 1803 dawnej „szkoły głównej“ w Wilnie na uniwersytet. wszystkie szkoły Litwy oddane zostały pod opiekę tegoż uniwersytetu, który też dotychczasowy program nauk w szkole telszewskiej zmienił nieco, nakazując zaniechanie nauki języka niemieckiego i rysunków [3]). W roku tym prefektem był O. Marcelin Gudelewicz, wykładający równocześnie matematykę; nauczycielem wymowy był O. Stefan Mazidowicz; fizyki O. Adjunty

---

[1]) Archiwum dawnej szkoły, znajdujące się w dzisiejszej dwuklasowej szkółce miejskiej w Telszach. Księga N. 1. — Tu zwrócić uwagę należy, że Wołyniak w swych „Luźnych kartkach z przeszłości Telsz“ („Przegl. Powsz.“ str. 89—90) podaje wykaz uczniów od r. 1793 do 1821, sporządzony przez wizytatora Chodźkę, lecz jak widzimy z tego dokumentu szkoła funkcyonować zaczęła dopiero w r. 1798.

[2]) Archiwum dawnej szkoły. Księga N. 1.

[3]) Wołyniak. Luźne kartki z przeszłości Telsz. Str. 85.

Pawłowski; nauczycielem klasy III. — O. Poncyan Pietraszkiewicz; klasy II. — O. Symforyan Monkiewicz; III. — O. Maurycy Karwowski (w wizycie kościelnej z r. 1798 nazwany Karbowskim). „Dyrektorów domowych“, czuwających nad uczniami na „stancyach“, było 28. Uczniów zaś w klasie I. — 74, II. — 56, III. — 60. IV. — 36, V. — 25 i VI. — 3, czyli razem 254 [1]).

Do nowego programu nauk w szkołach litewskich, uniwersytet wcielił „dzieje narodowe“, które przełożonemu szkoły telszewskiej O. Gudelewiczowi nasunęły pewną wątpliwość, co mianowicie należy pod tą nazwą rozumieć — czy historyę polską, czy też może rossyjską, o co też w raporcie swym z d. 29. września r. 1803 spytał xiędza Michała Bohusza, prałata i jeneralnego wizytatora szkół „Wgo Xsięstwa Litewskiego“, który odpowiedział, że przez dzieje narodowe ma się rozumieć wyłącznie historyę polską, a „nikt nam za złe mieć nie może, że przodków naszych pamięci tak rychło zatrzeć nie możem“. Za podręcznik zaś zalecił historyę Naruszewicza „która jest wyborną“, lecz „trzeba ją ustnie dawać z rozmowy, nie zaś dyktować i recytować kazać z pamięci“. Ciekawy swój pogląd tenże Bohusz wyraził na teatra amatorskie, „od lat kilku“ stale urządzane przez uczniów szkoły telszewskiej. Otóż odpowiadając na zapytanie prefekta, czy mogą być one i nadal urządzane, odrzekł: „Lubo komedyiki wyraźnym prawem nie są zakazane, że jednak zabieraią wiele czasu do nauk, zwłaszcza w czasie, gdy się do popisu generalnego rocznego gotować trzeba, że robią niewymowną mozołę Professorowi tey pracy podeymuiącemu się, że zamiast uczciwey zabawki, pokątne szyderstwa i śmieszki sprowadzaią, przeto życzeniem jest moim i radą, aby Zgromadzonych Gości czym pożytecznieyszym, niż arlekinadą, to iest fizycznemi Experymentami zabawić i pocieszyć [2])“.

W r. 1807 prefektem szkoły jest O. Szyszniewski, kaznodzieją, O. Czerniewski; nauczycielem fizyki — O. Modest Gliński; matematyki — O. Borczak; literatury — O. Jan Pyszko; nauczycielem klasy I. — O. Florenty Wasilkiewicz; klasy II. — O. Wojszwiłło. Uczniów było 178 [3]).

W r. 1808 zastajemy prefektem już O. Józefa Januszkiewicza, wykładającego jednocześnie język francuski; nauczycielem literatury i języka łacińskiego jest — O. Modest Jelski; fizyki tenże co

[1]) Ibidem.
[2]) Oryginał odpowiedzi w archiwum piszącego.
[3]) Wołyniak. Luźne kartki z przeszłości Telsz. Str. 85.

i w roku poprzednim, O. Gliński; matematyki i zarazem nowo wprowadzonego języka rossyjskiego — O. Józef Pilecki; prawa i znowu wprowadzonego języka niemieckiego — O. Polikarp Hermann; nauczycielem klasy I. — tenże, co i w roku poprzednim, O. Wasilkiewicz i klasy II. — O. Antoni Maton [1]).

Zamieszkali w Telszach ewangielicy postanowili założyć tu szkołę parafialną, mającą się utrzymywać kosztem zgromadzenia wyznania ewangielickiego, o co też w r. 1809 wnieśli przez prefekta szkoły telszewskiej do Uniwersytetu podanie podpisane w ich imieniu przez szlachcica Jana Wróblewskiego, jakoż w d. 12. grudnia t. r. Rektor Jan Śniadecki udzielił im zezwolenia, z warunkiem, by zastosowaną była do „ogólnych ustaw szkolnych [2])“. Czy ten warunek, czy też jakieś inne nieznane nam okoliczności przeszkodziły powstaniu tej szkółki, dosyć, że z powyższego pozwolenia nikt nigdy nieskorzystał.

Rok 1812 przerwał wykłady. Szkoła zamkniętą była przez cały czas trwania wojny. Wprawdzie Józef Kossakowski, dyrektor szkół gub. wileńskiej wystosował w d. 2. września t. r. do zwierzchności szkoły telszewskiej następującą odezwę, połączoną z rozkazem otwarcia szkoły: „Po upłynioney zwyczayney biegu Nauk przerwie, która w roku teraźnieyszym oznaczona iest tylu pamiętnemi nazawsze zdarzeniami, wzywam was zacni Szkół Publicznych Nauczyciele do rozpoczęcia prac i posług nie iuż obcey, ale własney Oyczyźnie. — Kiedyż więcey mieliście pobudek do tego, lub kiedy więcey do skutku pomyślnego sposobności. Niepotrzebuiecie w zachęcaniu uczniów waszych obcych szukać przykładów. — Starsi ich Bracia kieruią pod Drohobużem i Wiazmą działami, z któremi ich prawidła matematyczne obeznały, lub, poświęceni, mniey zapewne świetney, ale zawsze pożyteczney pracy, pełnią w służbie cywilney różnego rodzaiu posługi, do których wzięte w Szkołach Publicznych światło uczyniło ich zdolnemi, albo nareszcie pozostali w domach roznoszą pomiędzy współbraci zdrowe i czyste Miłości Oyczyzny i porządku moralnego zasady, które doświadczeniem nieuchronnych woyny nieszczęść w mniey oświeconych mogły bydź doczasowie wstrzęśnione. Niedoyrzałość wieku i nie dość ieszcze wydobyte moralne i fizyczne zdatności nie dozwalaią młodszym postępować szlachetnemi temi wyścigi. — Ułatwiajcie im nadal drogę, kieruicie rozwiiaiącym się kwiatem, a w czasie doyrzeie

[1]) Ibidem.
[2]) Oryginał pod N. 2350 w archiwum piszącego.

owoc, z którego Pociechy i wam się uczuć dostanie. Ja z obowiązku mego i zalecenia Uniwersytetu tę Wam przesyłaiąc odezwę, otwarcie Szkół, chociby przez mnieyszą liczbę Nauczycieli, ieśliby wszyscy nie znaydowali się na mieyscu, na dzień 14. teraźnieyszego Msca rzymskiego stylu ogłaszam i zwykłego o tem Rapportu naydaley w końcu miesiąca oczekuię [1])".

Otwarcie jednak szkoły było rzeczą niemożliwą, jak ze względu na brak nauczycieli, tak i dla tego, że gmach szkolny przez cały rok 1812, aż do października 1813 r. zajęty były na lazaret wojskowy. Po przeniesieniu z niego lazaretu i odrestaurowaniu budynku, nauka rozpoczęła się dopiero w d. 4. listopada 1813 roku, lecz nieomal szkoła nie uległa powtórnie temuż losowi zaraz po jej otwarciu, gdyby nie konsystujący w Telszach jenerał-major Sienicyn, który ją od tego „powagą swoją" ochronił [2]).

Jakkolwiek program nauk przepisany był przez uniwersytet wileński, jednak zwierzchność szkoły telszewskiej nie trzymała się go ślepo, modyfikując go wedle swego widzimisię. Tak n. p. do r. 1818 braciszek OO. Bernardynów Dydak Paździerski uczył w szkole języka hebrajskiego [3]) i dopiero w tym roku, po wizycie Budziłłowicza, dyrektora szkół gub. wileńskiej, władza uniwersytecka w d. 26. grudnia nakazała zaniechać jego nauki, zastępując go innymi, pożyteczniejszymi przedmiotami [4]).

W tymże roku d. 9. grudnia na mocy rozkazu kuratora wileńskiego okręgu naukowego, dyrekcya szkół rozesłała do wszystkich szkół gub. wileńskiej okólnik, według którego od d. 1. września 1819 r. nie może być przyjętym do szkoły żaden uczeń, nie posiadający przepisanego tymże okólnikiem munduru. Całe to umundurowanie — mające się przyczynić „do oszczędności znakomitey nieraz expensy na suknie i oddalić ze szkoły płochy i naganny gust przesadzania się w stroiu" — składało się z granatowego surduta z szafirowym kołnierzem i czerwoną wypustką, ze spodni nie ko-

[1]) Archiwum dawnej szkoły. Ks. N. 2.

[2]) Raport prefekta szkoły z d. 9. listop. 1813 r. N. 90 w archiwum dawnej szkoły Ks. N. 2.

[3]) Urodził się około r. 1764; około r. 1810 wstąpił do zakonu OO. Bernardynów i w r. 1837 wykładał język hebrajski w akademii duchownej w Wilnie. (Elenchus cleri regul. ord. min. S. P. M. Francisci Observ. Anno 1838), gdzie też i zmarł w d. 28. września 1839 r. (Ibidem. Anno 1840).

[4]) Oryginał zakazu pod N. 4008, znajduje się w archiwum piszącego.

niecznie białych, lecz szaraczkowych, czarnych lub granatowych i czapki o wierzchu granatowym z szafirową obwódką, czerwoną wypustką i daszkiem. Stosowany kapelusz i szpadę używać zakazano zupełnie. Z pod tego prawidła wyjęci zostali tylko uczniowie „prawdziwie biedni“ i to tylko klas I. i II.[1]).

W d. 28. czerwca 1819 r. odbyło się niezwykle uroczyste zamknięcie roku szkolnego, połączone jak zwykle z tak zwanym „popisem“ w obecności księcia Józefa Arnolfa Gedroycia, biskupa żmujdzkiego, Stanisława Piłsudzkiego, marszałka pow. telszewskiego, barona Antoniego Roenne, nie dawno mianowanego kuratora honorowego szkół powiatu[2]), wreszcie „palestry“, urzędników i ogromnego zjazdu obywateli[3]).

Prefektem w roku tym był O. Tymoteusz Węcenowicz, który wykładał nadto prawo i historyę; nauczycielem fizyki — O. Gedeon Demontowicz; matematyki i rysunków — O. Rufin Kimbar: literatury polskiej i łacińskiej — O. Jakób Narkiewicz; gramatyki polskiej i łacińskiej, historyi świętej i nauki chrześciańskiej — O. Kornelli Jodziewicz i nauczycielem nauki moralnej, geografii, arytmetyki i języka niemieckiego — O. Linus Łabanowski. Liczba uczniów wynosiła 224 t. j. w klasie wstępnej — 70, I. — 50, II. — 38, III. — 32, IV. — 21, V. — 10 i VI. — 2[4]).

Pod wpływem zawiązanego w Wilnie w r. 1816 „Towarzystwa biblijnego“, uniwersytet w d. 28. lipca 1819 r. zalecił zwierz-

---

[1]) Archiwum dawnej szkoły. Ks. N. 2. — Uniform dla uczniów uniwersytetu wileńskiego i szkół jego wydziału, zatwierdzony został ukazem monarszym danym uniwersytetowi wil. jeszcze w d. 26. lipca 1806 r. Składał się on z fraka granatowago kroju francuskiego z wypustką dokoła pąsową, zapinającego się od szyi do końca piersi na guziki pozłacane gładkie, z kołnierzem i „obszlagami“ z szafirowego sukna. Na kołnierzu dwa małe „stryfliki“. Kamizelka i spodnie białe sukienne. Kapelusz stosowany.

[2]) Mianowany przez uniwersytet wil. w d. 9. czerwca 1819 r. (Tekieliński. Opis dzienny szkół Wil. i Akademii i Uniwersytetu. Wilno 1876 r., str. 137). Urodzony z Feliksa, majora w. lit. i szambelana i Antoniny Giełgudówny, starościanki żmujdzkiej. Dziedzic Renowa w pow. telszew., magister filozofii uniwersytetu dorpackiego i marszałek szlachty pow. telszewskiego. Dobrodziej szkoły telszewskiej, której w d. 15. listopada 1819 r. darował duży zbiór minerałów.

[3]) Dowód rocznego postępku... przez uczniów w szkole publiczney powiatowey telszewskiey o sześciu klassach utrzymywaney przez X. X. Bernardynów okazany. R. 1819 Czerwca dnia 28. w Wilnie, w drukarni X. X. Bazylianów. 4^0 str. nienum. 18.

[4]) Ibidem.

chności szkolnej, by codziennie po mszy św. „studenckiej“ kapelani odczytywali w kościele zebranym uczniom jeden lub dwa rozdziały Pisma św. Nowego Testamentu, tak aby w ciągu roku wszystkie Ewangelie i listy apostolskie odczytanemi zostały [1]).

W lecie r. 1822 zwiedził szkołę wizytator Jan Chodźko, którą znalazł w stanie bardzo niezadawalniającym. Uczono w niej powierzchownie, język polski stał bardzo nisko, uczniowie wymawiali fatalnie, a pisali jeszcze gorzej. Natomiast karność była ściśle przestrzegana, a czystość największa ze szkół całej Żmujdzi.

Przełożonym był znany już nam O. Tymoteusz Węcenowicz, który pomimo całego upadku w jakim się naówczas szkoła znajdowała „z chlubą i zasługą jej przewodniczył“. Cała więc wina spadała na nauczycieli, otrzymujących wykształcenie przeważnie wyłącznie tylko w zakonie, mających tylko jaką taką powierzchowną znajomość przedmiotu, który zmuszeni byli wykładać, a których zwierzchność w braku odpowiednich specyalistów *nolens volens* mianowała nauczycielami. Jak wielki brak był ich dowodzi choćby ten fakt, że jeden nauczyciel wykładał po parę przedmiotów, nic z sobą wspólnego nie mających.

Oto jakich zastał Jan Chodźko w tym roku nauczycieli. O. Gedeon Demontowicz w wieku lat 38, uczący fizyki i języka francuskiego, był zdolności bardzo miernych, a wiadomości z dziedzin wykładanych nauk miał jeno „nieco“. O. Rufin Kimbał również lat 38, już siódmy rok wykładał matematykę, mało mając w tym przedmiocie wiadomości, „ale zawsze więcej niż jego koledzy“, był przytem niepomiernie surowy, wskutek czego uczniowie go nie lubili. O. Jacek Marcinkiewicz, dwudziesto siedmioletni zakonnik, dopiero rok pierwszy nauczał literatury polskiej i łacińskiej, pomimo zupełnego braku zamiłowania do swego przedmiotu oraz nadzwyczaj małej wiedzy, a nawet uzdolnienia. Zresztą i sam przełożony, wykładający już rok siódmy prawo i historyę, nie mając czasu na przygotowanie się, nie odpowiadał jako nauczyciel swemu zadaniu.

Pomimo to w roku szkolnym 1821/22 było 422 uczniów [2]).

W tymże roku program nauk szkoły telszewskiej jak i reszty szkół gimnazyalnych gub. wileńskiej został przez rząd uniwersytecki zmodyfikowany nieco. Zmiana ta polegała na powiększeniu liczby godzin nauki o jedną godzinę dziennie, powiększając jednocześnie liczbę godzin nauki języków starożytnych, matematyki i fizyki.

[1]) Archiwum dawnej szkoły. Ks. N. 2.
[2]) Wołyniak. Luźne kartki z przeszłości Telsz. Str. 89—90.

Wprowadzono również do wszystkich klas naukę języka rossyjskiego, łącznie z historyą rossyjską, który dotąd wykładanym był tylko w dwóch klasach niższych [1]).

Dnia 4. września 1823 rząd uniwersytecki zwolnił barona Antoniego Roenne na własne jego żądanie z urzędu kuratora honorowego szkół pow. telszewskiego, a na miejsce jego mianował minister oświaty w d. 11. czerwca 1824 r. Włodzimierza Gadona, byłego marszałka szlachty pow. telszewskiego z Siad [2]).

Dnia 25. lipca 1825 r. dotychczasowa szkoła sześcioklasowa zamienioną została na czteroklasową, z klasą wstępną, którą w końcu maja roku następnego zwiedzał prof. uniw. wileńskiego Podczaszyński, dając w swojej relacyi wyczerpującą wiadomość o niej i jej zwierzchności [3]).

Przełożonym szkoły i zarazem nauczycielem historyi i języka francuskiego był O. Teodor Paszkiewicz, rodem z pow. rossieńskiego,

---

[1]) Rozkaz dyrekcyi szkół gub. wil. z d. 2. września 1823 r. N. 444, w archiwum piszącego.

[2]) Syn Antoniego Gadona, ciwuna użwentskiego i Sybilli Buttlerówny ur. w d. 9. października 1775 r. w dobrach dziedzicznych Siadach w pow. telszewskim. Mając lat 19 już brał czynny udział w powstaniu kościuszkowskiem. W r. 1805 wybranym został przez współobywateli na sędziego Sądu Głównego 2-go Departamentu w Wilnie, zaś w r. 1809 na marszałka szlachty pow. telszewskiego, który to urząd spełniał przez lat 6, poczem usunął się na wieś, oddawszy się w swych dobrach Siadach rolnictwu. Na urzędzie kuratora honorowego szkół zastał go r. 1831, w którym go d. 29. marca zgromadzeni w Telszach obywatele, obrali na prezesa „tymczasowego powiatowego rządu narodowego“. Z niezwykłą gorliwością i poświęceniem oddał się cały sprawie powstania, będąc — jak mówi Jacewicz Onufry w swych pamiętnikach — jednym z tych nielicznych niestety ludzi, którzy wytrwali do końca wśród trudów i niebezpieczeństw. Po zupełnem upadku powstania emigrował przez Prusy do Francyi, gdzie w Nancy razem z żoną Teklą z Szuksztów zamieszkał. Wkrótce został tam kuratorem honorowym szkółki dla dzieci emigrantów polskich, a interesując się zawsze żywo sprawami społecznemi, ogłosił drukiem w Paryżu broszurę p. t.: „O reformie Izraelitów Polskich“ (w 1835 r.), rzecz „O usiłowaniach i dążności szlachty polskiej do nadania swobody włościanom i do uposażenia ludu wolnością osobistą tudzież ziemną, szczególniej na Litwie i Żmujdzi“ (w 1838 r.) i rozprawkę historyczno-statystyczną p. t.: „Statystyka X. Żmujdzkiego“ (w 1839 r.). Zmarł bezdzietnym w d. 9. sierpnia 1842 r., a na grobie jego na cmentarzu Préville w Nancy wychodźcy swym kosztem wystawili piękny pomnik.

[3]) Wołyniak. Luźne kartki z przeszłości Telsz. Str. 91—92.

w wieku lat 43. nauczycielem jest już rok 11, a w Telszach pierwszy. O. Piotr Juchniewicz, nauczyciel fizyki i historyi naturalnej, również był rodem z pow. rossieńskiego, miał lat 29 a w Telszach był rok pierwszy. O. Klodoald Chylkiewicz, nauczyciel wymowy i języka rossyjskiego, urodził się w Mścisławskiem, miał lat 33, w Telszach był od r. 1822, nauczycielem zaś już rok ósmy. O. Linus Łabanowski wykładał arytmetykę, geografię i język niemiecki, miał lat 37, w Telszach był od r. 1816. O. Cyprian Jankiewicz, nauczyciel gramatyki polsko-łacińskiej, ur. w pow. rossieńskim, miał lat 39, uczył się w Telszach, gdzie też był nauczycielem od r. 1822 i wreszcie O. Symforyan Tweryan, nauczyciel geografii i rysunków, lat 32, w Telszach był od r. 1822.

Wszzyscy po skończeniu szkółek parafialnych dalsze wykształcenie otrzymali tylko w klasztorze, już jako zakonnicy, wiedza przeto ich nie mogła być głęboką zwłaszcza, jak już mówiliśmy o tem, przy wykładaniu kilku przedmiotów różnorodnych, jak n. p. O. Łabanowski wykładał jednocześnie arytmetykę, geografię i język niemiecki.

Uczniowie, których było 171, wszyscy byli wyznania rz.-kat. w wieku pomiędzy latami 9 a 16. Szlachty między nimi 156, mieszczan 5 i włościan 10. Tylko 25 było rodem z innych powiatów i tylko 1 z innej gubernii. Na klasę wstępną przypadało 46, klasę I. — 39. II. — 53, III. — 18 i IV. — 15. Na stancyach mieszkało 166 i 5 u nauczycieli, z czego wynika, że żaden z nich nie miał w Telszach swoich rodziców. Dozorców domowych było 14. W roku poprzednim 1825 ukończyło szkołę 7, a 23 opuściło ją przed skończeniem.

Plan nauk był następujący: R e l i g i ę wykładano we wszystkich czterech klasach oraz wstępnej dwa razy na tydzień według tłumaczonego z języka francuskiego podręcznika ks. F l e u r y'e g o i polskiego ks. C h o d a n i e g o. J ę z y k p o l s k i w klasie I. — 4 godz. tygodniowo, II. — 2. III, i IV. po 2. Za podręcznik do nauki służyła gramatyka M a k s y m i l i a n a J a k u b o w i c z a, Kopczyńskiego zaś z niewiadomej przyczyny używać było nie wolno. Pomimo to jednak nauczyciel wyraził wizytatorowi swoje życzenie powrotu do gramatyki Kopczyńskiego. J ę z y k r o s s y j s k i w kl. I. 5 godz., II. i III. po 4 i w IV. — 3. Na lekcyi jęz. ros., tłumaczono też z ross. na polski historyę Rossyi. Ł a c i n ę w kl. I. i IV. po 1 godz., II. i III. po 2. J ę z y k i f r a n c u s k i i n i e m i e c k i w kl. I. i II. po 5 godz., III. i IV. po 3. G e o g r a f i ę w kl. I. i II. po 2 godz., w III. — 3 z podręcznika S z a c f a i e r a. H i s t o-

ryę w III. kl. 3 godz., w IV. — 5 łącznie z geografią według historyi Kojdanowa w przekładzie polskim. Matematykę w I. kl. — 4 godz., II., III. i IV. po 5 z podręczników Józefa Czecha i tłumaczonego z francuskiego Lacroix. Nauki przyrodnicze w kl. I. — 1 godz., zoologii, do której używano podręcznika Krassowskiego, II. po 3 godz. zoologii i 3 botaniki, Jundziłła, III. — 5 godz. fizyki według Feliksa Drzewińskiego, i w IV. — 7 godz. geografii fizycznej i ogrodnictwa, według Oczapowskiego.

Szkoła posiadała w tym roku gabinety fizyczny i przyrodniczy, i bibliotekę złożoną ze 169 tomów.

(Dokończenie nastąpi.)

HISTORYA MALARSTWA
NA PÓŁNOCY I W HISZPANII.

(Ciąg dalszy).

Czwartem arcydziełem Wiedeńskiego Muzeum jest alegorya czterech części świata. Siedzą, albo spoczywają na ziemi cztery piękne niewiasty o ciałach posągowych, klasycznych, z których jedna jest czarna. To personifikacya Europy, Azyi, Afryki, Ameryki. Przy nich jest czterech starców brodatych o pysznej muszkulaturze, których ramiona i plecy rysują się z największą skulpturalną siłą. To znów personifikacye czterech wielkich rzek: Dunaju, Gangesu, Nilu i Amazonki. Przy Gangesie stoi tygrys znakomicie malowany, przy Nilu pełza krokodyl, z którym się bawią prześliczne nagie dzieci Klasyczne, włoskie wspomnienia wielkiego Niderlandczyka w tym obrazie silnie wystąpiły. Malując, wspomniał posągi bogów rzecznych widywane w Rzymie, a przedewszystkiem Watykański posąg Nilu; to też malując tworzył twarde, potężne, jakby rzeźbione ciała.

Klasyczne także wspomnienia natchnęły szereg kompozycyi Rubensa, opowiadający dzieje Decyusza Musa, starego bohatera republikańskiej Romy; są to wzory dla kobierców i mają przeto charakter nieco dekoracyjny, a zdobią osobną wielką salę Galeryi Lichtenstein w Wiedniu. Widzimy tedy jak konsul, z rysów i postawy do cesarza Teodozego podobny, w zbroi pełnej, z wysokim hełmem na głowie i w czerwonym płaszczu, zarzuconym na ramiona, pyta się wróżbitów o losy bitwy, jaką ma wydać Łacinnikom. Rzecz dzieje się na polu, pod gołem niebem. Pachołkowie trzymają za konsulem siwego konia w pogotowiu. Augurowie w białych ornatach, brodaci i siwi, przebierają wnętrza ofiar, na polnym ustawione ołtarzu; jeden z nich pokazuje na wątrobie żertwy znak,

który głosi, iż to wojsko zwycięży, którego wódz zginie. Decyusz chwycił się oburącz za pierś, jedną cofnął nogę; ruch cały mówi: „Więc to ja mam zginąć!“ a na twarzy wyczytasz postanowienie: „Zginę skoro tego potrzeba“.

Na drugim obrazie Decyusz nakrył całą postać: twarz i głowę czerwonym płaszczem, jak to Rzymianin zwykł był czynić w chwili konania; pochylił się przed kapłanem, który go bogom piekielnym poświęca. Wzruszenie maluje się na twarzy kapłana, nieugięte, tragiczne postanowienie wyrażone postawą Decyusza. Wnet widzimy go znów, jak dosiadając konia żegna się z rozżalonymi liktorami.

Następują dwa największe obrazy. Jeden z nich wyobraża bitwę i szalone, potężne, krwawe zamięszanie koni i ludzi; jedni rażą, drudzy giną, inni uciekają, a siły rozpasanej, olbrzymiej tu pełno. Jednak uwaga widza uwięziona przez przepysznie pomyślaną śmierć Decyusza, widniejącą na pierwszym planie; konny Łacinnik utwił przejeżdżając, ze wspaniałym gestem tryumfu włócznię w gardło Rzymskiego wodza. Koń konsula spiął się dęba, a Decyusz puściwszy wodze, spada z rumaka w tył; blada śmierć siadła mu na obliczę.

Wreszcie na białym przeważnie i złotym obrazie widzimy pogrzeb zwycięzcy, obchodzony z całą pompą tryumfów. Na barach leży Decyusz umarły, którego profil podobny tu do Rzymskiej kamei, a orzeł złoty ustawiony nad marami patrzy w twarz umarłego, jakby w twarz brata. Na pierwszym planie zmuszają Rzymianie brutalnie jeńców do tego by klękli i kark pod topór ugięli; za marami tryumfatora wloką zapłakane branki. Widać tu całą wspaniałość i całe zimne okrucieństwo pogańskiej starożytności, przenikniętej na wskróś przez wielce wykształconego Rubensa.

Dotąd opisane obrazy są wzorami historycznych kompozycyi, uzmysławiających zdarzenia wielkie, w sposób dla wszystkich zrozumiały a wzruszający. W obrazach natomiast, które stara Pinakoteka Monachijska posiada, popisywał się Rubens w tej swojego żywota dobie, bajeczną znajomością ciała ludzkiego i czasem także zwierzęcego, bajeczną biegłością rysownika, dla którego pokonanie największych trudności miłą bywało igraszką a przedewszystkiem nieokiełzaną, szaloną, rozpasaną prawie siłą.

Dwa razy możemy tu w Monachium oglądać Sąd Ostateczny malowany ręką Piotra Pawła Rubensa; jeden nazywa się Wielkim, drugi Małym; żaden z nich nie jest wolkim naprawdę obrazem, gdy się zważy niezliczone mnóstwo figur jakie na nich odmalowano.

Daleko na tych obrazach od kapłańskiej i głębokiej koncepcyi Chrystusa zasiadającego spokojnie pośród niebieskiego dworu i wskrzesającego umarłych na potępienie lub zbawienie wieczne. Bodaj czy Borgona w Toledzie, Sądu Ostatecznego tak nie odmalował po raz ostatni, ręką artysty. Za dni Rubensa, zawieruszny a może po prostu gimnastyczny Sąd Ostateczny Michała Anioła wydawał się jedynym wzorem godnym naśladowania. To też obydwa Sądy Rubensa przypominają olbrzymi fresk Rzymski; tylko że kolosy włoskie zamieniły się w małe, germańskim obyczajem malowane figurki, pnące się do nieba, albo spadające do piekła i że naród fantastycznych germańskich dyabłów wylągł z piekielnej jamy, czyhając na swoje ofiary, na skazańców gniewu Bożego. Na nic tu się nie zdadzą opisy; trzeba się patrzyć na te kompozycye, aby mieć wyobrażenie o bajecznych kaskadach ciał tłukących się po powietrzu, które Rubens tu namalował, o tym szalonym, niesłychanym ruchu i pędzie i tym muszkułów naprężeniu i członków pomotaniu, o tych skróceniach i ruchach zuchwałych i przewrotach niezliczonych nagich ciał.

Blisko pokrewnym jest w tejże galeryi Upadek Aniołów, gdzie tysiące małych, nagich, skrzydlatych ciał tworzą prawdziwe grona; podobne są do piorunu, strąconego ręką Bożą, lecącego z nieba w przepaść na łeb, zamieniającego piękność niebiańską na piekielną szkaradę.

Pinakoteka Monachijska posiada wreszcie czwarty w tym samym rodzaju obraz, wyobrażający mitologiczny tym razem przedmiot, a mianowicie bitwę Ateńczyków z Amazonkami. Konni i piesi, męże i niewiasty ścierają się na murowanym moście, rzuconym ponad przepaść w której strumień górski szumi się i pieni. Tu występuje wyjątkowo także krajobraz, odmalowany zuchwałemi uderzeniami pęzla, a dziwnie zestrojony z tumultem bitwy; maleńkie figurki męskie i niewieście, przepysznie rysowane pędzą, tłumią się, walczą, spadają w najrozmaitszych postawach z mostu w przepaść.

Wspomnę wreszcie kilka portretów z tej pierwszej epoki twórczości Rubensa. Jeszcze zawsze w Pinakotece Monachijskiej widzimy w całej postaci Rubensa ze swoją żoną Izabelą. Siedzą w bogatem spacerowem ubraniu, z kapeluszami wysokiemi na głowie, w altanie ogrodowej. Rubens siedzi na ławce założywszy jedną nogę na drugą. Pani Rubensowa, której twarz z ogromnej kryzy wygląda, uśmiechnięta siedzi na ziemi; oboje trzymają się czule za ręce.

W Galeryi Lichtenstein w Wiedniu widzimy nagą postać Izabeli. Zwrócona do widza plecami, czesze swoje przepyszne, złociste

włosy. Murzynka trzyma dla niej zwierciadło, z którego wygląda twarz Pani Rubensowej prześliczna a hoża.

Słynnym jest wreszcie portret czterech mężów w sile wieku, zawieszony w pałacu Pitti we Florencyi, a znany pod nazwą Czterech filozofów. W rzeczywistości przedstawia Rubensa i czterych, równie jak on uczonych miłośników starożytnej sztuki. Te portrety z pierwszej epoki twórczości mistrza są oczywiście malowane z wielką precyzyą i siłą, ale pozbawione czarów jego późniejszego kolorytu, nie mogą iść w porównanie z późniejszemi.

Czterdziesto dwu letni Rubens doszedł do wielkich bogactw i wielkiej sławy. Królowa Matka Francuska, Marya Medycejska powołała go tedy r. 1621 do Paryża i poleciła mu wykonanie dwudziestu jeden obrazów wielkich, opisujących jej życie. Przez pięć lat jeździł tedy malarz kilkakrotnie z Antwerpii do Paryża, zawadzając o Brukselę, bawił kilkakrotnie czas dłuższy we francuskiej stolicy, a portretując Maryę, często poufałe z nią prowadził rozmowy. Że był kawalerem wielce wykształconym, a francuskiego języka jako macierzystej używał mowy, niebawem w wielkich był u paryskiego dworu łaskach. Namiestniczka Niederlandów, arcyksiężna Izabela, skorzystała z tej okoliczności, aby malarzowi swojemu powierzyć dyplomatyczną misyę, z której się szczęśliwie wywiązał.

W roku 1626 spotkał Rubensa cios srogi; ukochana jego żona Izabela umarła. W podróżach szukał wielki malarz zapomnienia. Najpierw zwiedził Holandyę, później udał się do Madrytu. Przyjęty został bardzo łaskawie przez Filipa III. i od niego otrzymał polecenie stworzenia wielkiej seryi dworskich malowideł; ale Filip postanowił Rubensa dyplomatyczne zdolności wyzyskać i udzieliwszy mu szlachectwo wyprawił go do Londynu, gdzie spędziwszy czas dłuższy, zawarł pokój między Anglią i Hiszpanią, czyniąc przy tem znowu zadość dekoratywnym obstalunkom angielskiego króla, który wielce rad z malarza-dyplomaty pasował Rubensa na rycerza. Dopiero z powrotem z Anglii zawiązał Rubens powtórne małżeństwo, poślubiwszy śliczną młodą Helenę Fourment, kupił sobie na wsi zamek Stoen i postanowił resztę życia poświęcić sztuce i szczęściu domowemu.

Do ogromnych seryi dworskich dekoracyi, które obstalowano w owym czasie u Rubensa przybywa jeszcze serya podobnie dekoracyjnych obrazów obstalowana dla klasztoru w Loeches. Oczywiście, że Rubens sam niezliczonych sążni płótna nie pokrywał malowidłami. Robił tylko szkice, nadzorował malujących uczni, gdzie niegdzie tę lub ową domalował postać. Z tych seryi najsłynniejszą jest Paryska,

zawieszona w Luwrze, w której zresztą jest dość wiele postaci wykonanych własnoręcznie. Ale chodziło tu o panegiryki w malowniczym stylu, o pomięszanie ludzi z Bogami Olimpu, w których ci ludzie nie wierzyli, i musiały powstać rzeczy, z konieczności nie szczere, których wykonanie, obok zajęć dyplomatycznych, zbyt wiele drogiego czasu wielkiemu zabrało artyście. Dziwić się tylko wypada, że Rubens i w tym okresie zdołał wykonać sporą ilość pięknych, własnoręcznych dzieł.

Tworzenie dekoratywnych alegoryi odbiło się jednak widocznie na twórczości Rubensa. Nie malował już rozumnie przetrawionych dramatycznych koncepcyi; okazał wielką skłonność do malarstwa mitologicznego albo rodzajowego, dostrzegł wspaniałość krajobrazu; nie chodziło mu już oto, co obraz przedstawia, nie wyrażał malując ani myśli, ani uczucia, nie opowiadał zdarzenia; zawładnął barwą płynną, lśniącą, tęczową, rozmaitą, jak przed nim chyba wielcy Wenecyanie, Tycyan i Weronese. a nie uronił nic z panowania zadziwiającego nad rysunkiem; więc malował teraz bezmyślnie, rozkoszując się w barwie i nie tyle w linii, ile w plastyce różnie poruszanego ciała ludzkiego. Rzec można nawet nieraz słusznie, że szlachetność linii poświęcał nie mniej od duchowej obrazów treści, że malował ciała zanadto tłuste, gibkie i miękkie, i przedewszystkiem krótkie, a przeto niekształtne, choć wyzywająco zmysłowe. Ale proszę mnie zrozumieć. Ten zarzut tyczy się tylko obrazów Rubensa mniej udatnych — tych, o których z osobna mówić nie będę; zazwyczaj ciała jego są zapewne zażywne, miękkie, rozkosznie zmysłowe a twarze niewiast, nimf i bogiń cieszą się bezmyślnie pięknością i zdrowiem, dla zmysłowych tylko wrażeń dostępne, ale te ciała i te twarze są piękne i to bardzo piękne, zdrowiem płowych, złotowłosych, białych i rumianych córek żyźnej Flandryi. Malował teraz Rubens chętnie ciała nagie naturalnej wielkości, albo znacznych przynajmniej rozmiarów, a nikt ani przedtem, ani potem takich ciał nie malował; bywały równie kształtne i gibkie u niewiast, u mężów nagich równie silne — teraz już bez przesady; nigdy podobno nie ruszały się z tak giętką, zadziwiającą swobodą, nigdy z pewnością tak cudnie nie bywały ubarwione; pierwszy Rubens dostrzegł dziwnie misterną grę barw, jaka się mieni na skórze, niby białej albo śniadej, pierwszy malował karnacyą wszystkiemi prawie barwami tęczy, zlanemi tak, że oddają życie, a gotują i dla oka i dla rozumu niezrównaną biesiadę.

Chceszli się o tem przekonać, to pójdziesz do Nadwornego Muzeum w Wiedniu a spojrzysz na nagą pierś martwego Chrystusa,

spoczywającego w objęciach Matki. Tu nie żałość Maryi ciebie zajmie, tylko niezrównana gra barw na nagiem Chrystusowem ciele, owa krew, która z poza skóry, wszystkiemi barwami życia cudownie wygląda.

Ale większą ci rozkosz sprawią głowy Antoniego i Kleopatry, jakby na medalu, z profilu odmalowane w Galeryi Lichtenstein, gdzie obok piękności starożytnej Kamei zachwycają cię znów misterne nad wyraz rumieńce na licu, życie które barwnie tętni wszędzie — na gardle, na szyi, nawet na czole. A jeśli w tymże Wiedniu zajdziesz do Akademii sztuk pięknych, staniesz ze wzrastającym podziwem przed obrazem, na którym widzisz jak Boreasz, bożek wichrów nagi, piękną nagą Ateńską porwał królewnę, córę Cekropsową, Orytyę. Lecą przez powietrze; on jeszcze dmie z nadętych policzków, ona, porwana w jego muszkularne a przecież miękkie i ciepłe ramiona, woła z przestrachu o pomoc, a jednak już rozkoszą jakąś ujęta; w dziwnie, w bajecznie miękkie ciało złotowłosej dziewicy weszły palce Boreasza, a ty czujesz, że mógłbyś się tych członków dotknąć jak miękkiego, żywego, ciepłego ciała. Ale nadewszystkiem góruje niezrównany czar karnacyi, z której życie tryska, po której życie krąży.

Znów aż cztery arcydzieł tej drugiej Rubensa maniery zdobi starą Pinakotekę w Monachium. Na jednem, nie zbyt wielkich rozmiarów, widzisz jak Dalila wydała Samsona Filistynom. Piękna, zdradziecka niewiasta spoczywa na łożu, rozkosznie miękka i rozkosznie barwna; znać po niej, że ledwo się skończyły z Samsonem pieszczoty; ale już woła Filistynów, a ci przypadli przybudzonego bohatera, którego Dalila pozbawiła długich włosów, siedziby nadprzyrodzonej prawie siły. Daremnie miota się Samson, daremnie krew gniewu twarz jemu zalała, daremnie wytęża muszkuły o niewidzianej potędze; już skrępowany, już go wiodą w niewolę.

Na większem daleko płótnie ujrzysz raz jeszcze owo siły ludzkiej i zwierzęcej wyuzdanie, które podziwiałeś już w tej galeryi na Sądach Ostatecznych i bitwie Amazonek. Staniesz przed „Walką z lwami“. Ale tu postaci jest mniej, są wielkie, przepyszne nietylko rysunkiem, ale barwą lśniącą, białością cudowną bohaterskich, męskich ciał, uniesionych zwierzęcą furyą walki o życie. Jeden konny Rzymianin, trzej barbarzyńscy jeźdźcy w zawojach i dwaj barbarzyńcy piesi walczą gdzieś wśród pustyni z dwoma lwami. Trup jednego piechura już zabitego leży na ziemi. Jeźdźcy zbrojni w włócznie, piesi w sztylety. Jeden ze lwów drugiego piechura właśnie na ziemię powalił; powalony broni się jeszcze, towarzysz klęczący

we lwa godzi. Drugi większy, nad wyraz potężny lew porwał w swoje szpony barbarzyńskiego jeźdźca i wrzeszczącego ściąga z konia na łeb; Rzymianin jezdny włócznią mierzy w straszliwe zwierzę; konie przerażone pną się, tłumią i skaczą. Nie do wiary jaka tu siła, jaki ruch i gwałt, jaki bój, jaka trwoga i groza, jaśniejąca potęgą świetną barw.

Może najpiękniejszem z Monachijskich płócien Rubensa jest wielki obraz, na którym odmalował porwanie cór Leucypowych przez Kostora i Poluksa. Na koniach dopadli zbrojni Dioskurowie nagie dziewczęta; jeden z bohaterów, zeskoczywszy na ziemię, chwyta w ramiona pulchną, białą dziewicę, drugi, siedząc na koniu, swoją brankę dźwiga, a dwa małe kupidynki chwytają się karków końskich. Jest w tym obrazie i rozkoszna zmysłowość i męska siła i miękkość ciał przedziwna i świetność barw żywotna, pełna drgającego życia.

Sławnymi są wreszcie nagie, pulchniutkie, figlarne, białe i różowe dzieci, które dźwigają ogromne wieniec przepięknie malowanych kwiatów; inną śliczną grupę podobnych dzieci, bawiących się z barankiem, posiada Nadworne Muzeum Wiedeńskie.

Porwanie Sabinek w Muzeum Prado w Madrycie przypomina i mocą ruchu, i siłą młodzieńców i anielskiemi dziewic nagich kształtami i barwą ciał misterną i zmysłowością rozkoszną Dioskurów — choć może Monachijskiemu arcydziełu nie dorówna. Z innej jednak strony można ćmiący koloryt drugiej epoki Rubensa właśnie w Madryckiem Muzeum najlepiej poznać. Tu jest najpierw olbrzymi obraz, na którym trzej królowie z orszakiem swoim hołd Bogarodzicy składają, prawdziwa orgia barw, lśniących na szatach wspaniałych, po nad którą góruje postać wyniosła łysego, białobrodego starca w czerwonym płaszczu; tu jest dalej obraz zwany Dworem Wenery, albo też Rozmową Modną *(Conversation à la mode).* Nie wielki to obraz, w którym przechodzimy już w dziedzinę malarstwa rodzajowego; widzimy bowiem towarzystwo dam i kawalerów siedmnastego wieku, zabawiające się zalotną rozmową na dworze, przy wspaniałym zamku. Jaśnieje tu wszystko od świetności szat, od połysku kraśnego twarzy, ramion i gorsów strojnych, młodych dam. Pyszna dama w czarnej jedwabnej sukni siedzi pośrodku, a nagi amorek skrzydlaty przedarł się z bajecznego Olimpu do tego modnego grona i siadł na kolanach tej damy, jaśniejąc dziecinnem ciałkiem na czarnym jedwabiu. Nieco odmienne i znacznie słabsze, przez uczni wykonane powtórzenie tego obrazu, znajduje się w Galeryi Drezdeńskiej.

Całkiem już rodzajowym obrazem jest w Muzeum Prado taniec chłopski, przypominający bardzo tamtejsze Jana Breughla obrazy. I tu jaśnieją pstrą odzieżą postacie sielskich ludzi, na tle zielonego krajobrazu i błękitnego nieba; tylko że oczywiście u Rubensa charakterystyka ciężkich, skaczących Flamandzkich chłopów dosadniejsza, ruch gwałtowniejszy. Podobny utwór, znany pod nazwą Kiermesy posiada Luwr Paryski. Muzeum Nadworne Wiedeńskie posiada obraz takich samych, miernych rozmiarów, zwany Parkiem Zamkowym, gdzie krajobraz pełen drzew i słońca jest już główną rzeczą. Wśród zielonego ogrodu odzwierciedla się błękit niebios w spokojnym stawie, a za stawem wznosi się zamek pański. Stafaż tworzy jakieś eleganckie towarzystwo, które się bawi swobodnie,

Królowa Tomiris w Luwrze świadczy o tem, jak Piotr Paweł Rubens mógł się zabawić w barbarzyński przepych gwoli barwnej wspaniałości. Obraz przedstawia królowę Sarmacką w chwili, w której głowę poległego Cyrusa zanurza w naczynie pełne krwi, a że rzecz wśród Sarmatów się dzieje, widzimy tu płonące od barw jaskrawych Polskie stroje, futrzane kołpaki i futrzane delje, kosztowne karabele. Taką samą kostiumową, kolorystyczną wystawę odmalował nasz mistrz w Trzech Królach, będących obecnie w Antwerpii w Muzeum, gdzie miejsce Polaków zajęli Turcy z bajecznym wystrojeni przepychem, i Murzyni o barbarzyńskiej zgoła wspaniałości.

Z portretów pochodzących z drugiej epoki działalności wielkiego Flamanda wymienię jeden tylko — ale arcydzieło, będące chlubą Galeryi Lichtenstein w Wiedniu. Wyobraża dwóch jego synów. Starszy stoi w czarnym płaszczu i czarnym kapeluszu; młodszy, śliczny blondynek przyodział białe, jasne szaty i bawi się ptaszkiem trzymanym na sznurku. Jest to cud pacholęcego wdzięku, odmalowany z największą prawdą i prostotą. A może nigdzie nie występuje czar karnacyi Rubensowskich tak misternie, jak na twarzach tych chłopców. Galerya Drezdeńska posiada znów tylko szkolną tego obrazu kopią.

Ostatnich dziesięć lat życia spędził Rubens w zaciszu domowem, zajęty już tylko malowaniem obrazów własnoręcznych — z miłości dla sztuki. Pozostał w ogóle wiernym drugiej swojej manierze, pogłębił jednak jeszcze swój koloryt, udoskonalił jeszcze swoją technikę i w ogóle technikę malarską i sprawił przeto, że mówimy o trzecim stylu antwerpijskiego mistrza i że znawca prawie niechybnie pozna obrazy, z tych ostatnich dziesięciu lat pochodzące. Rubens zwrócił teraz baczną uwagę na wpływ, który powietrze na barwę wywiera i nietylko pogłębił przezto powietrzną perspektywę,

ale dał barwom swoim lotność misterną, o której nikt przed nim wyobrażenia nie miał, a gdy malował powietrze, nasycone słonecznymi refleksami, tworzył płótno tak pełne jaśniejącego, kolorystycznego czaru, że potrzebujesz tylko oko barwą sycić patrząc, a nie pytasz ani o treść obrazu, ani o to, jakie na nim odmalowano postacie.

Muzą mistrza była jego druga żona, Helena; to też powiem przedewszystkiem o jej portretach. Słusznie najsławniejszy znajduje się w Nadwornem Muzeum Wiedeńskiem; przedstawia Helenę nagą: narzuciła tylko na jedno ramię czarnym aksamitem obite futro, a jak pogańska bogini, bez wstydu i trwogi, patrzy w świat śliczną, młodziuchną twarzą, okoloną przez złote włosy. Stoi tu ona na pierwszym planie, nie ma tedy na niej powietrznej osłony, i wygląda jak obraz z drugiej mistrza epoki, ale obraz, w którym kolorystyczne oddanie białości barwnej niewieściego ciała do największej doprowadzono doskonałości.

Inne portrety odpowiadają bardziej naszym pojęciom o wizerunku małżonki, a odznaczają się właśnie tem, co Rubens przyczynił do skarbnicy sztuki pod koniec życia, bo tam Helena przechadza się w słońcu po ogrodzie, a powietrze i światło sprawiają, że barwy na niej wyprawiają czarodziejski taniec. W Londyńskiej Galeryi Narodowej chodzi raz sama po ogrodzie, w jedwabie czarne ubrana z kolią perłową na prześlicznej szyi, a za nią idzie tylko paź. Na drugim, barwami wspanialszym jeszcze obrazie tejże galeryi towarzyszy Helenie na przechadzce widocznie zakochany mąż i dziecko małe, jeszcze na sznurku prowadzone. W czerwonej szacie i czerwonym kapeluszu o szerokich krysach jaśnieje Helena, oblana promieniami słońca, w Pinakotece Monachyjskiej, trzymając nagie dziecko na kolanach, płonące od czerwonych refleksów.

Nieraz dawał Rubens Helenie postać Madony i tworzył przytem śliczne obrazy, które jednak religijnego na prawdę charakteru nie mają. Świętości, dziewiczej niepokalaności nie dostrzeżesz w owych pięknych matkach, pieszczących się nagiem dzieckiem. I w Wiedniu i w Antwerpii widzimy święte rodziny, których główną postacią jest Helena Fourment za Matkę Boską przebrana. W Antwerpijskiej Madonie z papugą, pieści się młoda matka z prześlicznem, nagiem, złotowłosem, kędzierzawem dzieckiem, stojącem na ziemi, a uśmiechając się muska jego uśmiechniętą główkę, dodając jeszcze jeden klejnot do zbiorów Muzeum ojczystego miasta Rubensa. Madona z jabłkiem, w Nadwornem Muzeum Wiedeńskiem jest sielanką, od-

grywającą się w cieniu drzew zielonego sadu, a tu powietrze świeże i chłodne zlewa z sobą misternie barwy na szatach i karnacyach.

Głównem jednak arcydziełem, pośród Madon Rubensa jest tryptyk św. Ildefonsa, poświęcony pamięci wielkich mistrza dobrodziei, Arcyksięcia Albrechta i jego małżonki Izabeli, namiestników Hiszpańskich Niederlandów. I ten obraz jest chlubą Nadwornego Muzeum Wiedeńskiego, a jest jednym z najwspanialszych przykładów trzeciej i najdoskonalszej technicznej maniery Rubensa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

NOWY SĄCZ
W EPOCE WAZÓW.

(Ciąg dalszy).

Rozdział VIII.

Handel.

Dalsze szczegółowe opisy odsłaniają nam dokładny obraz handlu Nowego Sącza, z których okazuje się, iż tenże sięgał od ostatnich krańców Polski z południa, aż do najdalszych na północ i zachód i głęboko na wschód. Kupcy sandeccy, obok drobnej sprzedaży w swych sklepach, trudnili się wywozem wyrobów swojego miasta, a jeszcze bardziej przewozem towarów węgierskich i przywozem zagranicznych, byli więc przeważnie kupcami *en gros* hurtownikami. Obok tego znaczna liczba kupców sandeckich podejmowała interesa spedycyjne dla kupców zagranicznych, mianowicie węgierskich, oraz krakowskich, warszawskich i t. p., czyli byli spedytorami. Przewóz ten odbywał się częścią Dunajcem, jako spław tratwami, częścią na wozach, który to ostatni sposób transportu tworzył nowy rodzaj zarobku, nową klasę przedsiębiorców, t. j. woźniców miejskich, z których, jak nam akta miejskie podają, najważniejszymi w owych czasach byli: Stanisław Fratrowicz, Joachim Olejarz i Bartosz Zięba, młynarz.

Towarem, zajmującym pierwsze miejsce między wszystkimi, którymi odbywał się taki przewóz, zwłaszcza Dunajcem, była m i e d ź ze Spiża; miejscami zaś sprzedaży, dokąd ją wożono, był Lublin, Warszawa, a wreszcie Gdańsk. Miedź przynosiła zysk wcale znaczny, ale też zakupno tejże wymagało znacznego kapitału, a żaden z kupców sandeckich, jak się przekonamy bliżej, nie posiadał wielkiego majątku i nie rozporządzał większą sumą pieniężną; 1000 złp. gotówki było już rzadkością. Dlatego zmuszeni byli zaciągać większe pożyczki i zwykle operowali tylko pożyczonymi pieniędzmi.

Najdawniej znanym nam kupcem sandeckim, handlującym miedzią, był Jerzy Tymowski. Ten sprowadzał miedź z Lewoczy [1]) jako też z Nowejwsi [2]), dokąd jeżdżąc często, zamawiał ją osobiście, a dostawiali jej na większą skalę: w Lewoczy niejaki Roll, w Nowejwsi zaś Janusz [3]) Salmon; ale także odkupywał ją od kupców sandeckich, jak od Mikołaja Żmijowskiego, a nawet od swego wspólnika w tym handlu, Krzysztofa złotnika z Lublina. Miedź, którą handlował, była trojaka: blachy, płyty czyli dna, i tak zwane xpany [4]). Najtańsze były blachy miedziane, chociaż musiały być jej różne gatunki, albowiem od owego Krzysztofa z Lublina, który je przecież bez wątpienia sprzedawał z jakimś zyskiem, kosztował cetnar 25 złp.; natomiast w Lewoczy, a więc na miejscu, płacił (1615 r.) cetnar po 25 złp. 16 gr. — Płyty w różnych latach także różną musiały mieć cenę, gdyż odwrotnie od złotnika lubelskiego (1611 r.) kupował ich cetnar po 34 złp., w Nowejwsi zaś (1613 r.) po 26 złp. 19 gr. Także i na jarmarkach w Lublinie płacono różnie: w r. 1610 za cetnar na wagę lubelską [5]) po 36 złp., w r. zaś 1616 po 40 złp. — Najdroższe były t. z. xpany, gdyż cetnar tychże kosztował w Lewoczy (1615 r.) 28 złp. 26 gr. W latach późniejszych znajdujemy, że cena miedzi podnosi się coraz bardziej. Czy powodem tego były stosunki monetarne, mianowicie że pieniądze polskie ustawicznie traciły na wartości swej za granicą, co podkopywało kredyt kupców polskich, czy też jakie inne okoliczności, z pewnością oznaczyć się nie da. Widzimy tylko, że mieszczanin sandecki, Maciej Pleszykowicz, sprzedaje (1636 r.) w Lublinie cetnar miedzi w płytach lanych po 53 złp. 25 gr., i to ze stratą na cetnarze przeszło 15 złp. 11 gr. A inny mieszczanin z Nowego Sącza, Jan Wiechowicz, kupuje jeszcze w r. 1630 miedź kutą w Pławcu (Palocsa) od Jakóba Teiffera, faktora architekty królewskiego, cetnar wagi węgierskiej po 83 złp. 9 gr., a wraz z innymi wydatkami kupna dochodzący do 89 złp. 18 gr.

---

[1]) Löcse, Leutschau.

[2]) Igló, Neudorf.

[3]) János, Jan.

[4]) Pomimo poszukiwań i badań, nie mogłem się dowiedzieć, co właściwie oznacza ten wyraz xpany. Wprawdzie Ambroży Grabowski, pisząc o żupach wielickich, powiada, że „kspany (xpany) bić, znaczy kliny obijać". (Starożyt. hist. pol. T. I.) Z tego jednak nie można sobie jeszcze wyrobić jasnego pojęcia.

[5]) Różne miasta, zwłaszcza znaczniejsze jak Lublin, Kraków, Bochnia, Nowy Sącz i t. d,, miały swoje wagi. Waga sandecka była większą. Jekel: Pohlens Handelsgeschichte. 1 Th. 148. Wien 1809.

Jak wspomniałem powyżej, miedź największego wymagała nakładu, dlatego też Tymowski, spłacając swoje długi a nie odbierając punktualnie tego, co mu drudzy winnymi byli, nie będąc więc zawsze w stanie rozporządzać większymi kapitałami, był zmuszony na ten tak intratny handel pożyczać od obcych osób pieniędzy, jak n. p. od pana podsędka, Adama Rożna (1610 r.), albo od pana Zygmunta Stradomskiego (1611 r.), oraz wchodzić w spółkę z innymi kupcami, jak z owym złotnikiem z Lublina, lub Tomaszem Pytlikowiczem, (którego zawsze nazywa Tomusiem), i Wacławem Grabką z Nowego Sącza. Z owym, kilkakrotnie wspomnianym Krzysztofem złotnikiem, rozpoczął interes na olbrzymią skalę (1609 r.). Zakupili naspół 540 cetn. miedzi, oprócz których Tymowski miał jeszcze 32 swoich własnych, i te sprowadzili na wozach do Nowego Sącza, złożyli u niejakiej pani Świdrowej i stąd osobiście spławili do Gdańska. Niestety nie podana jest cena, po której ową miedź kupowali, ale przyjmując już jak najtaniej, przeciętnie cetnar po 25 złp., wypadałoby na samego Tymowskiego kosztów przeszło 7.500 złp. Atoli po opłaceniu flisaków [1]), myta w Sandomierzu, które samo wynosiło 57 do 76 złp., i innych kosztów transportu, Tymowski na swą stronę miał czystego zysku zaledwie tylko 219 złp. 25 gr., czyli prawie 3%, a więc kwotę, która nie stała w najmniejszym stosunku do tak ogromnych kosztów nakładu, trudów i najrozmaitszych wydatków. Dlatego też Tymowski, widocznie nauczony doświadczeniem, od tej chwili handlował miedzią w znacznie mniejszych rozmiarach.

Ostatecznym celem transportu miedzi był zawsze Gdańsk, gdzie widocznie sprzedawano ją najkorzystniej; ale nie gardzono także zyskiem, jaki po drodze przynosiła częściowa sprzedaż w Sandomierzu, Kazimierzu, a przedewszystkiem w Lublinie. To też od ostatniego wielkiego transportu, Tymowski swoją miedź spławiał przeważnie tylko na jarmarki lubelskie lub też odsyłał ją tam na wozach (jak 1610 r.), dokąd mu ją odstawiał Bartosz Witaliszowski, biorąc od fury po 7 złp. (czyli 5 talarów celnych), chociaż i to utrudniał mu nieraz brak gotówki, jak n. p. w r. 1613, z którego kłopotu wybawiła go żona, pożyczając mu 186 złp. Tu w Lublinie przywiezioną miedź sprzedawał po rozmaitych cenach, i tak w r. 1610 cetnar po 36 złp., w r. zaś 1616 po 40 złp., które płacili

[1]) W XVI. wieku i do połowy XVII. przed strasznem zniszczeniem Polski przez Karola Gustawa, liczono z górą 4.000 flisaków, samych krakowskich i sandomierskich. (W. Wójcicki: Szkice histor. Kraków 1869, str. 160). Życie, przygody i obyczaje flisaków opisał wierszem Sebast. Klonowicz († 1608 r.).

tamtejsi kotlarze a nawet kupcy z Gdańska, co jasno dowodzi, że jarmarki lubelskie na miedź musiały być głośne na całą Polskę. Korzystając ze sposobności, wraz z miedzią spławiał inne towary, jak sierpy. sukno i śliwy suszone, czem zajmował się (1618 r.) niejaki Nożyński, który u niego mieszkał i za jaką parę butów, prócz spławu, po jarmarkach mu pomagał.

Ostatnia spółka z Wacławem Grabką (1620 r.) jest najbardziej charakterystyczną; mianowicie nie mogąc osobiście zajmować się handlem miedzi, pożyczył Grabce 600 złp. na zakupno tejże w Lewoczy, a warunek układu brzmiał: „Ma bydź: moje pieniądze a Grabczyna praca, zyskiem napoły się dzielić [1])“.

Innymi kupczącymi miedzią byli za czasów Zygmunta III. i Władysława IV. dwaj bracia Frączkowicze, Jerzy i Jędrzej, spławiając ją na tratwach do Lublina i Warszawy. Czasami nawet trzeci ich brat Tomasz († 1630 r.), złotnik i rajca sandecki [2]), wchodził z nimi w spółkę, mianowicie kiedy chodziło o miedź, na której jako złotnik znał się doskonale. Lecz z jakiemi trudnościami mieli nieraz kupcy sandeccy w tym handlu do walczenia wówczas! Pierwszą taką trudnością był brak większych kapitałów, który także nie dozwalał Jerzemu Frączkowiczowi rozpocząć swego kupiectwa na większe rozmiary. Udał się więc do wielmożnej Magdaleny Strońskiej z Korzennej, która mieszkała w Nowym Sączu, a posiadając gotówkę, pożyczała na lichwę. Od niej w r. 1632 pożyczył 400 złp., już naładował miedź na tratwy i miał odpłynąć do Lublina, kiedy naraz wielmożna Strońska zażądała zwrotu pieniędzy i tratwy zagrabić kazała! Przedstawienia ani prośby nie zdołały jej zmiękczyć, a tu czas i woda dogodna upływały i strata oczywista groziła. Dopiero gdy teść dłużnika, Maciej Pleszykowicz. wypłacił 200 złp. a na drugą połowę dał zapis w księdze ławniczej, pani Strońska uwolniła tratwy [3]). Udał się więc Frączkowicz do Lublina. Lecz niezadługo wymienieni powyżej woźnice miejscy kupieccy powróciwszy z drogi, przywieźli od niego list do żony, iż pojechał do Gdańska, zamieniwszy swój towar na inny, jak się zdaje, na zboże. Z listem przywieźli od męża 500 złp., 6 beczek śledzi i beczkę ryb

---

[1]) Dyaryusz Tymowskiego.

[2]) Tomasz Frączkowicz zetknął się gdzieś z dżumą na Węgrzech, zdaje się przez jakiś zarażony towar. Wróciwszy do Sącza, nagle zapadł na zdrowiu i niebawem umarł. Dom jego zawarto i przez kilka niedziel drżało całe miasto przed trwogą powietrza. Lecz Bóg odwrócił tym razem zarazę na końcu lutego 1630 r.

[3]) Acta Scabin. T. 54. p. 79. T. 55. p. 151.

lwowskich [1]). Śledzie i ryby lwowskie znalazły prędki odbyt, a za beczkę lwowskich chętnie dała pani bratowa Ewa (żona Jędrzeja) 100 złp., biorąc je na szynk gospodny dla licznie zgromadzonej szlachty, boć właśnie nadciągała chorągiew Imci wielmożnego wojewody ruskiego, Stanisława Lubomirskiego, i wszystkie gospody były przepełnione.

Lecz tenże Jerzy Frączkowicz przedsięwziął jeszcze na większą skalę handel miedzią do Gdańska, przyczem okazał, że kupcy sandeccy umieli także korzystać z wypadków politycznych i ich wpływu na ceny towarów. Władysław IV. zaraz po swojem wstąpieniu na tron musiał się zbroić przeciwko Moskwie, która jeszcze w czasie bezkrólewia zerwała zawieszenie broni i napadem rozpoczęła wojnę. Sejm konwokacyjny warszawski (1632 r.) orzekł niebezpieczeństwo i potrzebę gotowości. Miedź i spiż ogromnie poszły w górę. Jerzy Frączkowicz czem prędzej skoczył do Lewoczy i opowiedział rzecz najmajętniejszym tamecznym mieszczanom, zapraszając ich do spółki. Chętnie na to przystali mieszczanie, a między nimi Habermann i Jan Lang, wójt lewocki. Lang brał towar na swoje imię, a Jerzy Frączkowicz spławiał [2]) lub wozem woził i sprzedawał, a pieniądze zwracał na dalsze kupno. Żona jego, osoba bardzo obrotna, wielce mu była pomocną, a głównym wyręczycielem był Samuel Kominkowicz, młodzian zwinny i rzutny, na którego mógł się spuścić we wszystkiem. Interes ten rozpoczęli na wielki rozmiar. Zakupili i odstawili miedzi cetnarów 333, którą nagromadzono w Pławcu na Spiżu, i wraz z 100 cetn. szpisglazu [3]) wieziono do Nowego Sącza, a stamtąd do Gdańska.

Z tego transportu do Gdańska mamy nader interesowny spis ceł, różnych opłat i innych wydatków, które dają nam obraz, z jakimi kosztami połączone były wówczas podobne przedsiębiorstwa i podróże kupieckie [4]).

Oprócz 520 złp., które wydał Hans, sługa pana Langa, wydatki te wszystkie w drodze ponosił Jerzy Frączkowicz, który miedź

[1]) Pod tem ogólnem wyrażeniem rozumiano szczuki czyli szczupaki, a przedewszystkiem liny i wyzinę czyli wyzy — gatunek jesiotra, ale większy, kilka cetnarów ważący, które poławiano w Dunaju, Wołdze i Donie.

[2]) Mamy zapisek z jednego takiego transportu Dunajcem w r. 1634, iż zapłacił frachtu w Nowym Sączu 36 złp. Percepta f. 154.

[3]) Spiessglas — antimonium, półmetal bardzo kruchy, białego koloru, wewnątrz nitkowaty i promienisty.

[4]) Act. Scabin. T. 54. p. 500.

tę i wszelki spiż odstawiał osobiście zimą (1634 r.) i nabiedował się w drodze nie mało. Wracając z Gdańska, nakupili sukna, dołożywszy jeszcze 500 złp., które również ze swoich dodał Frączkowicz, naco pożyczył u Habermanna z Lewoczy 166 złp. — Do uzupełnienia o czynności kupieckiej Jerzego Frączkowicza należy jeszcze dodać, iż między innymi towarami spławiał też stal rakuską, którą sprzedawał za węgierską, chociaż jako podlejsza opłacała się zarówno z żelazem [1]). Ogromne jednak trudy, obok gorączkowej niecierpliwości Jerzego, zachwiały jego siłami. W Lublinie zaniemógł, a odzyskawszy siły cokolwiek, puścił się dalej do Warszawy. Bardzo słaby już zajechał tam i stanął u Jarosza (Hieronima) Nowomiejskiego, konwisarza i mieszczanina warszawskiego, gdzie wkrótce umarł w r. 1635.

Do znaczniejszych kupców miedzią należeli także: brat poprzedniego, Jędrzej Frączkowicz, i teść Jerzego, Maciej Pleszykowicz, cyrulik i rajca sandecki w latach 1628—1637. Ten ostatni miał w r. 1636 miedzi 26 cetn. wartości 1.800 złp. Kupcy z Lublina stargowali ją na słowo, lecz nie zważając na tę umowę, zerwali ją i zamówili miedź u Jędrzeja Frączkowicza, prosząc go o najrychlejsze odstawienie. Ten udał się więc do Pleszykowicza, aby mu odstąpił połowę swojej po cenach kupieckich, z przyzwoitym zarobkiem. Przystał na to Pleszykowicz, ale nie na wagę sandecką, która była większa. Przy tym targu oglądano tę miedź, ale Frączkowicz, widząc że to płyty nie kute tylko lane, odstąpił kupna i odpisał do Lublina, żeby się wstrzymali z kupnem, gdyż im wkrótce odstawi miedź kutą, a lanej od Pleszykowicza dla nich kupować nie chce. Ale zanim ten list odszedł, już wprzód sam Pleszykowicz podążył do Lublina, wyprzedając swój towar, który w firkantach [2]) na 2 wozach po 13 cetn. wiózł Joachim Olejarz, woźnica i przedmieszczanin sandecki, a ugodziwszy się z tamtejszymi kupcami, otrzymał zadatek na 26 cetn. za 1.800 złp., czyli cetnar po 69 złp. 7 gr. Gdy jednakże nadszedł list od Frączkowicza, Lublinianie, przeczytawszy go, zarzucali Pleszykowiczowi oszustwo i odebrali zadatek, a po nadejściu miedzi kutej Frączkowicza, natychmiast ją kupili. Pleszykowicz musiał towar swój złożyć na wadze miejskiej, nie mając kupca, i od Gód [3]) aż do Wielkiejnocy przesiedział z tą miedzią

[1]) Act. Scabin. T. 51. p. 501

[2]) Firkanty były to płyty graniaste, grubości $3^1/_2$ cala, wielkości po 20 cali w kwadrat, ważące przeszło $2^1/_2$ cetnara. Takie płyty cięto na kawałki, które dopiero pod młotem nabierały elastyczności.

[3]) Po dziś dzień lud polski czas od Bożego Narodzenia aż do Trzech Króli godami zowie.

w Lublinie, wkońcu musiał ją sprzedać ze stratą 400 złp., nie chcąc z nią wracać do domu.

Po powrocie do Nowego Sącza, rozgniewany zapozwał Jędrzeja Frączkowicza, iż mu popsuł dobre imię i sławę kupiecką, ganiąc towar jego a zachwalając własny, i żądał zwrotu poniesionej straty. W podaniu swem nazwał postępek Frączkowicza: grubym, łupieżnym i niechrześcijańskim. Frączkowicz z godnością odpowiedział, iż kupca towar chwali a nie ludzie; iż stratę większą poniosą drudzy kupcy, gdż wziął lekkomyślnie lichy towar na kredyt, a nie zapłaciwszy, wszystkim podkopuje wiarę. Wyrok sądowy zupełnie uwolnił Frączkowicza, bo towaru dobrego nikt zganić nie może. . a nawet pokrzywdzenia swojej sławy kupieckiej pozwolił mu dochodzić na panu wójcie, Macieju Pleszykowiczu [1]).

Handel Nowego Sącza z Gdańskiem rozciągał się nie tylko na miedź, lecz także i na inne towary, a między nimi takie, którychby się rzeczywiście najmniej spodziewać można, jak n. p. wyroby złotnicze, które Wawrzyniec Kondratowicz, wspomniany powyżej złotnik, spławiał do Gdańska (1643 r.) [2]).

Śliwki suszone stanowiły bardzo ważny artykuł, który także przeważnie szedł Dunajcem do Gdańska i Lublina [3]). Te były albo polskie albo węgierskie. Polskich dostarczał Tymowskiemu niejaki Grygier Sieniawka z Lubomierza, który skupywał je od chłopów ze Zręczyc, a kupcy, trudniący się ich hurtowną przesyłką do Gdańska, zakupywali je w znacznej ilości, n. p. w r. 1619 na jeden raz za 83 złp. — Węgierskie zaś sprzedawali poddani pana Ferencza [4]) Deżeffiego (Dessewffy) z Czerwienicy [5]) i z Lipian [6]), którzy na nie pobierali zadatki. Zwykłą miarą, na którą je kupowano, był tak zwany gbeł [7]), dotąd używany na Węgrzech, ale nie we wszystkich miastach jednakowy; otóż w Nowym Sączu kupowano na gbeł sobinowski lub preszowski, który kosztował 2 złp. 20 gr. Śliwy były także towarem, którym kupcy sandeccy zaopatrywali swoje składy w większej ilości, n. p. 8 fas, i stanowiły wraz z sierpami

[1]) Act. Scabin. T. 55. p. 119, 133. 150, 177, 182, 225.

[2]) Act. Scab. T. 57. p. 181.

[3]) Melchior Krosner, cyrulik, zeznaje w testamencie (1600 r.), że mu winni żydzi lubelscy za 7 fas śliw 250 złp. Act. Scabin. T. 25 p. 819.

[4]) Ferencz, Franciszek.

[5]) Czerwenica, Vörösalma.

[6]) Héthárs, Siebenlinden.

[7]) Gbeł — z niem. Kübel = półkorca polskiego.

i miedzią główny ładunek pletów czyli tratw, spławianych do Gdańska [1]).

Dalszym znanym nam kupcem, zajmującym się także handlem śliwkami suszonemi, był Jan Zięba, rzeźnik, który wspólnie ze złotnikiem Wawrzyńcem Kondratowiczem, spławiał je do Malborga w r. 1644. Tu zaszło jakieś nieporozumienie pieniężne między nimi, gdyż po powrocie do Nowego Sącza wniósł Zięba skargę na Kondratowicza przed sądem. Ze świadków, którzy w tym procesie występują, dowiadujemy się, iż oprócz wymienionych obydwóch powyższych, równocześnie znajdowało się w Malborgu jeszcze trzech innych kupców sandeckich, jako to: Stanisław Jamiński, krawiec, Jan Grybowski, rzeźnik, i Marcin Kowalecki, prawnik — niezawodnie także ze swymi towarami. Że i ten handel śliwkami suszonemi odbywał się na wcale znaczne rozmiary, okazuje się ze zeznań pomienionych świadków, z których jeden zeznaje: że w jego obecności pan Zięba odebrał w Malborgu za śliwy 1.150 złp.; drugi: że także był przytem, jak tenże w Malborgu za śliwy otrzymał w złocie 410 złp.; a trzeci: że przy nim Kondratowicz oddał starszemu synowi Zięby 700 złp. w talarach [2]).

Lecz owoce suszone, mianowicie śliwki, były towarem poszukiwanym bardzo i gdzieindziej, dlatego kupcy sandeccy rozwozili je także w inne strony kraju, gdzie znaczny znajdowały pokup, chociaż i tutaj takie rozwożenie połączone było z różnemi nieprzewidzianemi przykrościami. I tak konwisarz sandecki, Zacharyasz Światłowicz, który handlował także winem, nakupiwszy suszonych śliwek i gruszek, wiózł do Nowego Targu te przysmaki góralskie (1638 r.). Towarzyszył mu niejaki Łukasz Oleksik. W Ostrowsku zajechali na noc do chłopa, Jędrzeja Zachełmskiego, a Światłowicz pospieszył do miasta. Oleksik miał złe obuwie, więc udał się do poblizkiego szewca i ugodził się z nim, ale nie na pieniądze, tylko na gruszki i śliwki, których usypał z półkorca w nocy i wydał dziewce szewskiej. Lecz gospodyni spostrzegła to i przez męża uwiadomiła Światłowicza, który potem dochodził tego sądownie [3]).

Dalszym bardzo ważnym artykułem handlu, spławianym Dunajcem i Wisłą, było d r z e w o. Handlowali niem między innymi Marcin Bigos i Marczała, którzy w r. 1632 dostarczali drzewa na budowę zamku królewskiego w Warszawie, odstawiając je wodą,

---

1) Dyaryusz Tymowskiego.
2) Act. Scabin. T. 57. p. 268—269.
3) Act. Scab. T. 55. p. 809, 811.

naco otrzymali zadatku 540 złp.[1]) od kupca warszawskiego i zawiadowcy nadwornego, Jakóba Dzianottego.

Że handel ten musiał być bardzo intratnym, dowodzi ta okoliczność, iż oprócz kupców rzucali się do tego przedsiębiorstwa także i rzeźnicy, jak Jan Sutkowski i Jan Obłąk, którzy w r. 1643 handlowali niem na spółkę, co nawet dało między nimi powód do sporu o pieniądze. Z obrachunku wspólnego pokazało się, że Obłąk winien był 86 złp. a Sutkowski 540, których jednak ten ostatni wypierał się zuchwale. Ostatecznie zapłacił, przymuszony do tego wyrokiem urzędowym [2]). Sutkowski już dawniej dał dowody swojej chciwości, ośmielając się sprzedawać mieszczanom sandeckim drzewo budulcowe po cenie wyższej, niż zwykła, zaco go pozwał (1640 r.) sam podwójci ówczesny, Stanisław Kopeć [3]).

Jak powyżsi, tak samo i Sebastyan Żmijowski, który posiadał jatkę rzeźniczą, wolał także nie użytkować ani z niej ani z rzemiosła, natomiast dzierżawił wagę miejską i spławiał (1652 r.) drzewo z Lewoczy na tratwach, a na nich i inne towary Popradem i Dunajcem [4]). Obok powyższych wspomniany już Stanisław Jamiński, kupiec sandecki, prowadził drzewem [5]) wielki handel z miastami na całym obszarze Wisły, przyczem spławiał także rozmaite towary. W r. 1644 widzieliśmy go w Malborgu; poźniej znajdujemy, że w r. 1652 po drzewo i tarcice przyjeżdżali do niego do Nowego Sącza kupcy z daleka, mianowicie Więckowski z Torunia [6]), który mu dał za 80 sztuk drzewa 50 złp. i piwa za 2 orty na litkup [7]); a w tym samym roku przy nadchodzącej powodzi, w samo morowe powietrze, naładował Jamiński tratwę tarcicami i popłynął do Warszawy [8]).

---

[1]) Act. Consul. T. 53. p. 42.

[2]) Act. Scabin. T. 57. p. 288, 318, 336.

[3]) Act. Cons. T. 53. p. 480.

[4]) Act. Consul. T. 61. p. 336. — Spławiał też do Warszawy miedź, węgierskie mydło, wołoskie sery i węgierskie orzechy, których Warszawa spożywała wówczas bardzo wiele, jako ulubioną przy miodzie przekąskę.

[5]) Drzewo, spławiane Dunajcem, zbijano w tak zwane glenie, w każdym gleniu było po 30 belek lub drzew.

[6]) Nowy Sącz już w wiekach średnich był punktem zbornym dla kupców toruńskich, skąd wyruszali po towary do Węgier. „Sandec bildete den Ausgangspunkt nach Ungarn für die Thorner Kaufleute“... Herm. Oesterreich: Die Handelswege Thorns im Mittelalter. p. 22. Danzig 1890.

[7]) Litkup, z niem. Leibkauf — poczesne przy kupnie i sprzedaży, mercipotus.

[8]) Act. Scab. T. 63. p. 272.

Zygmunt III. na sejmie warszawskim w r. 1598 pozwolił miastu pobierać od tratwy, spławianej Dunajcem, każdą trzynastą tarcicę lub drzewo. Dochód ten, zwany pospolicie „mytem trzynastego drzewa“, wypuszczało miasto w arendę za 266 złp. 20 gr. rocznie, jak świadczą kopie ówczesnych kontraktów, przechowane w archiwum miejskiem. I tak w r. 1650 wydzierżawił go rajca, Wawrzyniec Szydłowski, za 800 złp. na 3 lata: w roku zaś 1653 wójt, Jędrzej Kitlica, za tę samą sumę również na 3 lata. Wogóle za panowania Władysława IV. i w pierwszych latach panowania Jana Kazimierza spław drzewa Dunajcem rozpowszechniony był na wielką skalę. Dopiero zakaz rąbania okolicznych lasów z r. 1655, a następnie wojny szwedzkie podkopały tę dla Nowego Sącza tak ważną gałąź handlu.

Ale między towarami, sprowadzanymi z obcych krajów a spławianymi Dunajcem, najcelniejsze miejsce dla Nowego Sącza zajmowało w i n o w ę g i e r s k i e. Wprawdzie znajdujemy ślady, że także inne wina zagraniczne, jak grecka małmazya [1]) lub portugalska madera, były również przedmiotem kupna i sprzedaży w owych czasach dla kupców sandeckich, jednakowoż co do znaczenia pod względem handlowym z węgierskiemi wcale nie mogą się równać. Natomiast blizkość granicy, łatwość komunikacyi z Węgrami zapomocą Popradu, położenie miasta nad spławnym wówczas Dunajcem, spowodowały, że na polu handlu temi ostatniemi Nowy Sącz zajął pierwszeństwo między wszystkiemi miastami polskiemi na Podgórzu karpackiem, a to zaszczytne stanowisko i sławę utrzymał jeszcze do dni dzisiejszych.

Po wina węgierskie jeździli kupcy sandeccy zwykle sami osobiście, nieraz nawet kilka razy do roku. Wprawdzie w r. 1603 polecił Zygmunt III. staroście grodowemu sandeckiemu, ażeby zaniedbane prawo Stefana Batorego z r. 1578, zabraniające obywatelom polskim jeździć po wino do Węgier, a nakazujące kupować je w wyznaczonych składach koronnych, pod bezwzględną utratą tychże towarów, w całej rozciągłości przywrócił i pilnie czuwał nad jego wykonaniem, gdyż wskutek tego zaniedbania cena win węgierskich podskoczyła znacznie [2]) — jednak o zakupowaniu win przez kupców sandeckich w owych składach koronnych nigdzie nie znajdujemy śladu. Powyższe zatem rozporządzenie królewskie widocznie znowu

[1]) Porówn. Uzupełnienia na końcu tomu.
[2]) Act. Castr. Rel. T. 109. p. 1894.

zostało ominięte i nie weszło w wykonanie, a kupcy sandeccy, jak przedtem tak i potem, dalej jeździli po wina do Węgier.

Sprowadzali je zaś stosownie do miejsca zakupna, albo na wozach po drogach wówczas niezbyt wygodnych i bezpiecznych, do których byli potrzebnymi przewodnicy dobrze tychże świadomi, albo wodą na tak zwanych płytwach [1]). Czasami jednak zdarzało się, że kupcy ze Spiża lub z Węgier sami przybywali do Nowego Sącza z winami swemi na sprzedaż — czy to umyślnie, jak n. p. Hodorek z Podoliñca (1622 r.), który przywiózł 24 beczek po 58 złp.; czy też przypadkowo, jak w r. 1616 Istwan [2]) Kajdasz z Koszyc [3]), który, nie mając o czem jechać dalej, musiał wina swoje złożyć w piwnicy pewnej mieszczki i z konieczności sprzedawać je w Nowym Sączu — przyczem Tymowski na usilne jego prośby wszystkie koszta za niego zapłacił, jakimi były: królewska grzywna do grodu, za wolność sprzedaży, za dolewkę, furmanom, śrotarzom i bednarzowi.

Miejsca, skąd je sprowadzano lub na zakupno jeżdżono po nie, które słynęły więc widocznie wówczas z dobroci win, były: Torysa (Tarcza), Koszyce, Preszów (Eperjes), Lewocza, Hunsdorf (Hunfalu), Kesmark, Bardyów [4]) i jeszcze inne nie wymienione. Tu dostarczali ich w większej lub mniejszej ilości, oraz w różnych gatunkach tamtejsi kupcy, których nazwiska przechowały nam nasze źródła. Obok tych otwierali także dla sandeckich kupców piwnice swoje i magnaci węgierscy, jak n. p Janusz Deżeffi, pan na Torysie, którzy niezawodnie mieli swoje własne piwnice. Ale oprócz firm i domów kupieckich czysto węgierskich, kupowano także i z drugiej ręki od kupców polskich, którzy mieli swoje składy winne po innych miasteczkach, jak od Rokickiego w Muszynie (1620 r.) lub Marcina Kopcia w Grybowie (1624 r.).

Ceny, po których kupowano te wina, były bardzo rozmaite: tak znajdujemy aż dwadzieścia kilka różnych cen, od 26 złp. 3 gr. aż do 150 złp., tudzież od 46 złotych węgier. do 75 zł. węgierskich [5]) za jedną beczkę, a od 20 gr. do 3 złp. za jeden garniec.

[1]) Płytwy, płatwy, pletwy, plety, w skróceniu pty — z niem. Pletten — spojone belki, tratwy.

[2]) Istvan, Stefan.

[3]) Kassa, Kaschau.

[4]) Bártfa, Bartfeld.

[5]) Te ceny w złotych węgier. umyślnie osobno przytaczam, gdyż wartość ich na polską monetę nie jest znana. To tylko pewna, że 1 zł. węg. był mniejszy od 1 złp.

Co się zaś tyczy objętości beczki, to według owego rozporządzenia królewskiego do starosty grodowego z r. 1603, ponieważ Węgrzyni coraz mniejsze beczki z winem przez komorę sandecką przywozili do Polski, pojedyncza beczka miała mieścić w sobie 5 barył — w przeciwnym razie już na granicy miały być zabierane [1]). Z tych tak rozlicznych cen wysnuwa się oczywisty wniosek, że i gatunki win musiały być także bardzo różne. Jakoż czytamy o maślaczu czteroputowym (1646 r.), o winach starych doskonałych, ale znowu także o winach podlejszych (1624 r.), które skwaśniały; podobnie znajdujemy, że na 9 beczek wina, kupionych w Hunsdorfie (1616 r.) po jednej i tej samie cenie, okazało się 6 lepszych, 2 gorsze, 1 na dolewkę. Niewątpliwem jest również, że na różnicę ceny, obok dobroci i gatunku wina, wpływała także mniejsza lub większa odległość miejsca, z którego je sprowadzano, i ściśle połączone z tem koszta przywozu — ale także i sposób płacenia.

Rzadko kiedy i tylko przy mniejszych kwotach płacili kupcy gotówką; co najwięcej dawali większy zadatek, a resztę spłacali później, jak n. p. Tymowski, kupując w r. 1615 u Michała Fraja w Kesmarku 10 beczek po 26 złp. 3 gr., dał mu zadatku 30 czerwonych złotych (120 złp.) i wziął mu chłopca do szkoły do Nowego Sącza. Zresztą przy kupowaniu win kredyt wielką odgrywał rolę. Tak kupcy sandeccy, Mateusz Kotczy i Krzysztof Halenowicz, sprowadzali na kredyt wino z Preszowa od Michała Straussa w takiej ilości, że, jak utrzymywano powszechnie (1630 r.), zostali mu dłużni aż 5.000 złp., chociaż przed sądem oświadczyli, że tylko 900 złp.[2]). Temuż samemu Kotczemu inny kupiec preszowski, Miklusz [3]) Komorani, dał na kredyt (1635 r.) wina za 830 złp., z których „upłacił“ tylko 730 złp., a o resztę zapozwał go Węgrzyn [4]). Zwykle spłacano ratami, jak Tymowski Jurowi (Jerzemu) Mnichowi w Lewoczy (1615 r.), któremu należne za wina 400 złp. odsyłał częściowo po kilkadziesiąt złp. i więcej, jużto przez swoją czeladź, jużto przez różnych spławników — lub też ulubionym dla kupców sandeckich środkiem „upłaty“, t. j. towarami. Tak kupując w r. 1609 od Janusza Deżeffiego 30 beczek po 36 złp. 19 gr., odsyłał mu należytość przez jakiegoś „chodaka“ (chłopaka) z Czyrny po sto kilkanaście i sto kilkadziesiąt złp., a za resztę dawał sukna, korzenie i achtel piwa. Tak samo w r. 1614 znowu panu Deżeffiemu za 6 beczek wina,

[1]) Act. Castr. Rel. Tom. 109 p. 1894.
[2]) Act. Cons. T. 52. p. 153.
[3]) Miklós, Mikołaj.
[4]) Act. Scab. T. 55. p. 26.

prócz pieniędzy, posłał sukna i 4 beczki śledzi. Podobnie płacił towarem pan Zygmunt Stradomski, podstarości sandecki, kiedy wchodził w spółkę win z Tymowskim, którą uskutecznili w r. 1622, dając do niej gotówką 200 złp. — z otrzymanych bowiem w roku zeszłym w spółce sukiennej 34 postawów sukna morawskiego, wziął zaraz 4 postawy czerwonego a 2 zielonego i dał je Węgrzynowi za wino. Tak samo w r. 1625 z zakupionych w powtórnej spółce sukiennej od tego samego kupca 34 postawów sukna, znowu za wina zapłacił Węgrzynowi z Preszowa 15 postawami. — Odwrotnie robili kupcy węgierscy: Baldizar [1]) Sekiel w Hunsdorfie za sukna i korzenie płacił winem, którego w r. 1614 przysłał 2 beczki; a gdy znowu w r. 1616 Tymowski kupił od niego 9 beczek, dług tegoż w kwocie 106 złp. 17 gr. został zadatkiem na to wino.

Do okoliczności wpływających na ceny win, już nie po jakich je kupowano na Węgrzech, ale po jakich je kupcy sandeccy odbiorcom swoim sprzedawali, należały przedewszystkiem koszta przywozu do Nowego Sącza. Przywóz ten, jak powiedziałem, odbywał się w sposób dwojaki: lądem i wodą. Dyaryusz Tymowskiego podaje nam dosyć dokładnie obraz jednego i drugiego, szczęśliwym trafem oba razy z jednego i tego samego miejsca, t. j. z Torysy, własności pana Janusza Deżeffiego. Z tego opisu zyskujemy jasne wyobrażenie, iż koszta takiego przywozu w obu wypadkach były wcale znaczne.

Co się tyczy przywozu lądem, już powyżej wspomniałem, że w owych czasach drogi nie były wcale wygodne i bezpieczne, dlatego też wymagały wielkiej przezorności i doświadczenia, aby uniknąć wszelkich grożących niebezpieczeństw. To też Tymowski podnosi tę okoliczność, iż, kiedy w r. 1615 zawarł pierwszą spółkę z panem Jędrzejem Jordanem, ruszyli na Węgry podwodą doświadczonego sołtysa muszyńskiego. Tu w Torysie, kupiwszy od Istwana Peregrina 24 beczek po 111 złp., pobyt ich kosztował („strawili“) 3 złp. Od pana Peregrina otrzymali fury i przewodnika, Węgrzyna „dobrze świadomego dróg“, a same fury kosztowały do Nowego Sącza 96 złp., t. j. po 4 złp. od beczki. Jechali na Koszyce, Drynów (Somos), Preszów, Sobinów [2]), Nowąwieś, Petrowianiec (Pètermezö), a wierny i doświadczony zięć Tymowskiego, Stanisław Mączka, jechał przy winie, nie odstępując ani na krok. Wydatki w drodze, oprócz wszelkich opłat i myt, wynosiły 17 złp., razem

[1]) Baldizsàr, Baltazar.
[2]) Cibinium, Kis-Szeben, Klein-Zeben.

więc 116 złp. czyli prawie 5 złp. na beczce. — Podobnie w roku następnym (1616), kupiwszy w Hunsdorfie (za Kesmarkiem a więc znacznie bliżej) u Baldizara Sekiela 9 beczek po 32 złp. 6 gr. i sprowadziwszy je na furach, przywóz od beczki kosztował po 2 złp. 15 gr. — A gdy w r. 1624 w drugiej spółce z Jędrzejem Jordanem kupili wina 41 beczek, ale już nie na Węgrzech, tylko u Marcina Kopcia w Grybowie, który w Kruźlowej miał swoje piwnice i składy, przywóz od beczki kosztował po 1 złp., gdyż tyle porachował sobie pan Jordan, którego poddani ze Strug zwieźli wino do Nowego Sącza. Ale i tu nie obeszło się bez przykrych zajść i wydatków — albowiem ludzie jego, przyjechawszy do Kruźlowej, popuszczali konie na paszę, z czego przyszło do kłótni i krwawej bójki z miejscowymi, aż Tymowski, łagodząc sprawę, za paszę i krwawe guzy zapłacił 1 złp. 15 gr.

Nierównie zwyklejszy był drugi sposób przywozu, t. j. wodą. W takim razie odstawiano wino wozami do miejsca, z którego rozpoczynał się spław na Popradzie, i stamtąd spławiano je do Nowego Sącza. Spław ten odbywał się na tak zwanych płytwach (ptach), które zbijano z drzewa „na Górze“, t. j. nad górnym Popradem i tam od razu je kupowano. Cena takiego ptu wynosiła 2 złp. 6 gr., a na nim mieściło się 5—6 beczek, oprócz fliśników; od liczby więc beczek zależała także ilość takich ptów, potrzebnych do spławu. Ale i ten sposób transportu wodą nie był także całkiem bez niebezpieczeństw, i wymagał również doświadczenia i znajomości drogi wodnej. — Z opisu takiego spławu w r. 1610, kiedy Tymowski, zakupiwszy w spółce z zięciem swoim od pana Deżeffiego 24 beczek po 30 złp., spuszczał je do Nowego Sącza, okazują się koszta następujące: Dwom sługom na utrzymanie („strawnego“) na Węgrzech 3 złp., za 5 ptów 11 złp. 3 gr.; fliśnikom od spławu 12 złp.; w Nowym Sączu od zwiezienia „od wody“ (od Dunajca) do miasta 1 złp. 18 gr.; śrotarzom za spuszczenie do piwnicy 1 złp. 18 gr.; bednarzowi przez całe lato 2 złp. 15 gr., razem 31 złp. 24 gr., oprócz wszelkich myt i koniecznych kosztów na dolewkę, tak na Węgrzech (n. p. w Lubotyni [Lyubotin] 5 złp. 6 gr.) jak i w Nowym Sączu.

Do kosztów przywozu należała także opłata na komorze celnej węgierskiej, jak się zdaje w Bardyowie i Lubowli [1]), która je ogro-

---

[1]) Lubló, Lublau.

mnie powiększała, tak zwany „trycatek“ (trzydziestka [1]). Iż nazwa ta, zwykle także zamiast samej komory używana, stąd pochodzi, iż pierwotnie wynosiła trzydziesty grosz, nie podlega żadnej wątpliwości, ale według zapisków Tymowskiego była w owych czasach znacznie większą, lubo nie zawsze jednakową; czy na nią wpływały cena i jakość wina, nie wiadomo, prawdopodobnie jednak panowała tu także dowolność. I tak opłata na trycatku od 24 beczek (po 30 złp.) w r. 1610 wynosiła 53 złp. 9 gr. (t. j. po 2 złp. 6 gr. od beczki). Prawie zupełnie w tym samym stosunku w r. 1616 od 6 beczek (po 33 złp 10 gr.), albowiem 14 złp. 3 gr. wraz z inną jeszcze opłatą, zwaną „fircykarstwo [2])“. Podobnie w r. 1621, wnosząc z ogólnej sumy wydatków od 44 beczek (po 46 zł. węg.), gdyż szczegółowo nie są podane, która wynosiła do Nowego Sącza za trycatek, myta, pływy, fliśników i t. d. aż 184 złp. 15 gr, trycatek od jednej beczki również musiał wynosić tyle, co poprzednio.— Natomiast w tym samym roku 1621, przy wcześniejszym przywozie 27 beczek (po 44 złp. 12 gr.), trycatek kosztował znacznie mniej, gdyż tylko 33 złp. 10 gr., a więc po 1 złp. 7 gr. od beczki — ale też pan podstarości w Lubowli otrzymał pół beczki tego wina! Jeszcze mniej zapłacono w r. 1623 od 51 beczek, zakupionych po różnych cenach w Bardyowie, albowiem razem 45 złp., a więc od jednej zaledwie 26½ gr.

Te koszta przywozu, znaczne opłaty na komorze celnej węgierskiej, liczne myta krajowe i inne pobory i wydatki, powodowały, że, jeżeli wina miały przynieść zysk większy, musiano je kupować w bardzo znacznej ilości, w którym to wypadku rzeczywiście wina węgierskie ze wszystkich towarów, sprowadzanych z zagranicy, przynosiły zysk największy; ale też takie większe zakupna wymagały znowu bardzo wielkich nakładów, wynoszących nieraz po kilka tysięcy. Dlatego też kupcy sandeccy, z powodów już wyżej wymienionych, byli zmuszeni, podobnie jak przy handlu miedzią, dla łatwiejszego pokrycia tak ogromnych kosztów zawierać spółki. Takie spółki zawierali nie tylko między sobą, jak przykład tego znajdujemy już w r. 1599, że Stanisław Janik, kupiec i rajca sandecki, spro-

[1]) Od łaciń. tricesimus — trzydziesty. Poborca tej opłaty zwał się „trycatnik“. Objaśnia to także zapisek w aktach miejskich: „Trycatki, contributio publica in Ungaria, in Polonia a doliis vinorum nuncupata“. — Opłatę, wynoszącą jedną trzydziestą (tricesima) wartości towarów, zaprowadził król węgierski Zygmunt w r. 1404. (Janota: Histor. opis Bardyowa, str. 150).

[2]) Znaczyło to widocznie czterdziesty grosz, od niem. vierzig.

wadzał wino wspólnie z Melchiorem Krosnerem, cyrulikiem; ale także z okoliczną szlachtą, która, widząc w tem znaczne zyski, nie wahała się dla nich na chwilę zapomnieć na wszystkie przesądy i wzbraniające im tego prawa, i podobnie jak przy handlu suknem, przystępowała chętnie do takich kupieckich spółek winnych. Sam Tymowski w przeciągu 15 lat (1610—1624) zawierał takich spółek aż ośm, z których 3 były właśnie z panami szlachtą z okolic Nowego Sącza, reszta zaś z kupcami i mieszczanami.

Ale w takich spółkach dawał się nieraz czuć dotkliwie brak gotówki, dlatego kupcy sandeccy w tym wypadku uciekali się do jedynego środka ratunku, jakim było zaciąganie pożyczki. Tymowski nie przemilcza ani razu, ilekroć znalazł się w podobnem przykrem położeniu; lecz utrzymując przyjazne stosunki z okoliczną szlachtą i sam udzielając jej kredytu, pomagał sobie jej życzliwością i znajdował zawsze u niej pomoc pieniężną. Pożyczki te nie wynosiły wprawdzie nigdy więcej jak 400 złp., ale też zato nie słyszymy wcale o żadnych procentach. Tak kupując w spółce z Jędrzejem Jordanem 24 beczek po 111 złp. w Torysie (1615 r.), pożycza na nie 400 złp. od pana podstarościego, Sebastyana Gładysza, który później potrosze wybierał pieniądze swoje. Podobnie w r. 1620, kiedy zanosiło się na wojnę z Turkami i cała szlachta ściągała pod swoje chorągwie, Tymowski, zamierzając zakupić wina w większej ilości, pożycza od pana podwojewodzego, Zygmunta Stradomskiego, również 400 złp., na które jednak musiał się zapisać wraz z żoną.

Tylko takie spółki, rozporządzając większymi kapitałami, były w możności płacić od razu gotówką, a więc też kupować taniej; dlatego też w takich spółkach kupowano albo w nierównie większej ilości, n. p. w spółce z Janem Łykawskim 71 beczek (1621 r.), a z Jędrzejem Jordanem 41 beczek (1624 r.), albo nierównie kosztowniejsze i lepsze, jak z tymże panem Jordanem 24 beczek aż po 111 złp. (1615 r.), lub z Tomaszem Pytlikowiczem 12 beczek, ale wina starego doborowego (1619 r.), którego cena musiała też być bardzo wysoka.

Kupcy sandeccy, kupując wina na Węgrzech, sprowadzali je czasami dla drugich osób, jak n. p. Tymowski w r. 1609 dla pana Lisowskiego z Szalowej 4 beczki po 42 złp. od Istwana Kajdasza z Koszyc, a w r. 1613 dla „mnichów" (Franciszkanów) 1 beczkę za 33 złp. od Istwana dyaka (z miejsca nie podanego), albo Zygmunt Gądek w r. 1633 dla Jana Wojakowskiego, czego niezawodnie nie podejmowali bez pewnego zysku. Lecz nierównie częściej i pra-

wie wyłącznie sprowadzali je dla siebie, w celach czysto handlowych, i to jest głównie przedmiotem naszej tutaj uwagi.

Wina, sprowadzane do Nowego Sącza, rozchodziły się albo na miejscu i po dworach szlacheckich najbliższej okolicy, albo też rozwożono i spławiano je po wszystkich stronach Polski. W samym Nowym Sączu spotrzebowały go najwięcej 3 wówczas znaczne szynki winne, których właścicielami byli: pisarz miejski, Matys Bereza, Cichoniowa i Mirkowa [1]), gdzie konsum jednem słowem był ogromny. Zwłaszcza ten pierwszy kupował całemi beczkami, co najlepiej dowodzi, że i odbyt u niego także musiał być odpowiedni. Gdy Tymowski w r. 1618 kupił znowu od Janusza Deżeffiego 16 beczek po 26 złp. 20 gr., Bereza na drobną sprzedaż wziął natychmiast 6 beczek. Podobnie w r. 1620, kiedy szlachta całej Polski ruszała na Turka i po wszystkich królewszczyznach zjeżdżali się zbrojni pod swoje chorągwie, a Tymowski zakupił w Muszynie od Rokickiego 12 beczek po 57 złp., to Bereza brał beczkę za beczką, a szlachta zbrojna wypijała. Tak samo znowu w r. 1621, kiedy w spółce z Janem Łykawskim zakupił u Zacharyasza Gutsmittla w Kesmarku raz 27 beczek po 44 złp. 12 gr., a drugi raz 44 beczki po 46 zł. węg., Bereza pierwszy przybył i wziął 2 beczki po 60 złp. — Cena wina w pomienionych trzech szynkach, zwłaszcza od r. 1622, kiedy pan Stradomski, jako podwojewodzy, zawezwał Tymowskiego do ustawy cen wina, wynosiła za kwartę 6 gr., u Mirkowej zaś później 7 gr.

Oprócz tych nadzwyczajnych wypadków, w których w pomienionych winiarniach wypijano wina w większej ilości, okoliczna szlachta także w życiu codziennem i wśród okoliczności wcale zwyczajnych należała do najlepszych gości i konsumentów wina. I tak kiedy Tymowski w spółce z Jędrzejem Jordanem (1615 r.) zakupił w Torysie u Istwana Peregrina 24 beczek po 111 złp., na które od pana podstarościego, Sebastyana Gładysza, pożyczył był 400 złp., pan podstarości, tak blizko zetknięty temi winami, raczył osobą swą godną zaszczycić Tymowskiego, i przy pogadance o tem i owem wraz z siądami wypito 3 garnce wina. Pan podstarości opowiadał też przed bracią szlachtą o dobroci wina i przysłał 13. września po półgarnca na okaz. Wielmożny Pieniążek z Kruźlowej i Simbar, brat starosty grodowego Lubomirskiego, uznali dobre jego własności i udali się do Tymowskiego wraz z panem podstarościm i zapewne

[1]) Żona Wojciecha Mirka, organisty przy kollegiacie, którą Tymowski nazywa stale Organiścina.

jeszcze z kim więcej, bo przecie dla trzech nie wyniesionoby 5 garncy tego wina. W najbliższy czwartek po 13. września zażądał pan podstarości 2½, w poniedziałek ½, w następny czwartek dla pana Chrzanowskiego 2½, a w drugi czwartek dla siebie 1 garniec tego wina. Nawet wielmożny pan starosta grodowy przysłał po 1½ garnca! Obaj kupcy, rozumie się, nie mogli się sami nachwalić: Tymowski, jadąc do Ciężkowic na jarmark i w różnych okazyach familijnych, wypił tego wina za 7 złp. 15 gr., a Jędrzej Jordan garncem i półgarncówką jeszcze więcej wybrał, bo za 9 złp. 25 gr., czego kwarta kosztowała 5 gr.

Ale nie tylko w winiarniach i sklepach kupieckich przy pogadankach przyjacielskich szlachta sandecka dostarczała kupcom najlepszego odbytu na wino, brała go bowiem także w znacznej ilości i do użytku domowego, jak tego znajdujemy wzmiankę (1620 r.), że pani Stradomska na swoją kuchnię wzięła beczkę wina za 54 złp.

W r. 1621, kiedy w Nowym Sączu na wino był nadzwyczajny pokup i Tymowski w przeciągu tego jednego roku w spółce z Łykawskim aż kilka razy od Gutsmittlów w Kesmarku sprowadzał po kilkadziesiąt beczek wina, szlachta sandecka była pierwsza, która sprzedaży tegoż dała dobry początek. Sam wielmożny pan starosta wziął 2 beczki po 60 złp.; p. Tabaszowski beczkę za 70 złp.; p. Wiktor 2 po 100 złp.; p. Słowikowski 6 po 80 złp.

Podobnie w r. 1623, kiedy Tymowski w spółce z bratem swoim, Marcinem z Grybowa, zakupił w Bardyowie u Sandora[1]) Foltyna 14 beczek po 66 zł. węg., a 25 beczek po 75 zł. węg., zaraz jeszcze w Grybowie ks. pleban Gładysz wziął półgarncówkę na skosztowanie, a pan podstarości Gładysz 5 garncy. W Nowym Sączu pan Stradomski na początek wziął 2 garnce, a Jejmość pani starościna 2 kwarty. Skoro się wino podstało, znaleźli się liczni lubownicy, i tak kwartami i garncami brali i pili panowie: Błędowski, Brzeziński. Gorzkowski. Jordan ze Strug, Kiciński, Krzesz, Maszkowski, Strowski. Sam pan Stradomski w chorobie wypił 1½ garnca, a za zdrowia przed lub po każdej małej podróży, jak do Brzeznej. Grybowa i t. p, po garncu. Beczkami zaś brali: Imci pan Rupniewski, zięć Jana Krzesza, 10 beczek po 114 złp.; pan Sędzimir beczkę za 108 złp.; Tymowskiego pani ciotka 3 beczki po 96 złp. — Mieszczanie też kwartami pili.

To samo powtarza się, kiedy Tymowski w powtórnej spółce z Jędrzejem Jordanem (1624 r.) kupili w Kruźlowej za 3.238 złp.

---

[1]) Sàndor, Alexander.

41 beczek po 79 złp. od Marcina Kopcia. Pan Jordan dał do tej spółki gotówką 1000 złp., a resztę obowiązał się oddać niebawem, sprzedawszy wina własne lub też nowo kupione wspólne. Sprowadziwszy je do Nowego Sącza, dodali po 10 beczek, co mieli w domu, i zebrało się ich 61, z których jedna szła na dolewkę. Jejmość pani Jordanowa sama trudniła się dolewką, a jak trzeba było, to kazała dokupić kilka garncy od kupca, Stanisława Pełki. Panowie rajcy zrobili początek drobnej sprzedaży tego wina, a Tymowski ugościł najprzód pana Stradomskiego, z którym wypił półgarncówkę. Odtąd panowie Stradomski i Tabaszowski bardzo uczęszczali do Tymowskiego, począwszy od 29. czerwca. Towarzyszył im wiernie ks. Jan Ptak, pleban z Siedlec [1]), a Tymowski, rad nie rad, musiał też pić z nimi półgarncówką. Na jedno posiedzenie wypili tak $2^1/_2$ garnca. Przed jarmarkiem św. Małgorzaty zjechawszy się znów Tabaszowski z ks. Ptakiem, przy pomocy pana Depskiego, który dał kwartę, i Jerzego, który jako gospodarz swoją kwartą rozpoczął, wypili ni mniej ni więcej tylko $3^1/_2$ garnca. Pan Wodzisław Jordan z Tymowskim 3 garnce; tyleż wypili w dzień św. Małgorzaty panowie Strowski i Tabaszowski, panowie zaś Wojakowski i Domaradzki już skromniej, bo wraz z Tymowskim ledwie 2 garnce wzwyż. Pan Gołuchowski po kilkanaście garncy brał w ogromne cynowe flaszki; ks. pleban z Siedlec po kilka; ale najwięcej sam pan Jędrzej Jordan: w lipcu wziął $25^1/_2$, w sierpniu 16, i tak co miesiąc do 20 garncy. Część wypijał w miejscu z panem Stradomskim, Tabaszowskim, Wojakowskim, a nawet kilka razy z panią Kopciową. Z pierwszych części rozpoczętych beczek wypił $81^1/_2$ garnca. Kozacy waleczni i komornik króla Jegomości, wzywający na pospolite ruszenie przeciwko królowi szwedzkiemu, Gustawowi Adolfowi, także się tam pozbyli pragnienia.

Panie nawet nie gardziły szlachecko-mieszczańskiem wspólnem winem. Jejmość pani starościna Lubomirska, raczyła sama nawiedzić panie: Wierzbięcinę, Wojakowską, Stradomską, Błędowską, Gładyszową i Zawadzką; a pani Jordanowa, jako współwłaścicielka, dla niewieścich gości swoich w izbie swej kazała grzać wino, albo z kupcem Tymowskim w poważnej rozmowie o „kupi“ (towarach) i molach futrzanych wypiła 3 kwarty, a panią Wierzbięcinę, przyjaciółkę starościny, raczyła kwartą, podczas kiedy pan Jordan do panów z półgarncówki wypijał. W ten sposób pan Wojciech, brat

[1]) Był plebanem w Siedlcach od r. 1604 — 1645, jak świadczą akta kościoła tegoż.

Tymowskiego, wyszynkował 11 beczek. — Oprócz wymienionych, brali beczkami: Panowie rajcy 1 za 95 złp.; miecznik koronny 1; Mstowski 2 po 100 złp.; Gołuchowski 5, na które zapisał się w grodzie panu Jordanowi; podstarości sandomierski a Jordanów szwagier 2; Błędowski 1; Guzowski 1 za 106 złp.; do Uszwi 2; Zarzecki 2; Różyc 4; chorąży kozacki wziął 3 beczki. Cena tych win była od 80 do 106 złp.

Sprzedaż jednak wszystkich win sprowadzanych nie ograniczała się tylko na samo miasto i dwory szlacheckie ziemi sandeckiej; rozchodziły się one i w znacznie odleglejsze okolice Polski. Takiem ważnem miejscem zbytu win węgierskich dla Nowego Sącza był przedewszystkiem Kraków, gdzie kupowali je tamtejsi kupcy lub pobliskie klasztory, tudzież okoliczne miasta i Nowy Korczyn. W tem ostatniem mieście kupiec Wołkowicz, z win kupionych od Rokickiego w Muszynie po 57 złp. (1620 r.), wziął 10 beczek, płacąc chętnie po 84 złp. Do Krakowa zaś z owych win, zakupionych w spółce z Łykawskim w Kesmarku (1621 r.), wzięły zakonnice Norbertanki na Zwierzyńcu 2 beczki, płacąc po 60 złp.; Samuel Cyrus 2 po 80 złp.; Lichowski z Olkusza 12 po 90 złp.; a Wołkowicz z Nowego Korczyna 8 po 80 złp., który w pieniądzach przysłał 13 beczek śledzi po 21 złp., z czego Łykawski wziął 9 beczek. — Roku zaś 1623, z win kupionych w Bardyowie naspół z Marcinem Tymowskim z Grybowa, wzięli w Krakowie: Samuel Cyrus 4 beczki po 108 złp.; Stanisław złotnik 2 po 112 złp.; Wichman 3 po 122 złp. — Podobnie z win, kupionych w spółce z Jędrzejem Jordanem od Marcina Kopcia w Kruźlowej (1624 r.), pan Jordan posłał zaraz do Krakowa prokuratorowi swemu beczkę za 80 złp.; oprócz tego wziął tamże pan Cyrus 2 beczki; księża Cystersi z Mogiły 3; a do Wieliczki 11 beczek w cenie 80 do 106 złp.

Ale na nierównie większy rozmiar prowadzili kupcy sandeccy handel winem z miastami, bardziej odległemi w północnych stronach Polski, gdzie wino było większą rzadkością, a więc gdzie handel temże większe obiecywał zyski, a takiemi były głównie Lublin i Warszawa.

Do Lublina wysyłał wina Tymowski wraz z swymi wspólnikami 3 razy. Podróż taka odbywała się Dunajcem i Wisłą, albo na wiosnę z końcem kwietnia, albo pod jesień z początkiem października, na płytwach tylko do Kazimierza [1]), stamtąd zaś do Lublina wozami. Lecz i taka podróż wodą, mianowicie na Dunajcu,

[1]) Mowa tu oczywiście o Kazimierzu nad Wisłą w Lubelskiem.

nie była bez przykrości i niebezpieczeństw, jak tego żywy obraz przedstawia nam opis z r. 1619. Tymowski kupił w Kesmarku od Zacharyasza Gutsmittla 7 beczek wina starego (cena nie podana), do spółki przyłączył się Pytlikowicz, a zebrawszy 12 beczek doborowych, puścili się wodą w ostatnią sobotę kwietnia. O flisnika wystarał się Pytlikowicz, a towar prowadził Józef, syn Tymowskiego, z wiernym Nogawicą. Na drogę dał Tymowski 12 złp. i ruszyli „na dół". Tymczasem ojciec pozostał przy swej ukochanej „żonce", i pełen dobrej myśli niejedną półgarncówkę brał dla siebie do stołu, na jarmarczne pożegnanie lub przywitanie. Nie tak wesoło szło Józefowi na wodzie. Pod Zakliczynem wjechał plet na jaz, jedna beczka wina rozbiła się, a 2 popłynęły wodą. Szczęście, że jazownik dopomógł ruszyć plet, a rybak „ułapił" płynące beczki tuż pod młynem, dokąd niosło je prosto. Jazownik dostał 8 gr., młynarz 12 gr., a poczciwy rybak prosił o dwa drzewa wartości 4 gr. — Stary Tymowski, zapisując wydatki na ów jaz zakliczyński, nazwał go „złodziejskim jazem".

Podobne wypadki rozbicia się beczek przy spławie Dunajcem trafiały się jednak częściej. W r. 1633 Matyasz Pleszykowicz spławiał wina Dunajcem na dół. Prowadził mu je młody Stanisław Chuchro, *recte* Frankowicz z Nowego Sącza. Przed nimi płynęli inni Sandeczanie z tratwami i minęli szczęśliwie wojnickie młyny. Ale Chuchro jakoś się zapatrzył na młyny i bardzo ku lądowi przypuścił. Widzi to inny flisak sandecki, Wawrzyniec Śledź, i woła: „Stasiu! rób wiosłem, bo źle będzie!... nie zapatruj się!.. Chwycił się Chuchro do robienia wiosłem, lecz już było za późno: prąd go porywa. Śledź zwraca się do Pleszykowicza, który spał na tratwie i woła: „Panie! wstań! Źle u nas!" Pleszykowicz się porwał, ledwie miał czas zapytać: „co słychać?" a już tratwy uderzyły o młyny. Za nimi płynął Stanisław Gardoń, przedmieszczanin sandecki, doświadczony w robieniu wiosłem. Z daleka widząc młyn, jął robić wiosłem od siebie, i szczęśliwie mijając, patrzał, jak beczki z winem Pleszykowicza, na których przy uderzeniu o młyn popękały obręcze, czem prędzej pobijano. Szczęście, że obręcze były w pogotowiu, lecz i tak wina dość wypłynęło. — Pleszykowicz pozywał później Chuchra o swoją szkodę, lecz ten oczyścił się przysięgą: „Iż ani z dawnej zawziętości ani świeżego gniewu nie napowiódł go na szkodę [1]".

Wypadki przytoczone okazują dowodnie, jak już raz nadmieniłem powyżej, że taki transport wodą wymagał wielkiego doświad-

[1]) Act. Scab. T. 54. p. 228, 230, 254.

czenia i znajomości dróg wodnych. Dlatego też kupcy, spławiający swe towary Dunajcem i Wisłą, nieobeznani z temiż, najmowali sobie biegłych i wytrawnych fliśników, jak tego mamy przykład w r. 1632. Walenty Tymowski, mieszczanin grybowski, kiedy spławiano wiele wina do Warszawy, chcąc także trudnić się tym korzystnym handlem, a nie będąc doświadczonym na wodzie, najął sobie wspomnianego poprzednio Stanisława Gardonia, przedmieszczanina z Nowego Sącza, który podjął się prowadzić 6 ptów do Warszawy z winem [1]).

Obok tych niebezpieczeństw i połączonych z niemi strat i wydatków, inne koszta takiego transportu wodą były wcale znaczne, jak nam je przedstawia opis dalszej podróży zięcia Tymowskiego do Lublina w r. 1610. Koszta te były: śrotarzom za wyciąganie z piwnicy 2 złp. 14 gr.; od zwiezienia do Dunajca 1 złp. 14 gr.; flisnikom od spuszczenia ptów 4 złp. 10 gr.; od spławu z Nowego Sącza do Kazimierza od każdego ptu (których liczba jednakże nie jest wyrażona) po 5 złp. 15 gr., nie rachując wszystkich opłat i myt w miastach po drodze leżących. Czasem trzeba było także w którem z tych miast zatrzymać się, n. p. dla pobicia beczek, co także połączone było z wydatkami.

Z Kazimierza droga odbywała się już na wozach, tu więc sprzedawano plety, za które jednak nie dawano więcej jak po 1 złp. Do Lublina trzeba było fury najmować, a tym płacono od liczby beczek, mianowicie od jednej po 1 złp. 13 gr. W samym Lublinie, oprócz opłat i „składnego“, były także koszta rozmaite, jako to: Śrotarzom, co wino do piwnicy nosili z gospody, 4 złp. 27 gr.; bednarzowi 6 gr.; na drzewo do piwnicy i pomocnikowi 1 złp. 7 gr.; utrzymanie pana zięcia w drodze kosztowało 5 złp. — Podobnie w r. 1619 syn Tymowskiego wydał na swoje utrzymanie („strawił“) w Lublinie i w powrocie 4 złp.

Wogóle całe koszta transportu owych 24 beczek wina, kupionych od pana Deżeffiego w r. 1610, wynosiły z Torysy do Lublina wraz z wszystkiemi opłatami i mytami 191 złp., a więc na 1 beczkę 8 złp.

Drugiem ważnem, a może jeszcze ważniejszem miejscem transportu i handlu wina była Warszawa. I tam Tymowski wysyłał wina swoje własne, lub w spółce zakupione, również 3 razy. Podróż odbywała się tak samo, albo Dunajcem i Wisłą aż do samego miejsca przeznaczenia, albo na wozach.

---

[1]) Act. Scabin. T. 54. p. 14.

Opisy Tymowskiego tych 3 podróży do Warszawy są nierównie szczuplejsze, dlatego trudno podać tak dokładnego obrazu wydatków, jak poprzednio. W każdym razie wydatki te były i musiały być jeszcze większe, niż do Lublina. Owe kosztowne wina, kupione w Torysie (1615 r.) w spółce z Jędrzejem Jordanem po 111 złp., spławiano wodą zaraz w pierwszych dniach października. Popłynął z niemi sam pan Jordan, Tymowski zaś wysłał syna swojego Józefa, któremu musiał kupić buty, bo przyjechawszy do domu, zastał go bez nich. Na drogę dał mu legumin za 50 złp. i gotowych pieniędzy 20 złp., a więc koszta podróży tam i nazad dla jednego wspólnika wynosiły 70 złp.

Ale nierównie kosztowniejszym był transport na wozach, jaki przedsięwziął Tymowski zaraz w roku następnym (1616) z winami, zakupionemi w Hunsdorfie u Baldizara Sekiela po 32 złp. 6 gr. Co mogło spowodować Tymowskiego do tego rodzaju podróży, mimo tylu znaczniejszych kosztów, niewiadomo; same fury z Nowego Sącza do Warszawy kosztowały od beczki po 9 złp. W Warszawie, oprócz wszelkich opłat, inne wydatki wynosiły: Furmanom, co 2 dni czekali, 1 złp. 12 gr.; drzewo na opał wraz z przywiezieniem i świece 24 gr.; od świetniczki (mała izba jasna) 15 gr.: dla dwóch ludzi (widocznie faktorów), co chodzili z Tymowskim, na 7 kwart wina 1 złp. 26 gr.; na litkup 3 kwarty wina 24 gr.; za sanie, drągi, stryczki 26 gr.; w gospodzie 38 złp.; kucharce 3 gr. Wogóle koszta utrzymania („strawiłem") do Warszawy, pobytu tamże wraz z opałem i w drodze napowrót, wynosiły 41 złp. „albo i więcej".

I jakież wyobrażenie zysków daje nam powyższy obraz handlu winami? Zysk na winach był bardzo różny; zależało to od wielu i rozmaitych względów, przedewszystkiem od sposobu płacenia, od od kosztów transportu, od miejsca sprzedaży i od okoliczności, wśród których wina sprzedawane były: naturalnie, jeżeli wina musiano płacić gotówką, zysk musiał także być mniejszy, aniżeli jeźli płacono towarami.

Największy zysk przynosiły wina sprzedawane w latach 1620—1623 do Nowego Korczyna, do Krakowa lub okolicznej szlachcie ziemi sandeckiej. I tak: za 10 beczek, które Tymowski zakupił w r. 1620 w Muszynie po 57 złp., (a wliczając koszta przywozu i wszelkich opłat: po 60 złp.), otrzymał od Wołkowicza z Nowego Korczyna 840 złp., a więc 40%; a w r. 1621 jeszcze więcej, bo 60%. Wina zakupione (1621 r.) w pierwszej spółce z Łykawskim od Gutsmittla w Kesmarku po 44 złp. 12 gr., spławił sam Gutsmittel i sprzedał z nich zaraz 15 beczek po 69 złp., z czego obaj spólnicy

byli wcale zadowolnieni, bo zysk dla nich był przeszło 48%. — Jeszcze pomyślniejszą była w tym samym roku powtórna spółka z Łykawskim, gdyż wina zakupione u tegoż samego Gutsmittla, a sprzedawane do Krakowa, Olkusza, Nowego Korczyna lub szlachcie sandeckiej, przyniosły zysku od 20 aż do 100%. — Wina zakupione (1623 r.) w spółce z bratem Marcinem w Bardyowie po różnych cenach, których beczka przeciętnie kosztowała prawie 68 zł. węg., a inne koszta wyniosły na 1 beczkę po 8 złp., cały zaś nakład kosztował 3.646 złp. 5 gr., sprzedawano beczkami (od 96 do 122 złp.) w Nowym Sączu, okolicznej szlachcie i do Krakowa z zyskiem 27 do 63%. Cały zaś zysk wynosił 747 złp. czyli przeszło 20⅓%.

Na winach, wysłanych do Lublina, zysk ani jeden raz nie był znaczny. Koszta podróży, liczne opłaty, straty poniesione i t. p. przyczyniały się do jego uszczuplenia. I tak na winach, spławianych wspólnie z zięciem swoim (1610 r.), które, jak sam Tymowski wyraźnie podaje, wraz z wszystkimi wydatkami kosztowały 911 złp, czystego zysku było zaledwie 69 złp., a więc nie całe 8%. — Kiedy w r. 1619 w spółce z Pytlikowiczem wyprawili tamże 12 beczek wina doborowego starego, które w Lublinie sprzedano po 80 złp., z powodu nie podanej ceny kupna trudno też oznaczyć zysk na niem; w każdym razie jednak nie mógł być znaczny, gdyż sprzedano je nie za gotówkę i wypłata trwała aż rok, a rozbita beczka na jazie zakliczyńskim pochłonęła także znaczną część zysku. Wina zaś, które w spółce z Łykawskim (1622 r.) kupili razem z pływami na Dunajcu po 58 złp., i z których sprzedano w Sandomierzu i Lublinie 12 beczek po 70 złp. a 11 po 72 złp., po odtrąceniu wszystkich wydatków transportu, mogły przynieść czystego zysku do 16%.

Co się zaś tyczy win, spławianych do Warszawy, ponieważ kwota, po której je tam sprzedawano, ani razu nie jest podaną, więc też i zysku na nich oznaczyć się nie da; to tylko można uważać za pewne, iż musiał być niezawodnie znacznie większym, aniżeli w Lublinie, gdyż w przeciwnym razie trudno przypuścić, żeby puszczano się bez korzyści w tak daleką drogę; odpadały też tutaj znaczne koszta transportu na wozach, jak owe z Kazimierza do Lublina. Domniemanie to potwierdza także poniżej umieszczona wiadomość o nader korzystnej sprzedaży win w Warszawie przez kupca, Stanisława Rogalskiego (1651 r.), tak iż spólnik jego domagał się od niego aż 48% zysku, lubo żądanie to pokazało się zbyt przesadnem.

Natomiast wina, kupione (1624 r.) w spółce z Jędrzejem Jordanem od Marcina Kopcia w Krużlowej po 79 złp., których przywóz

kosztował po 1 złp. od beczki, zawiodły nadzieję i oczekiwania. Wprawdzie, tak jak poprzednio, sprzedawano je okolicznej szlachcie i do Krakowa beczkami w cenie od 80 do 106 złp., a więc z zyskiem dochodzącym do 32%, lecz wogóle dla obu spólników okazał się zysk bardzo mały. Tymowski, mając częstych gości u siebie, wypijał sam nie mało, przypijając do nich według obyczaju, oraz pijąc z „żonką" w domu lub biorąc w drogę. Bardzo wiele kosztowały również bezpłatne częstowania, które brat jego Wojciech, zapisując do księgi, nie zapomniał nigdy naznaczyć krzyżykiem, jak gdyby żegnając się z pieniędzmi; także litkupy daremne, kupującym dawane, wynosiły wiele, a przytem i o dawnych znajomych również trzeba było pamiętać. Lecz najwięcej przyczyniło się do straty, że wina co podlejsze skwaśniały, tak że wszystkiego zysku okazało się tylko 98 złp. i beczka wina (czyli razem 200 złp.), a więc zaledwie $5^1/_2$%. Dlatego też pan Jordan, zwalając całą winę na Kopcia, który zaręczał zysk odpowiedni tak znacznemu kapitałowi („iściznie"), wynoszącemu dla każdego wspólnika po 1.800 złp., zatrzymał na swą stronę 400 złp., zapisując je własnoręcznie na Kopcia do księgi kupieckiej [1]).

Obok Tymowskiego, widocznie najznaczniejszego kupca sandeckiego za czasów Zygmunta III., źródła nasze wymieniają jeszcze innych, którzy również zajmowali się handlem wina w niniejszej epoce. Z tych jest nam znanych już kilku, jak Stanisław Janik, Jan Łykawski, Tomasz Pytlikowicz, Stanisław Pełka, Krzysztof Halenowicz, Mateusz Kotczy, Matyasz Pleszykowicz. Lecz oprócz tych należą tutaj jeszcze: Stanisław Olszyński, który sprzedawał najdroższe korzenie i wina; Zacharyasz Światłowicz; Wojciech Bogdałowicz, długoletni rajca, który trudnił się tym handlem od r. 1633–1656. Stanisław Rogalski, słynny organista i długoletni rajca, już w r. 1630 posiadał szynk winny, w latach zaś 1647—1656 kupczył winem do Warszawy jużto z Jędrzejem Kitlicą, już też z Jakóbem Poławińskim, rymarzem, który w swym sklepie także sprzedawał wino [2]). Rogalski, dzierżawiąc cło od wina za 200 złp. rocznie, w ciągłej był styczności z kupcami węgierskimi, mianowicie z Mikluszem Komoranim z Preszowa, z Januszem Oslanim z Lubowli, z Gutsmittlem z Kesmarku i innymi. Zawierali oni z sobą ugody

[1]) Cały powyższy ustęp o handlu winem według Dyaryusza Jerzego Tymowskiego.

[2]) Tak znajduję, że Jakób Poławiński kupił w r. 1628 wina starego beczek 24 u pana Adama Strońskiego za 2.592 złp., czyli beczkę po 108 złp. (Act. Scabin. T. 46. p. 712.).

i przejmowali wzajemnie długi: Węgrzyni Rogalskiego na Spiżu, a on ich w Nowym Sączu. W r. 1651 wciągnął Rogalski Kitlicę, podwójciego, do spółki winnej, wystawiając mu ogromne korzyści, jakich należało się spodziewać słusznie w tych czasach wojennych, kiedy szlachta wojując, zjeżdżając się i sejmikując, wypijała ogromną ilość wina. Więc Kitlica dał 440 złp., wymawiając sobie zysk i prosząc, aby, sprzedawszy wino, zakupił mu za jego 440 złp. pieprzu w Warszawie i odstawił do Nowego Sącza. Rogalski przyrzekł, wziął pieniądze, pojechał na Węgry, i nakupiwszy wina, wpakował je na tratwy Stanisława Jamińskiego, kupca sandeckiego, i popłynął z niem do Warszawy. Wino sprzedał korzystnie, poczem wedle woli Kitlicy kupił pieprzu za 440 złp. i chciał zaraz wracać. Ale niepodobna było, gdyż żaden woźnica nie chciał się podjąć drogi wśród rozcieczy wiosennej. Musiał więc pieprz złożyć na składzie i powrócił do Sącza. Nie rad był temu Kitlica, że mu nie przywiózł pieprzu. Słysząc zaś o wielkim zysku z wina, żądał swojej części t. j. 200 złp. i zapozwał go sądownie. Rogalski zeznał względem pieprzu, iż go musiał zostawić w Warszawie, obiecując tego świadkami dowieść; co się zaś tyczy zysku, odpowiedział z przekąsem, że człek katolicki nie może brać lichwy [1]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Jan Sygański T. J.

---

[1]) Act. Consul. T. 61. p. 210.

ZARYS POJĘĆ O NARODZIE.

(Ciąg dalszy).

Lecz jeżeli obaj ci autorowie dla publiczności krajowej byli i pozostali bez wpływu z powodu nierozprzestrzenienia ich dzieł w kraju, to natomiast zaprzeczyć się nie da, że przyczynili się oni do niektórych odmiennych na emigracyi kierunków, do pewnych zboczeń od celu jasno przedtem wytkniętych dążności narodowych, wprowadzając je na manowce towianizmu i panslawizmu. Nie wspominalibyśmy o tem wcale, gdyby mniemaniom tym nie hołdowały w swym czasie narodowe geniusze. W obec udziału w nich pierwszorzędnych wieszczów narodu, jakimi byli Mickiewicz i Słowacki, napomknąć nam o tych kierunkach wypada, chociażby w pobieżnych słowach. W rzeczywistości towianizm zapożyczył główne swe myśli od Wrońskiego, jakkolwiek w szczegółach różnił się od teoryi tego myśliciela, który stał się następnie otwartym przeciwnikiem nowopowstałej sekty. Główna różnica zachodziła w tem mianowicie, że Wroński teoryę swą odrodzenia świata starał się uzasadnić naukowo, opierając się na historyozoficznych danych; towianizm zaś zajął proroczo - religijne stanowisko, wygłaszając apodyktyczne zdanie, że epoka odrodzenia już się zaczyna. Wroński zjawiska dziejowe w rozwoju ludzkości opierał na walce dwóch przeciwieństw — antynomij — któreby ostatecznie sprowadzić się, zdaniem naszem, dały do idelizmu i realizmu, i rozróżniał w dziejach aż siedm odrębnych epok, z których obecnie przebywamy piątą, a dwie mamy jeszcze przed sobą, w messyanizmie zaś, mającym odrodzić ludzkość, widział zniesienie antynomij czyli pogodzenie dążności bezwzględnego rozumu z bezwzględną wiarą i skojarzenie bezwzględnej prawdy z bezwzględną cnotą; towianizm nie szukał żadnego uzasadnienia naukowego swych poglądów, lecz opierał swą religijno-mistyczną doktrynę na natchnieniu i objawieniu, w które kazał wierzyć: tem

objawieniem był wygłaszany przez sektę messyanizm, który pojawia się wśród Słowian, aby za ich pośrednictwem być czynnikiem postępu całej ludzkości. „Słowo epoki nowej“ zjawia się wśród nich i „spełnia wszystkie obietnice, jakie chrześcianinowi dawało tajemnie jego sumienie, obietnice przyszłości religijnej, moralnej i razem błogiej [1])“. Inną cechą towianizmu jest to samo dziwne, co i u Wrońskiego, uwielbianie Napoleona, który, podług Towiańskiego, należy urzeczywistniać tak w życiu prywatnem, jak i w sprawach publicznych słowo Boże ogłoszone przez Chrystusa, a który, jak mówił Wroński, posiadał tajemnice powierzone mu przez Opatrzność. Idea wreszcie posłannictwa narodów stanowi wspólną przewodnią myśl w doktrynach Wrońskiego i Bukatego z jednej strony, a w naukach towianizmu z drugiej, jakkolwiek w szczegółach i tu zachodziły niejakie różnice, podczas bowiem gdy Wroński stanowczo twierdził, że Francya swój zawód ukończyła ostatecznie i nie ma przed sobą żadnej przyszłości. Towiański uważał trzy głównie narody, jako przeznaczone do spełnienia w przyszłości sprawy Bożej, a mianowicie: Polaków, Francuzów i Żydów.

Za wpływem atoli Bukatego, Mickiewicz rozciągnął posłannictwo, jsk już napomknęliśmy wyżej, cytując jego słowa, na ogół Słowian, wśród których pojawia się messyanizm, jako objawienie, aby ich wykupić z ciężącego od dawna na nich grzechu niewoli. Co więcej: w dobie przejęcia się zasadami towianizmu, dla poparcia swych twierdzeń o odrębności wśród Europy ducha słowiańskiego, przyjął on i wygłaszał niektóre tezy, wystawione na pierwsze miejsce przez słowianofilów rossyjskich, w celu wywyższenia ponad inne zasadniczych zjawisk życia rossyjskiego. Taką tezą była wspólna własność gminna ziemi, która, podług twierdzeń Mickiewicza, zgadzającego się w tej mierze ze słowianofilami, stanowiła w Słowiańszczyznie ideał w porównaniu ze stosunkami posiadania wytworzonymi przez Zachód [2]). W rzeczonej formie własności upatrywał on rozwiązanie kwestyi socyalnej, gdy Zachód przejmie wyobrażenia słowiańskie. Podobnem do poprzedniego było twierdzenie, że narody słowiańskie nic na cywilizacyi zachodniej nie zyskały [3]), jak niemniej, że świat zachodni, przesycony doktrynami i kazuistyką, znamionującą epokę upadku, kończy swe istnienie [4]) tak samo, jak się kończył niegdyś świat grecki. Zgadzało się to z wiadomem twierdzeniem

---

[1]) Mickiewicz. Literatura słowiańska. IV. 115.
[2]) Lit. słow. III. 195—196.
[3]) L. c. II. 163.
[4]) L. c. IV. 9.

słowianofilów o mniemanej zgniliźnie Zachodu. Ale jeżeli w szczegółach niektórych zbliżył się Mickiewicz do tych słowianofilskich teoryjek, wszelako we wnioskach ogólnych doszedł do wręcz przeciwnych wyników: zaprzeczał on słowiańskości duchowi ludu rossyjskiego [1]) i, wspólnie z Bukatym, w idei polskiej widział odrodzenie Słowiańszczyzny i Zachodu.

Była to zresztą epoka poprzedzająca wielki ruch rewolucyjny 1846 roku, którą w krajach słowiańskich cechowały silne dążności do zespolenia w jedno ciało całej Słowiańszczyzny. Objawiły się one najprzemożniej w czeszczyźnie, gdzie dał im impuls Słowak Kollar poematem „Córa Sławy“, wydanym w r. 1821. Nie długo potem, wśród Chorwatów zrodził się wybitny kierunek zjednoczenia sił słowiańskich, zapoczątkowany przez Ludwika Gaja, który w wydawanym przez siebie od r. 1835 pierwszem czasopiśmie w języku chorwackim: „Danica Ilirska“, począł rozwijać myśl ilirskiej jednoty, mającej skupić w jedno narodowe ciało plemiona, rozróżnione rozdziałem religijnym, narzeczami i wpływami dziejowymi odmiennej kultury, lecz w gruncie stanowiące jeden i ten sam szczep, mówiący tym samym językiem z drobnemi i nieznacznemi odcieniami zboczeń w pojedyńczych narzeczach. Plemionami temi byli: Serbowie, Bośniacy, Dalmatyńcy, Czarnogórzanie, Słoweńcy i Chorwaci. W tym samym kierunku działał poeta chorwacki, Stanko Wraz. Tu przynajmniej ruch objawił się w konkretnych i zrozumiałych formach zjednoczenia i zespolenia na podstawie jednego wspólnego języka, jakkolwiek natrafiał na ogromne przeszkody ze względu na wiarę, obyczaje i odmienność kultury rozmaitych tych plemion. W innych atoli krajach słowiańskich, a mianowicie w Czechach, ruch panslawistyczny nie był sformułowanym jasno i ściśle, służąc mniej więcej w zasadzie za punkt oparcia przeciwko eksterminującej germanizacyi. Było to niejako poszukiwanie gruntu do wspólnych przeciwko niej działań całego ogółu Słowiańszczyzny. Przedstawiała się atoli do rozwiązania kwestya, w jaki sposób ogół ten, rozróżniony mało zrozumiałymi dla siebie językami, odmienną przeszłością dziejową i wybitnemi odrębnościami tego wszystkiego, co znamionuje charakter pojedyńczego narodu, miał się zespolić w jedną rzeszę. Znalazło się sporo marzycieli, jak to i dziś jeszcze poniekąd ma miejsce w Czechach, którzy głosili ideę stworzenia wszechsłowiańskiego państwa. Państwem tem miała się stać Rossya jako jedyne niezależne mocarstwo słowiańskie. Znający natomiast bliżej Rossyę,

[1]) L. c. II. 317, 318.

jak n. p. Hawliczek, który kilka lat przemieszkał w Moskwie, zapatrywali się na panslawizm z innego punktu, o tyle bowiem przywiązywali wagę do idei zjednoczenia wszechsłowiańskiego, o ile takowa dopomódz mogła swobodnemu rozwojowi pojedyńczych narodowości słowiańskich — co w obec ustroju i ducha Rossyi było wprost niewykonalnem. Ku temu ostatniemu kierunkowi zdawał się skłaniać i odbyty dnia 2. czerwca 1848 roku kongres słowiański w Pradze, który, jakieśmy wspomnieli, ogłosił równość narodów słowiańskich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

I. Snitko.

O CYWILIZACYI BOŚNII I HERCEGOWINY.

(Dokończenie).

Przechodząc teraz do akcyi Rządu, skierowanej do podniesienia poszczególnych gałęzi rolnictwa i produkcyi rolniczej, zauważyć muszę przedewszystkiem, że uderza ona głębokiem wystudyowaniem stosunków gospodarczych kraju, jego warunków naturalnych, odznacza się jednolitością i polega na planie systematycznym, z góry dla całego gospodarstwa rolnego kraju obmyślanym. Ażeby ludności kraju dać przykład, w jaki sposób podnieść można gospodarstwo rolne, urządzono dla każdej strefy gospodarczej po jednej rządowej stacyi rolniczej, a mianowicie w Modrić, Gacko, Leviro i Ilidje. Stacye te są poprostu gospodarstwami rolnemi, prowadzonemi według zasad gospodarstwa poprawnego, ale tylko takich, które jeszcze bez trudności dają się zastosować do gospodarstw krajowych, i za pomocą ulepszonych środków technicznych, które także jeszcze są przystępne ludności miejscowej. Nie stanowią więc one nic innego jak wzór gospodarstwa krajowego, o jeden krok dalej posuniętego co do techniki gospodarczej. Dalej mają one za zadanie produkować uszlachetnione gatunki nasion rolniczych, szlachetniejsze rasy bydła, koni etc. i obdzielać niemi ludność okoliczną. Prócz tego, stacye te służą za zakłady rolnicze praktyczno-naukowe dla synów włościan. Ogółem istnieje przy tych stacyach 104 miejsc dla młodzieży wiejskiej, którą przyjmuje się tu w charakterze elewów, dając jej odzież i mieszkanie na koszt rządu, a w dodatku jeszcze płacę w kwocie 1 korony dziennie, z której jednak musi opędzić koszta żywienia się. Artykuły żywności dla elewów dostarcza stacya i elewi mają rodzaj wspólnej menaży bardzo taniej. Elewi pozostają przez 3 lata na stacyi, uczą się w ciągu tego czasu rolnictwa praktycznie o ile potrzeba i teoretycznie, poczem wychodząc ze stacyi otrzymują jeszcze jako odprawę bydło lub nasionia rolne w podarunku.

W pobliżu każdej stacyi znajduje się dalej 3—5 t. z. wzorowych gospodarstw włościańskich. Każdy wieśniak

z kolic stacyi ma prawo poddać swoje gospodarstwo na lat 3 pod kierownictwo stacyi, obowiązując się jedynie gospodarować według jej przepisów. W zamian za to otrzymuje jednorazową subwencyę rządową w kwocie od 100—150 zł. na ulepszenie budynków gospodarskich, dalej poprawne rasy bydła, koni etc. i uszlachetnione nasiona gospodarskie na wypłat, a względnie przy nasionach z obowiązkiem zwrotu otrzymanego quantum nasienia po żniwach. Ażeby znów podnieść chów bydła, koni, owiec, kóz i świń, Rząd bośniacki czynił wszechstronne studya nad rasami, które nadają się najlepiej do podniesienia ras miejscowych w drodze krzyżowania i dostarczył ludności na własny koszt potrzebną ilość oryginalnych rozpłodowych osobników ras poprawczych. Dla braku miejsca podaję jedynie przykłady akcyi wdrożonej dla podniesienia chowu koni i bydła.

Otóż studya czynione przez Rząd nad kwestyą poprawy miejscowej rasy koni doprowadziły do rezultatu, że najlepszym regeneratorem konia bośniacko-hercegowińskiego jest koń arabski. Na koszt Rządu zakupiono więc 20 ogierów oryginalnej krwi w Arabii, Syryi i Palestynie, dalej 14 ogierów z królewskiej stadniny w Babolna, 2 ogiery ze stadnin prywatnych, 5 ogierów zaś darował cesarz ze swych stajni.

Ogiery te rozdzielają się corocznie w miesiącach od marca do lipca na 62 stacye dla stanowienia, gdzie odbywa się zapładnianie klaczy. Za skok ogiera nie pobiera się żadnej opłaty.

Prócz tego rozdał Rząd między mieszkańców kraju 12 ogierów, pochodzących już z krzyżowania oryginalnych rozpłodników z klaczami miejscowemi, pod warunkiem, że ogiery te będą przez lat 3 utrzymywane przez ich posiadaczy i że zapładniać będą bezpłatnie co najmniej 60 klaczy w ciągu roku. Po trzech latach konie te przechodzą na własność ich posiadaczy.

Wreszcie założył Rząd dla chowu krajowych ogierów wysokiej krwi stadninę rządową, złożoną z 22 klaczy, z których 13 sprowadzono wprost z Syryi i Arabii i 3 oryginalnych ogierów. W lecie stadnina ta stoi w Han Berike, w zimie w Goražda.

W końcu przeprowadza Rząd za zgodą ludności systematyczne czyszczenie ogierów krajowych, niezdolnych do rozpłodu ras poprawnych.

Co się tyczy chowu bydła, to dla podniesienia go, Rząd wprowadził krzyżowanie ras krajowych z trzema rasami importowanemi, a mianowicie:

a) w strefie nizinowej z rasą bydła stepowego węgierskiego,
b) w strefie górzystej i pagórkowatej z rasą Wippthaler,
c) w strefie karstowej z rasą Reizgauer.

Zakupiono tedy na koszt Rządu potrzebną ilość buhajów oryginalnych, które teraz używają się jako rozpłodniki w ten sposób, iż:

a) oddaje się je osobom prywatnym lub gminom wiejskim na utrzymanie przez przeciąg lat 3 z obowiązkiem bezpłatnego stanowienia krów krajowych, poczem po latach 3 przechodzą na własność ich posiadaczy,

b) albo oddaje się je na utrzymanie gminom miejskim, które mają dbać o utrzymanie buhaja, ten jednak pozostaje własnością Rządu.

Posiadacze prywatni lub gminy, które pilnie strzegą poruczonego im buhaja, otrzymują prócz tego remuneracyę rządową. Dalej dostarcza Rząd gospodarzom w kraju na żądanie ich, za cenę własnych kosztów importowane krowy oryginalne na wypłat na lat 3—5. Buhaje, pochodzące już z krzyżowania bywają licencyonowane a właściciel ich obowiązanym jest do stanowienia nimi bezpłatnie krów krajowych, za co otrzymuje od Rządu roczną płacę w kwocie 32—40 kor.

Dotąd czynnych jest w kraju oryginalnych buhaji 693.

Także i tu Rząd przeprowadza systematyczne czyszczenie buhaji krajowych, nie zdatnych do rozpłodu ras poprawnych.

Po koniec roku 1898 przysporzono w ten sposób krajowi 1338 poprawnych buhaji i 760 krów.

W podobny sposób odbywa się regeneracya owiec, kóz i świń.

Dla poprawy drobiu urządzono w r. 1891 w Prijedor zakład rządowy, który dotąd obejmuje 34 oddziałów różnych gatunków drobiu i rozdaje rocznie 20—24.000 jaj rozpłodowych i około 2000 sztuk drobiu między mieszkańców kraju, w zamian tylko za zobowiązanie się obdarowanych, że nie będą trzymać po swych obejściach innych gatunków drobiu, tylko rasy poprawne.

Pomijając dla braku miejsca inne gałęzie akcyi rządowej dla podnoszenia rolnictwa, chciałbym tu jeszcze wspomnieć o niesłychanie praktycznie urządzonej akcyi Rządu dla podniesienia hodowli owoców, wina i jarzyn. Wypracowano na ten cel z góry systematyczny plan dla całego kraju, który pod względem hodowli owoców podzielono na cztery strefy, a mianowicie:

1) Strefę produkcyi śliwek,
2) „ „ owoców pestkowych,
3) „ „ wina i owoców wczesnych,
4) „ „ jarzyn targowych.

Rząd postarał się i tu o zaopatrzenie kraju w importowane na wielką skalę poprawne gatunki owoców i jarzyn. Dla podniesienia

hodowli ich, założono trzy stacye rządowe dla kultury owoców i wina, urządzone na wzór stacyi rolniczych. Na każdej stacyi 12 elewów z młodzieży wieśniaczej pobiera teoretyczną i praktyczną naukę w sadownictwie pod warunkami, jak na stacyach rolniczych.

Oprócz tego założono 9 szkółek sadowniczych rządowych i 16 szkółek sadowniczych gminnych, te ostatnie utrzymywane przez gminy, pod nadzorem rządowym i wędrownych nauczycieli rolnictwa. Tak stacye rządowe, jak i te szkółki mają obowiązek zaopatrywania ludności w potrzebne szczepki owocowe, zestawione według sortymentu, ułożonego przez Rząd na podstawie studyów.

Ponieważ między owocami już dawniej produkcya śliwek suszonych stanowiła jedno z ważnych źródeł stałego dochodu ludności, przeto Rząd zwrócił szczególną uwagę na podniesienie tej produkcyi przez urządzanie kursów fachowych po różnych stronach kraju. Jako przedmiot demonstracyjny dla tych kursów suszenia śliwek, służą w każdym miejscu, gdzie kursa się odbywają, 2 suszarnie prywatne, które Rząd własnym kosztem zmienia na ulepszone i pozostawia potem do użytku właścicieli.

Wreszcie na żądanie gospodarzy w kraju Rząd sprowadza dla nich poprawne maszyny gospodarskie, stosowne do rodzajów kultury rolniczej kraju, i kredytuje je gospodarzom tym na wypłat na małe roczne raty. Do roku 1898 w ten sposób rozdano n. p. w kraju 2.000 pługów poprawnych.

W końcu pootwierał Rząd przy nowozakładanych szkołach ludowych osobne kursa rolnicze, obejmujące 5 godzin tygodniowo w lecie, a 2 w zimie. Plan nauki został ułożony głównie ze stanowiska praktycznego, a celem tych kursów jest wykształcać t. z. „*Schulbauern*". Rezultaty tej olbrzymiej akcyi, której tylko bardzo ogólnikowe mogłem podać zarysy, odbijają się najlepiej w zestawieniach statystycznych, dotyczących tego przedmiotu.

I tak przedewszystkiem wzrosła ilość tej powierzchni ziemi, która przeznaczoną jest dla kultury zbóż, ogrodów, ogrodów winnych i łąk, a zmalała liczba gruntów pod prymitywne kultury przeznaczonych, a mianowicie:

Od roku 1886 do roku 1895 wzrosła powierzchnia:

1) ról o . . . . 7·09%
2) ogrodów o . . . . 22·59%
3) winnic o . . . . 18·00%
4) łąk o . . . . 6·22%

zaś zmalała powierzchnia:

1) pastwisk o . . . . 8·59%
2) lasu o . . . . 0·89%
3) ziemi nieproduktyw. o . . . . . 0·20%.

Dalej wzrost produkcyi płodów rolniczych i owoców w latach między 1882—1898 przedstawia się jak następuje:

1) Kukurudza o 119%
2) Jęczmień o 40%
3) Pszenica o 72%
4) Owies o 35%
5) Żyto o 61%
6) Owoce strączkowe o 126%
7) Kartofle o 190%
8) Kultura śliwek o 94%
9) Jarzyn o 170%

Z cyfr absolutnych przytoczę tu, że produkcya tytoniu wynosi obecnie 35.000 klgr. rocznie, zaś śliwek suszonych 2,220.000 klgr. w roku.

Co do produkcyi zwierzęcej, to wzrost jej okazuje się najlepiej z następującego porównania:

W roku 1879 było w kraju		Zaś w roku 1895 było w kraju
Rodzaj zwierząt		Rodzaj zwierząt
Koni, osłów i mułów	161.168	239.626
Bydła rogatego . .	762.077	1,147.341
Owiec	839.988	3,230.720
Kóz	522.123	1,447.049
Świń	430.354	662.242
Ulów pszczół . . .	111.148	140.061

Procentowo biorąc wzrost tej produkcyi za ten sam czas, przedstawia się znów jak następuje:

1) Konie, osły i muły . . . . + 48·68%
2) Bydło rogate . . . . + 85·98%
3) Owce . . . . + 284·62%
4) Kozy . . . . + 177·15%

5) Swinie . . . . + 53·88%
6) Ule pszczelne . . . . . . + 26·20%

Jakkolwiek wreszcie wzrost stanu ludności nie można uważać wyłącznie za skutek wzrostu dobrobytu, to jednak w każdym razie świadczy on o tem, iż kraj dotyczący rozwija się pod każdym względem. I w tym punkcie statystyka wykazuje co do Bośnii i Hercegowiny rezultaty nader pomyślne, a mianowicie:

Według obliczenia, ludności w latach między 1879 a 1895 liczyła Bośnia i Hercegowina:

1) W roku 1879 . . . . 1,158.164
2) „ „ 1885 . . . . 1,336.091
3) „ „ 1895 . . . . 1,568.092.

Procentowo przedstawia się więc przyrost:

Między 1879—1885 . . . . . + 15·36%
„ 1885—1895 . . . . . + 17·36%
czyli razem o . . . . + 35·39%
t. j. w przecięciu na rok . . . + 2·21%.

Wskutek wzrostu produkcyi rolniczej, całe jej gałęzie podnoszą się na stopień produkcyi obrotowej, obliczonej także na eksport. Mianowicie z Bośnii i Hercegowiny wywozi się obecnie: śliwki suszone, kukurudza, winogrona, wino, owoce południowe, tytoń, który Rząd zrobił dla podniesienia jego produkcyi monopolem rządowym.

Dalej wzrósł ogromnie eksport zwierząt domowych, o czem świadczą następujące daty.

Od roku 1890—1898 wywieziono:

1) Koni	56.392
2) Osłów	336
3) Mułów	1.426
4) Buhaji	9.424
5) Wołów	333.718
6) Krów	175.115
7) Cieląt	43.109
8) Bawołów	193
9) Owiec	769.150
9) Kóz	477.626
10) Świń	1,589.656.

Procentowo wzrost wywozu zwierząt domowych za czas 1890—1898 przedstawia się jak następuje:

1) Konie, osły i muły . . . + 170·69%
2) Bydło . . . . + 28·49%
3) Owce . . . . + 73·79%

4) Kozy . . . . + 86·88%
5) Świnie . . . . + 80·90%.

W kraju, z natury nadającym się do gospodarstwa rolnego, w którym nadto dla przyczyn już nam znanych, nawet rolnictwo nie mogło aż do najnowszych czasów posunąć się wyżej, tem bardziej nie można się spodziewać znaczniejszego rozwoju przemysłu. I w rzeczywistości przemysł Bośnii i Hercegowiny znajduje się jeszcze w kolebce. Lecz i na tem polu akcya Rządu coraz większe osiąga rezultaty. Dla ilustracyi tej akcyi pozwolę sobie przytoczyć kilka przykładów:

Przedewszystkiem za staraniem Rządu okupacyjnego, rozwinęły się pomyślnie niektóre gałęzie industryi rolnej, i tak:

Założono w kraju 6 wielkich akcyjnych browarów, z których największym jest browar w Sarajewie, produkujący rocznie 4.500 hl. piwa, dalej wielką fabrykę spirytusu i rafineryę w Dolna Tuzla, akcyjną cukrowarnię w Uzora, z kapitałem akcyjnym 18,000.000 kor., która szczególnie ważną jest z tego powodu, iż dała impuls do kultury buraków cukrowych w kraju, która w roku 1894 rozciągała się już na 11 powiatów i obejmowała przestrzeń 2.000 Hk. ziemi. Oprócz tego powstało w Trujora wielkie przedsiębiorstwo bośniackiej eksploatacyi lasów. Dalej w miasteczku Varos założono hutę żelazną, która zatrudnia przeciętnie 400 robotników. W końcu założył Rząd trzy wielkie fabryki tytoniu, a mianowicie w Mostarze, Sarajewie i Trebinji.

Z zakresu właściwej produkcyi przemysłowej wspominam tu całkiem pobieżnie rządowe garbarnie w powiatach Foča, Ksóko, Sarajewo i Mostar, fabrykę mydła i świec w Dolna Tuzla etc. Dwie gałęzie przemysłu domowego miały już dawniej znaczenie dla krajów okupacyjnych, a mianowicie w y r ó b d y w a n ó w i roboty inkrustacyjne. I tym gałęziom Rząd poświęcił szczególną uwagę, zakładając poświęcone im szkoły fachowo-przemysłowe i fabryki dywanów, tak, że oba rodzaje tych artykułów dziś stanowią już przedmiot eksportu.

Chciałbym jeszcze dla uzupełnienia obrazu dodać kilka słów o formach kultury, odnoszących się do obyczajowych stosunków ludności, zamieszkującej kraje okupowane. Pod tym względem, jak w ogólności kraje na niskim stopniu kultury stojące, Bośnia i Hercegowina przedstawiają wielką jednostajność cywilizacyi. W obyczajach, sposobie życia, mieszkaniu, zabawach etc. nie ma tu jeszcze wyrobionych znacznych różnic między Bejem a wieśniakiem. Tak Bej, jak i wieśniak, stoją prawie na jednym poziomie wykształcenia, pro-

wadzą jeszcze życie proste i niewykwintne. Mieszkanie Bośniaka lub Hercegowińczyka składa się zwyczajnie z domu o dwóch ubikacyach, z której jedna służy za mieszkanie a druga za skład zapasów (spiżarnię) i podwórza, a otoczonem jest prymitywnymi budowlami gospodarczymi. Bejowie mają zwykle domy jednopiątrowe, mieszczące na dole stajnię, na górze mieszkania. W strefie nizin, gdzie wylewy panują, mieszkania są często budowane na palach.

Mówiąc o podziale ludności pod względem wyznań, dotknąłem już różnic politycznych istniejących w łonie tego społeczeństwa. Różnice te są wyrazem walki, jaka między cywilizacyą zachodu a cywilizacyą bizantyńską toczy się o hegemonię na jednym z ostatnich jeszcze punktów Europy, mającym przed sobą wielką przyszłość, t. j. na półwyspie bałkańskim. Plemię serbskie, tak w krajach okupowanych jak i poza ich granicami, walczy zacięcie pod hasłem kultury prawosławia o tryumf starego Byzancyum w tej stronie Europy. Opór stawia mu w imię cywilizacyi zachodu inne, pokrewne mu blisko plemię południowo-słowiańskie, Kroaci. Na walkę tę, nader ciekawą i doniosłego bardzo znaczenia, mało uwagi zwraca się dotąd w Europie, a jednak od jej wyniku zależy, czy na półwyspie bałkańskim drogę przyszłej cywilizacyi znaczyć będą dwóramienny krzyż Rzymu i wielkie idee zachodnio-europejskie, czy trójramienny krzyż Bizancyum i ponure teorye Katkowów, Bokumów i Tołstojów.

Przy napisaniu niniejszej pracy opierał się autor głównie na następujących źródłach:

1) „*Die Landwirthschaft in Bosnien und der Hercegowina*“, Sarajewo 1899.

2) „*Das Veterinärwesen in Bosnien und der Hercegowina*“, 1899.

3) „*Rodinny nedil*“, przez Karola Kodleca 1898.

4) „*Die Entstehung der Volkswirthschaft*“, von Bücher.

5) „*Die panslavistische Agitation und die südslavische Bewegung in Österreich*“, von Bresnitz von Sydaroff 1899.

6) „*La question d'orient au vingtiéme Siecle*“ par Gorloff 1899.

WITOLD LASSOTA.

KRONIKA LITERACKA.

Die Wirthschaftspolitik der historischen Schule von Dr. Richard Schüller. Berlin, C. Heyman 1899.

Całe prawie życie naukowe Niemiec w zakresie nauk społecznych już od dłuższego czasu stoi pod wyłącznym wpływem szkoły historycznej. Seminarya uniwersyteckie prowadzi się tu prawie wszędzie w tym duchu; o wielkiem znaczeniu tego kierunku świadczą też długie szeregi prac całej falangi młodszych i starszych autorów. Ale i nie brak też opozycyi przeciwko temu kierunkowi. Tak Adolf Wagner występuje bardzo stanowczo przeciwko szkole historycznej, czyniąc jej zarzut kwietyzmu i powierzchowności o tyle przynajmniej, że szkoła ta zadowala się w zakresie polityki ekonomicznej leczeniem symptomów tylko, nie dotyka zaś sedna rzeczy. Karol Bücher zaznacza, że „historyzm zachowuje się z natury rzeczy biernie w obec polityki ekonomicznej. Zachowanie się państwa w obec życia gospodarczego, jest dla niego tylko przedmiotem obserwacyi“. Scheel twierdzi, że polityka ekonomiczna tej szkoły skupia się zazwyczaj w omawianiu kilku drobnych kwestyi, pozbawionych większego znaczenia, postępuje zaś naprzód dopiero w ślad za praktyką, a Sombart mniema, że istotną cechą polityki ekonomicznej tej szkoły jest wrodzona tendencya do kazuistyki, polityki okolicznościowej, do eklektycyzmu i niejednolitości.

Rozprawa dr. Schüllera ma za zadanie omówić te zarzuty, jak i w ogóle znaczenie szkoły historycznej dla polityki ekonomicznej.

Autor jest zasadniczym przeciwnikiem tej szkoły. Tem bardziej muszą przeto zainteresować czytelnika historyczne wywody autora, którymi chce wykazać, że szkoła historyczna tak w dawniejszej swej epoce, gdy zajmowała stanowisko pośrednie pomiędzy kierunkiem feudalnym a kierunkiem klasycznym, jak i w późniejszej swej fazie rozwoju, stawiała postulaty mylne lub nic nie znaczące, a życiu rzeczywistemu

dała się zupełnie wyprzedzić, nie wywierając na to życie zbyt wielkiego wpływu. I tak, gdy szkoła klasyczna żądała całego szeregu reform, które niebawem prawie wszędzie zostały zrealizowane, szkoła historyczna dawnego autoramentu nazywała ten kierunek rewolucyjnym, zachowując się w ogóle bardzo trwożliwie wobec tych postulatów. Nie była ona jednak identyczną z kierunkiem feudalnym, lecz łączyła w sobie oba żywioły, liberalny i feudalny, więc żywioły zasadniczo ze sobą sprzeczne. Z połączenia obu tych czynników wynikła polityka zastoju. Mimo, że szkoła ta twierdziła, że wszystkie swe postulaty opiera na podstawie empirycznej, i ona nie mogła nie uwzględniać pewnych zasadniczych punktów widzenia. Rzeczywistość wkrótce poszła znacznie dalej w kierunku reform, niż to przypuszczała szkoła historyczna. I tak sądzili dawniejsi zwolennicy tej szkoły, że należy zachować stosunki poddańcze, ponieważ robocizna zachęca do pracy, a ludność rolnicza wcale nie życzy sobie zniesienia tych stosunków. Panowie są zresztą ludźmi wykształconymi, nie można przeto mówić na seryo o ogólnem nadużywaniu sądownictwa patrymonialnego. Sprzeciwiali się ci historycy zakładaniu fabryk, ponieważ fabryki zwiększają niebezpieczeństwo pożaru. Cechy, nie są ich zdaniem przeszkodą w produkcyi. Zgodnie też z tymi poglądami postulaty reformy, podnoszone przez historyków, były bardzo szczupłe. Państwo winno tylko zezwolić na możliwość rozwiązania stosunku poddańczego. Nawet utworzenie kas pożyczkowych, dla przyspieszenia tej reformy nie jest, ich zdaniem, wskazane, ponieważ powolny rozwój jest najbardziej pożądanym we wszystkich zmianach politycznych. W cechach należy przeprowadzić zmiany drobne, bynajmniej zaś zasadnicze. Tworzenie organizacyi czeladników i robotników nie jest wskazanem, ponieważ nie posiadają oni odpowiedniego po temu wykształcenia.

Jak wiadomo, społeczeństwa nie dały ostatecznego posłuchu tym wywodom. A podobnie rzecz się ma z nowszą szkołą historyczną. Miała ona pośredniczyć między manczesteryzmem (identyfikowanym mylnie przez tę szkołę, ze szkołą klasyczną) a socyalizmem. I ta nowsza szkoła historyczna (podobnie jak dawniejsza), nie zdobyła zbyt wielkich sukcesów w dziedzinie polityki ekonomicznej. Tak Schmoller bardzo ostrożnie tylko sformułował postulat przymusu ubezpieczenia robotników, żądając, by przymus ten wprowadzała rada związkowa powoli, dla każdej z poszczególnych kategoryi przemysłu z osobna, by zaś ubezpieczenie samo opierało się na kasach samychże robotników, więc by go wprowadzono z chwilą, gdy robotnicy kasę taką sami utworzą. Wiadomo, że ustawodawstwo niemieckie poszło znacznie dalej. A podobnie było z ustawodawstwem ochronnem, którego Schmoller nie chciał stosować do rzemieślników, ponieważ tutaj raczej majster potrzebowałby

ochrony niż robotnik (gdy faktycznie, jak wiadomo, jest wprost inaczej). Z powodu złamania kontraktu dopuszczał w pewnych wypadkach sankcyę karną. Prawne uznanie robotniczych stowarzyszeń zawodowych miało następować tylko od wypadku do wypadku.

Na podstawie takich przesłanek opiera autor swe twierdzenie, że metoda historyczna jest mylną, jak w ogóle sama istota szkoły historycznej nie ma uzasadnienia naukowego. Obok zbierania dat i faktów, trzeba zawsze wychodzić z jakiegoś zasadniczego punktu widzenia.

Jakkolwiek rozprawa dr. Schüllera jest ze wszech miar ciekawą i interesującą, końcowe jej wyniki absolutnie nie dadzą się utrzymać. Przedewszystkiem sam brak sukcesów nie może stanowić dowodu niesłuszności jakiegoś postulatu. Do ciekawych rezultatów musiałoby to doprowadzić w praktyce parlamentarnej n. p. A powtóre, jeśli szkoła historyczna niejednokrotnie mylnie oceniała stosunki życiowe, czy nie działo się to właśnie dlatego, ponieważ nie była dosyć historyczną, nie uwzględniała (bo może i uwzględniać jeszcze nie mogła) podstaw poznania empirycznego? Wszak nie w inny sposób, tylko w sposób empiryczny doszedł n. p, Waentig (*Gewerbliche Mittelstandspolitik* 1898) do przekonania, że położenie robotników w rzemiośle jest (w Austryi przynajmniej) znacznie gorsze niż położenie robotników w wielkim przemyśle, więc do rezultatów, na które się właśnie autor powołuje w swych wywodach, chcąc udowodnić mylność metody historycznej. A nakonice trudno przeoczać zasadnicze niejako oświadczenia Schmollera (*Ueber einige Grundfragen der Socialpolitik und der Volkswirthschaft* 1898), że obok podstaw empirycznych należy również uwzględniać czynnik teleologiczny.

Dr. Zygmunt Gargas.

Die Nationalität als Rechtsbegriff vom Dr. Rudolf von Herwurstt, Wien 1899.

Gdy socyologia uważa naród za jedność duchową kulturalną, wskazując bądźto na wspólność przeszłości historycznej i politycznej, wspólność pochodzenia, rasy, języka i t. p., prawo nie może operować wszystkiemi temi pojęciami, ponieważ są one zbyt nieuchwytne, by je można otoczyć ochroną prawną. Zdaniem autora, pojęcie narodowości rozwija się przedewszystkiem w państwach o mieszanej narodowości. W państwach o narodowości jednolitej brak interesów, któreby wymagały ochrony prawnej a przynajmniej brak takiego napięcia interesów, ażeby zdołały one uzyskać taką ochronę. Przytem naród panujący nie czuje się zagrożony wcale w swym bycie. Inaczej w państwie o ludności

mięszanej wprawdzie, ale o takim składzie, że jedna narodowość znacznie nad drugą przeważa. Tu z natury rzeczy wytwarzają się dążności asymilacyjne. Stanowisko prawa musi być w każdym razie inne niż w państwach o jednolitej narodowości, a już sam fakt ogłoszenia jakiegoś języka za język państwowy, mieści w sobie *eo ipso* przyznanie faktu istnienia w państwie innych także języków. Inaczej w państwie o różnych narodowościach, z takim stosunkiem tych narodowości, że żadna z tych narodowości nie przeważa. Tu równość wszystkich narodowości, w skład państwa wchodzących, jest koniecznym postulatem zdrowej administracyi państwowej. Tu przeto nasuwa się kwestya narodowości i kwestya jej ochrony prawnej z całą siłą. Otóż ochrona prawna nie może dotyczyć czynników tak nieuchwytnych, jakimi operuje socyologia, przekraczających przytem często granice państwowego porządku prawnego. Jedynym dla ochrony prawnej uchwytnym momentem jest język. To też zdaniem autora, postanowienie konstytucyi austr., warujące ochronę narodowości o b o k ochrony języka, jest niewykonalne. Ochrona języka może się zresztą objawić tylko w przyznaniu odpowiednich uprawnień osobom, przynależnym do pewnej narodowości, nie zaś w oznaczeniu pewnych języków jako krajowych, ponieważ oznaczenie takie jest właściwie tylko sposobem ułatwienia postępowania administracyjnego. Reformy wymaga wszakże prawo austr. przedewszystkiem na punkcie powstania i zgaśnięcia praw podmiotowych, z zasady ochrony językowej wypływających. Praktyka postępuje wedle zasady, że przynależność do jakiegoś szczepu zależy od oświadczenia strony. Ponieważ jednak oświadczenie takie musi być w każdym wypadku powtórzone, nie ma ono żadnej stałości, jest zupełnie dowolnem, stając się zarazem przedmiotem walki politycznej. Uchronić można by się przed temi niedogodnościami zaprowadzeniem przepisu, że o przynależności do pewnego szczepu decyduje oświadczenie, złożone przy spisie ludności i że oświadczenie to obowiązuje aż do następnego spisu ludności.

Dr. Zygmunt Gargas.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".